

ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVII.

ROK X.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N 23.

1885.

SPIS RZECZY

Druk ukończono 3 Stycznia 1885 r.

ZARYSY I SYLWETKI

Z KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO.

Rozterki, wybuchłe w przeszłym roku między ziomkami naszymi w księstwie Cieszyńskiém, zaniepokoiły u nas opinią publiczną do tyla, że cała prawie nasza prasa peryodyczna dała zgodny wyraz obawom, aby rozterki owe nie przybrały szerokich rozmiarów i nie przeszły w waśń długotrwałą lub nawet walkę polityczno-religijną, o ile przykrą, że bratnią, o tyle niebezpieczną, że podjętą na kresach w obliczu nieprzyjaciół. Starano się badać powody rosterek i odpowiednio je zażegnać. Podstawa do badań i wniosków z nich wysnuwanych polegała na relacyach nadsyłanych ze Szlązka od obu ścierających się między sobą obozów. Ale chociaż z takiéj oddali, sąd o czynach i ludziach może wypaść objektywnie i spokojnie, pod warunkiem jednak, żeby relacye te były szczegółowe i dokładne, lub pochodziły od strony nie biorącéj bezpośredniego udziału w walce. Trudność należytego zoryentowania się wzmagała jeszcze ta okoliczność, że mimo charakteru wyznaniowego obu ścierających się obozów, tak katolickiego, jak ewangielickiego, wiedziano, że po stronie *„Związku Szlązkich katolików“* stanęła *„Gwiazdka“* ewangelickiego Stalmacha, a wśród walczącego z nim *„Politycznego Towarzystwa ludowego“*, mającego większość ewangielicką, ocknęli się członkowie katoliccy.

Przy takich warunkach sprawa mogła się przedstawiać w innem świetle zbliska niż zdaleka. Wyjechałem więc na wiosnę r. z. w Cieszyńskie, aby przypatrzyć się zbliska obu obozom. Bezpośrednim rezultatem téj wycieczki były szkice i studya, których część jako fragmenta oddaję teraz na użytek publiczny. Dla czego fragmenta? zapyta czytelnik.

Przybywszy raz na miejsce, nie mogłem się zadowolnić samą sprawą obecnego sporu ewangelicko-katolickiego między *Związkiem* i *Gwiazdką* a *Towarzystwem ludowém*, témbardziéj, że badania istoty tego sporu wciągały mnie w coraz szerszy zakres studyów nad całém Cieszyńskiém, tak mało jeszcze u nas znaném i tak wątłemi jeszcze nićmi związanym z resztą Polski. Obawa, jaką z kolegami w prasie codziennéj podzielałem co do niebezpieczeństwa walki bratniéj na kresach, nasuwała potrzebę zbadania na Szląsku siły odpornéj żywiołu słowiańskiego w ogóle a polskiego w szczególności przeciw germanizmowi. Ułożyłem więc plan przedstawienia z jednéj strony obrazu stworzonych przez fakta ogólnych stosunków Szlązka politycznych, społecznych, ekonomicznych itd., następnie udział w nich niemców, tudzież zasoby, jakiemi oni rozporządzają, a nareszcie siły, jakie im przeciwstawić jest w stanie żywioł polski. Że zaś sprawa wewnętrznéj waśni polskiéj nie dawała mi spokoju, zamiast więc zacząć studya w porządku zakreślonym w planie, a więc od placu boju i siły zaczepnéj, zacząłem od siły odpornéj, która bezpośredni miała związek z tą waśnią,—od ludzi i instytucyj polskich; jedne szkicowałem, drugie mocniejszemi nakładałem farbami, instytucye wszystkie główniejsze opisałem, z osób zaś występujących na widownię publiczną zacząłem od tych, z którymi się stykałem w chwili szkicowania i pobytu w Cieszyńskiém. Że zaś czas upływał i należało przedewszystkiém spełnić obowiązek publicystyczny, gwoli któremu jeździłem na Szlązk, przeto zaznaczywszy w prasie codziennéj parę momentów czysto politycznych téj sprawy, zebrałem te fragmenta polityczno - literackie i społeczne, które za powodem téj sprawy były już gotowe i wolałem je już teraz puścić na świat, kiedy ogół czeka na nie, niż zwlekać z ich ogłoszeniem dla literackiego wykończenia całości podług własnego planu ułożonéj.

Skutkiem tego we fragmentach tych czytelnik zaledwo w dalszéj i mglistéj perspektywie dostrzegać będzie pole walki z niemcami i siły niemieckie, a nawet nie spotka się z takiemi osobistościami z polskiéj strony jak np. Michejdowie, Fiłasiewicz i inni, którzy chociaż występowali może czynnie podczas owych rozterek bratnich, ale mieli spuszczone przyłbice, szło nam bowiem tymczasem o ułatwienie ogółowi naszemu oryentowania się wśród faktów podniesionych już w ciągu walki i o poznanie ludzi jawnie w niéj uczęstniczących. Natomiast znajdzie się tu parę szkiców, prawie nie mających nic wspólnego z ową waśnią, a jednak nie obojętych, że się tak wyrażę, dla statyki żywiołu polskiego na Szlązku.

Poseł do Rady Państwa.

W ciągu przedostatniéj kadencyi rajchsratowéj w sali pod „Szkocką budą“ w Wiedniu, można było widzieć, zawsze obok księcia Jerzego Czartoryskiego nieodstępnie siedzącego w ławce poselskiéj silnie zbudowanego, barczystego, w średnim wieku mężczyznę, którego grube spracowane dłonie, zamaszystość ruchów i twarz ogorzała zdradzały rolnika. Jak podczas posiedzeń parlamentarnych był on nieodłącznym od osoby księcia Jerzego, tak téż w przerwach, przy bufecie lub na korytarzach, nieodstępnym towarzyszem jego samego było cygaro w ustach lub na krótkim cybuszku długa fajka biała porcelanowa, używana przez niemieckich i szląskich wieśniaków.

Wiedeńczycy nazywali go „der liberale Wasser-pole“, zaliczając z góry do obozu centralistycznego, ale Jerzy Cienciała głosował zawsze z posłami galicyjskimi, a—co więcéj—wstąpił nawet do koła polskiego, przyjmując zasady jego solidarności i broniąc praw narodowych Szlązka, dla których domagał się ciągle opieki od delegacyi polskiéj. To oczywiście niemieckiéj lewicy podobać się nie mogło, ale oszczędzano go i każolowano o ile się dało, pocieszając się nadzieją, że ewangelik i liberalny zerwie prędzéj lub późniéj z sojuszem „ultramontańskiéj“ prawicy. Natomiast z drugiéj strony, ze strony narodowców polskich na Szlązku, nieszczędzono mu zarzutów. Nader celny strzał wymierzyła weń „*Gwiazdka*“ Stalmachowa, ogłosiwszy pewnéj Soboty w numerze swoim, że Cienciała był na bankiecie, danym przez centralistów niemieckich na cześć dra Demla, burmistrza cieszyńskiego i wznosił toast na cześć tego zaciętego germanizatora szląskiego.

— Ale proszę pana — mówił mi w parę miesięcy po tém Cienciała—uchylić się nie mogłem od wzięcia udziału w uczcie dla kolegi rajchsratowego; a że wznosiłem toast dla niego, to przecież wiadomo, że on jest liberał; wolność naszemu wyznaniu ewangielickiemu na Szlązku dano w imię równouprawnienia, w imię liberalizmu. Ja wznosiłem toast na cześć téj zasady; a jeśli ci, do których piłem, nie poczuwają się dziś do obowiązku wykonywania téj zasady, tém gorzéj dla nich, bo toast mój był dla nich wyrzutem. Zresztą nie zapominajmy i o tém, że jeśli niemcy grzeczni byli dla mnie w Rajchsracie, dla czegoż ja niemiałem być dla nich grzeczny? Czy to komu co szkodzi?

Cienciałę uważają za dość ambitnego, a ambicya jego polegać ma na utrzymaniu *coute que coute* za sobą krzesła poselskiego i pod

tym względem mają go za dość zdeklarowanego współzawodnika Glajcara. Obadwaj poważni, jednakiéj fortuny rolnéj, obadwaj narodowcy i obadwaj ewangielicy. Te dwie ostatnie okoliczności utrudniają współzawodnictwo każdemu z nich, a tém bardziéj Glajcarowi, bo współzawodnik jego ma już pewną praktykę parlamentarną, posłuje od kilku lat w parlamencie, ale to właśnie czyni współzawodnictwo niebezpieczniejszém, bo niepozwala z niém wystąpić jawnie, a natomiast przeciwnikom Cienciały daje broń w rękę do walczenia w cieniu.

Broń tę wyostrzono co gorsza na zarzucie, który jawnie podniesiono, bardzo niemiłym, bo opartym na rzeczywistym fakcie. Przy wyborach do Rady Państwa w r. 1879, przeciwko kandydatowi niemieckiemu w Cieszyńskiém p. Obraczajowi, narodowcy polacy nie wystąpili solidarnie w zwartym szeregu, lecz rozstrzelili swe głosy na dwóch kandydatów: Jerzego Cienciałę ewangielika i katolickiego księdza Swieżego. W następstwie jakoby tego miał wyjść z urny Obraczaj. Powiadam „jakoby", bo pierwotne tylko głosowanie odbywało się pomiędzy trzema kandydatami, gdy jednak najmniéj głosów padło na Cienciałę, więc powtórne, ściślejsze głosowanie przeprowadzono tylko między dwoma: Obraczajem i ks. Swieżym. Pierwszy otrzymał o 23 głosów więcéj i został przeto obrany posłem. Tu więc ostatecznie żadnéj dywersyi nie było: wyborcy rozstrzygali między narodowym i antinarodowym kandydatem. W obozie jednak narodowym uczyniono zarzut Cienciale, że postawieniem swojéj kandydatury zbałamucił wyborców, tak, że część ich znarowiona głosowała późniéj za anti-narodowcem. A trzeba wiedziéć, że między ewangielikami a katolikami w Cieszyńskiém stanęła była ugoda, że raz będzie wybierany ewangelik, a drugi raz katolik. Teraz właśnie po sześcioleciu ewangelika Cienciały przychodziła koléj na katolika i postawiono kandydaturę ks. Swieżego.

— „Ba! — powiadali ewangielicy — prawda, że stanęła ugoda, podług któréj miał być wybierany raz ewangelik a raz katolik, ale *nie ksiądz - katolik*, co przy stosunkach Szląskich nie jest wszystko jedno, bo chociaż na przykład, księdza Swieżego cenimy i mamy zaufanie do niego (1), ale musimy uwzględniać usposobienie szerszego ogółu ludności ewangielickiéj, wśród któréj łatwiéj przeprowadzić katolika nie-księdza, niż księdza".

Na dowód, że i część katolików nie pochwala kandydatury ks. Swieżego, przytaczają ewangielicy okoliczność, że przy wymienio-

(1) Tak powiadają przywódcy ewangielików. Patrz broszurę p. t. „Ewangielicy i sprawa narodowa na Szlązku.

nych wyborach, mimo kandydatury ks. Swieżego, ewangielik Cienciała otrzymał był w pierwszém głosowaniu 52 głosy katolicko-narodowe, to jest czwartą część głosów katolicko-narodowych.

Złośliwi ludzie powiadają w Cieszynie, że ówczesny zawód ze strony ewangielików i chęć ks. Swieżego zostania przy tegorocznych wyborach posłem, skłoniła księdza do utworzenia związku Szląskich katolików, na czele którego stanąwszy, jest w możności rozrządzać wyborami podług swojéj woli.

Przyjaciele szanownego inicyatora Związku odpowiadają na to, że tu nie potrzeba osobistych pobudek, bo złamanie ugody ze strony ewangielików dostatecznym było powodem dla katolików do szukania oparcia na swojéj własnéj organizacyi. Bądź co bądź, w dziejach teraźniejszego przełomu w życiu publiczném księstwa Cieszyńskiego, o ile ten przełom zainaugurowało utworzenie się Związku Katolików,—główną rolę pomiędzy innemi odegrały te dwie postacie: ks. Swieży i Jerzy Cienciała.

Wracam do drugiego.

Jerzy Cienciała, względem którego Glajcar bywa uważany za niemego spółzawodnika elektoralnego, ma — jak już zauważyłem— jednakie z nim stanowisko socyalne i jednakie gospodarstwo rolne, opierające się tak u jednego jak i drugiego na 40—50 morgowéj roli, z tą różnicą, że Glajcar rozszerza sferę swojéj gospodarki w kierunku przemysłowym, Cienciała zaś w kierunku wyłącznie rolnym, zaokrąglając coraz bardziéj schedę swoją dokupywaniem sąsiednich gruntów. Taka wyłączność rolnicza w kraju wysoce przemysłowym jest zapewne wynikiem po części jego zajęć poselskich, a jeszcze więcéj upodobania i gorącego zamiłowania w roli, do któréj twardą swą rękę przykłada, na równi z czeladzią, chodząc sam za pługiem lub dźwigając kosę. Należy on jak Glajcar do klasy rolników t. zw. na Szląsku ze słowacka „Siedlaków", co odpowiada pojęciu naszego chłopa-włościanina, ale osiadłego na dobrze zagospodarowanéj kilkunastu lub kilkudziesięciu morgowéj roli. Odpowiednio do swego stanu otrzymał też wykształcenie szkolne—ludowe. Ale rozczytywanie się w dziełach poważnéj i nadobnéj literatury, oraz udział w życiu publiczném, a najbardziéj pobyt w parlamencie, rozszerzył widnokrąg pojęć, wpłynął nawet na jego maniery. Cienciała czuje godność swą poselską, umie nadać powagę swemu zachowaniu się, pamięta o niéj, pragnąc aby i inni o niéj pamiętali; daje się to widzieć nie tyle przez kramarskie wywieszanie etykiety, jak przez tę w rozmowie i ruchach *nonchalance*, która w skutek właściwéj powagi polskiéj nie przechodzi w fircykowatość francuzką, a przy innych warunkach towarzyskich i w czasach jego młodości

mogła-by mu była wielkie jednać powodzenie w świecie niewieścim, tembardziéj, że Cienciała był pięknym i okazałym mężczyzną, czém i dziś jeszcze być nie przestał, mimo ukończonych już pono pięciu krzyżyków.

W skutek zepewne przypisywanych mu planów ambitnych jest nieco wstrzemięźliwym, dyplomatycznym w rozmowie z osobą obcą, zwłaszcza w przedmiocie dotyczącym jego wyznania wiary politycznéj. Ale gdy się ocknie w gronie poufném wśród odpowiedniego otoczenia i humoru, staje się szczerym, dowcipnym, pełnym zapału, a nawet hulaszczym i z sercem na dłoni,—słowem odsłaniają się w nim i występują na jaw przymioty otwartéj złotéj natury polskiéj, może ze znanych mi Szlązaków najmniéj spaczonéj u niego wpływami niemieckiemi. Przy serdeczności nie brak mu polskiéj popędliwości, skłonnéj do uniesień, wybuchów gniewu, ale i szybkiego zapominania uraz. Będąc raz na posiedzeniu koła polskiego w Wiedniu, rozgniewany na uchwałę większości, nakazującéj wstrzymanie się do czasu z podnoszeniem w parlamencie sprawy równouprawnienia narodowego na Szlązku, zerwał się gwałtownie z miejsca, a oświadczywszy, że występuje z Koła, bez pożegnania wybiegł z sali. Posłowi Chrzanowskiemu ledwo udało się uspokoić go i zawrócić do Koła przez przyaresztowanie jego czapki i fajki. Cienciała wrócił ze szczerym uśmiechem na ustach, przepraszając za swoję porywczość. Oczywiście, mając wybitne cechy polskości, Cienciała posiada jednę z jéj cnót, bez któréj nie możemy sobie wyobrazić polaka,—jest gościnnym i to nie dla tego, że nim być musi że tego wymaga wzgląd na polskość lub na warunki towarzyskie, lecz, że to leży w naturze jego, tak samo jak w naturze żony jego, która gościnności téj umie nadać wyraz odpowiedni, będąc wyborną gospodynią w znaczeniu staropolskiém. Jeżeli jéj apteczka zapasna, to umiejętność ma na pogotowiu improwizowane speciały, którychby się nie powstydziły prababki nasze. Przy szklance, przyrządzonéj przez żonę małmazyi, pan Jerzy w kółku przyjazném i poufném umie być wesołym i serdecznym, to znów rzewnym i tkliwym. W tym ostatnim razie wspomnienie o wcześnie zgasłym, a pełnym zdolności synu młodszym (starszy odbywa studya agronomiczne w szkole dublańskiéj pod Lwowem) pobudza go do smętnéj zadumy, a wtenczas rad przelewać uczucia swoje w tony harmoniki, gra na któréj zdradza w nim niepospolite ucho muzykalne. Poetyckie to usposobienie duszy, obok własnéj duchowéj natury, wdzięczne ma pole do podniety w powabach i wdziękach przyrody, otaczających gniazdo rodzinne Cienciałów. Mistrzowice, położone wśród malowniczéj doliny i usłane bujném kwieciem słynnych tamtejszych sadów i ogrodów.

Prezes — notaryusz.

Wcale odmiennym od Jerzego Cieńciały jest imiennik jego, pan Andrzej. Malutki, szczupły, wątły i chorowity, zdaje się jakby nienależał do téj muskularnéj, zahartowanéj w trudach i walkach fizycznych rasy szląskiéj, z któréj pochodzi rozpleniony bujnie a olbrzymi fizycznie ród Cieńciałów. Powiadają tam, że może téż dla tego i nazwisko p. notaryusza uległo pewnéj lekkiéj modyfikacyi: z dawniejszéj a wspólnéj całemu rodowi nazwy *Cieńciałów*, przeszła ona teraz w bardziéj subtelną, eteryczną, o filigranowém brzmieniu *Ciściały*. Można jednak powodów téj zmiany szukać gdzieindziéj. Znam w Słowacyi mnóstwo czcigodnych patryotycznych, wielce zasłużonych krajowi osobistości, które bądź występują w życiu publicznėm pod pseudonimami, bądź jak renegaci pozmieniali zupełnie swoje nazwiska na madżiarskie; nie z pobudek jednak brudnych i niskich, właściwych renegatom, ale bądź dla zdobycia karyery, pozyskania względów i stania się w ten sposób użyteczniejszym dla swoich rodaków, bądź dla kawałka chleba i zabezpieczenia losu rodzinie, bądź wreszcie z ostrożności i obawy przed pościgami madżiarskiemi. Naszemu notaryuszowi może w stanowczéj chwili niebraknie odwagi, ale w życiu codziennėm bywa przezornym i ostrożnym aż do lękliwości. Kiedy podczas pobytu mego w Cieszynie odwiedził mnie w hotelu, byliśmy sam na sam w pokoju zamkniętym. Prosiłem o danie opinii co do obecnéj sytuacyi na Szlązku, o stosunkach narodowościowych w Cieszynie i między stronnictwami polskiemi tamże. Poczciwy notaryusz obejrzał się na wszystkie strony, nadstawił ucha od strony drzwi, prowadzących do drugiego pokoju, a zastawionych szafą i zapytał zniżonym głosem, wskazując na szafę:

— Czy tam niéma nikogo?

— Jesteśmy sami przecie.

— Bo to widzi pan — i ściany mają uszy.

Przypomina mi to przestrogę autora słynnych listów, wydanego niedawno a głośnego dzieła „Societé de Berlin“, który radzi być oględnym każdemu w Berlinie w rozmowach o sprawie publicznéj lub osobie kanclerza, właśnie ze względu na możność istnienia owych uszu w ścianach. Lecz jeśli ostrożność taka usprawiedliwiona byćby mogła tam, to w kraju zostającym pod łagodnym rządem konstytucyjnym, gdzie ludność polska udziela najszczerszego poparcia obecnemu gabinetowi,—przed kim może zachodzić obawa podsłuchania rozmowy polskiéj, niemogącéj na żaden sposób być skiero-

waną przeciw temu rządowi i jego gabinetowi? Oczywiście z obawy przed jego przeciwnikami, a to dostatecznie ilustruje z jednéj strony stanowisko téj kliki centralistycznéj, nielicznéj ale zuchwałéj, która rządzi Slązkiem, a z drugiéj strony brak u naszych rodaków odwagi wystąpienia przeciw niéj z większą śmiałością i stanowczością, brak, od którego nie są wolni tak nawet niezawisłego stanowiska ludzie, jak Andrzej Cińciała.

Brak odwagi! Może to za zbyt ostre wyrażenie względnie do jego osoby, możeby je właściwiéj zastąpić potulnością i rezygnacyą. Długa walka z przeciwnościami nie jednako działa na walczących, zwłaszcza jeśli mają odmienne temperamenta: jednych hartuje, rozzuchwala i rozdraźnia, a do tych należy Stalmach; drugich pochyla, czyni oględnymi, wrażliwymi, bolejącymi, a złamane długoletnim bojem serca zatrawia ni to piołunową goryczą, gryzącą innych, ni to dojmującym siebie samego bólem, wśród cichéj a często i niemej skargi. Do takich zaliczyć można p. Andrzeja.

Powyższa właściwość jego charakteru, okoliczności wśród których on się wyrobił, a wreszcie pewna doza nieśmiałości i skromności wyrodziła niezupełnie odpowiedni stosunek między pracowitością i zasługami jego, a uznaniem i rozgłosem. Mimo, iż brał on czynny i wybitny udział w odrodzeniuSzlązka, a od trzydziestu przeszło lat pracuje gorliwie dla sprawy narodowéj i jako ewangielik polski i jako prawnik, literat-publicysta, imię jego nie tyle znane szerszéj w Polsce publiczności, co ludzi, którzy położyli mniejsze zasługi. I dziś jeszcze, mimo spracowanego życia i nadwątlonego zdrowia, nie ustaje w cichéj, zawsze skromnéj ale pożytecznéj działalności.

Będąc prawnikiem z zawodu i wiedząc z własnego doświadczenia, jak często lud pada ofiarą niesumiennych doradzców, skutkiem braku znajomości obowiązujących ustaw lub procederów prawnych dr. Andrzej Cinciała wydał dwa podręczne dzieła prawne dla polskiego ludu na Szlązku. Opracowane sumiennie, a w czystéj polszczyznie, spełniają one nie tylko usługę praktyczną dobrego doradzcy, ale téż jednocześnie chronią w pewnéj mierze ludność polską od skażenia języka macierzystego, któremu to skażeniu ulegają często Szlązacy, przez ciągłe przyswajanie technicznych terminów prawnych, słyszanych od prawników niemieckich lub zniemczonych.

Ale gorliwy pracownik na niwie ojczystéj nie poprzestaje na tém. Bądź z zamiłowania do mowy ojców, bądź poddając się tętnu żyłki literackiéj, pan Andrzej zbierał przez całe życie zabytki mowy polskiéj na Szląsku, które bądź to uderzyły go swoją oryginalnością, właściwą tylko Szlązakom, bądź coraz rzadziéj używane budziły

obawę zniknięcia. W ten sposób ułożył systematycznie *Słownik dyalektyczny* z dodatkiem przysłów i frazeologii (1), a odpisawszy tę pracę starannie, przesłał ją Akademii umiejętności w Krakowie do zużytkowania.

Ze względu na te prace członkowie czytelni ludowéj w Cieszynie, powołując go na prezesa, téj czuwającéj nad tradycyą i czystością rodzinnéj mowy, instytucyi, nie mogli uczynić lepszego wyboru.

Jan Glajcar.

Chwalcie rycerzy, chwalcie królów wielkich,
Co światem wstrzęśli, ludzi sławy—wszelkich.
Ja chwalić będę chłopa z pod Cieszyna,
Ludu polskiego prawiernego syna.
(Z toastu Andrzeja Kotuli na cześć Jana Glajcara w dzień jego 60-letnich urodzin).

Była godzina 11 przed południem jednego z ostatnich dni kwietnia. Chociaż od dnia wczorajszego niebo się rozjaśniło, ziemia jednak po parotygodniowéj słocie przesiąkła była jeszcze wilgocią i nie tyle myślano o dokończeniu robót wiosennych w polu, ile raczéj o przygotowaniu do nich. To téż, gdy mnie w *Czytelni Polskiéj* w Cieszynie zapewniono, że Glajcar zajęty temi przygotowaniami, będzie prawdopodobnie w domu:

— Do Sibicy, do p. Glajcara!—rzekłem do woźnicy, wsiadając do pojazdu hotelowego. Konie miały ruszać z miejsca, gdy w téj chwili zatrzymał się przed pojazdem średniego wzrostu i wieku mężczyzna, barczysty, ogolony, jak wszyscy ślązacy, w ciemno szaraczkowym niemal czarnéj barwy surducie i takimże kapeluszu na głowie.

— Ja jestem właśnie Glajcar, odezwał się, pozdrawiając mię najczystszą polszczyzną, dowiedziałem się w Bazarze (2), że pan bawi w Cieszynie i chce nas poznać...

— Ah, pan Glajcar! — mimowolnie wyrwał się z ust moich okrzyk zadziwienia na widok tak głośnego w Polsce wieśniaka i niespodzianego z nim spotkania.

Zatrzymawszy się z kwadrans w hotelu, wyjechaliśmy razem do Sibicy, która jest wioską najbliżéj położoną miasta od strony ko-

---

(1) Czyli „Zbiór wyrazów staropolskich i innych w potocznéj mowie używanych na Szlązku w Księstwie Cieszyńskiem."

(2) Gmachu zbudowanym na akcye, mieszczacym w sobie *Czytelnię* i główniejsze instytucye polskie w Cieszynie.

lei żelaznéj; część gruntu pod dworcem kolejowym została właśnie nabytą od Glajcara. Znają go téż tu prawie wszyscy tak w mieście, jak na przedmieściu: ludzie różnych sfer witali go w przejeździe radośnie a przyjaźnie.

— Mnóstwo pan tu ma znajomych, jak widzę,—zauważyłem.

— Ma się dość, chwała Bogu! A dyć i nie dziw, wszakże się ma ciągłe stosunki i interesy ze wszelkiego rodzaju ludźmi, żyje się z nimi od lat sześćdziesięciu przeszło.

— Sześćdziesięciu!—spojrzałem na twarz jego czerstwą a rumianą i na bujny czarny porost włosów jego.

— I łatwo téż, lekko żyć z nimi?

— Praca ciężka, ale się opłaca przy gospodarném życiu; interesy dadzą się prowadzić; ludzie bywają pracowici i uczciwi; stosunki z nimi łatwe; ale w życiu publiczném ciężko nam idzie; jedziemy na gospodarstwo chłopskie, wielkodworskiego nie mamy; część wielkich majątków w ręku niemieckiéj lub zniemczonéj szlachty, reszta należy do kamery arcyksiążęcéj arcyks. Albrechta. Przemysł wysoko u nas stoi, to prawda. Oto np. na prawo wielka przędzalnia lniana, tam daléj widnieją wielkie huty żelazne, zatrudniające sześć tysięcy robotników, na zamku browar, to wszystko także należy do kamery; na przedmieściu widział pan fabrykę mebli giętych Kolma. Kopalnie węgla, w części arcyksięcia, w części czeskie, reszta fabryk żydowsko-niemieckie. W ich ręku cały prawie przemysł, a także większa gospodarka rolna. Przed paru laty ks. Jerzy Czartoryski nabył tu dobra, czem ucieszyliśmy się niezmiernie, ale w skutek nieodpowiedniego zarządu, którego sam dopilnować nie mógł, a powierzył obcym ludziom, musiał się dóbr tych pozbyć. Ograniczeni więc jesteśmy do małego gospodarstwa rolnego i drobnego domowego przemysłu, co dla nas jednostek może wystarczyć, ale nie wystarcza dla sprawy, którą dźwigać potrzeba. Z tém wszystkiém silni jesteśmy liczbą, byle tylko wzrastało co raz bardziéj poczucie narodowości i jedności. Cóż kiedy ostatniemi czasy zaczyna się wkradać rozdwojenie pomiędzy naszymi ewangielikami a katolikami...

Tu urwać musiał, bo właśnie przejechawszy obok „szkoły ludowéj,“ dość ładnego i czystego gmachu, ocknęliśmy się w środku wsi i zatrzymaliśmy się przed siedzibą Glajcarów. O ile sięgnąć mogłem okiem, dostrzegłem zaledwo dwa domy drewniane, reszta chat włościan sibickich, to duże murowane domy, podobne do Glajcarowego, chociaż niekiedy mniejsze i bez takiego obejścia i zamożnych zabudowań gospodarskich.

Mieszkalny dom Glajcara przylega z jednéj strony do ogrodu owocowego, z drugiéj do mieszkalnego podwórza, którego czworo-

bok tworzą chlewy i stajnie, a z trzeciéj do wielkiego dziedzińca, okolonego lamusami, spichrzami, stodołą i innemi zabudowaniami gospodarskiemi.

Podstawą gospodarstwa Glajcarowego jest rola, któréj posiada 44 morgi (licząc w to i sianożęcie), pono w maleńkiéj tylko części odziedziczona po ojcu, głównie jednak własną pracą Jana Glajcara zdobyta. Obok jednak roli niepoślednim przedmiotem jego pracy jest przemysł rolny i domowy: posiada on cegielnię, trudni się wyrobami ciesielskiemi, bednarskiemi itp.

Ale wejdźmy do domu, zkąd właśnie gospodyni jego wychodzi na nasze powitanie. Dom ten murowany, pobielony wapnem, piętrowy, na mocnych głębokich fundamentach w których się mieszczą piwnice; pod dachem zaś pokrytym czarnym łupkiem, strych wysoki i przestronny. Właściwą mieszkalną część domu stanowi parter, składający się z kuchni i czterech wysokich przestronnych pokoi. Piąterko, tworzące wdzięczną na zewnątrz fasadę, ma tylko dwa pokoje, oszklone kolorowemi oknami, przeznaczone w danym razie dla gości, a zwykle służące w jednéj izbie za szatanię, w drugiéj za skład cenniejszych nasion strączkowych, pastewnych itp.

— Witajcie nam, panie i miły gościu! przemówiła uprzejmie gospodyni domu, wychodząc na próg pierwszéj izby parterowéj, do któréj schodzić się zaczęła czeladź na obiad.

Średniego wzrostu, wątłéj budowy, z łagodnym, nieco bolejącym wyrazem twarzy, pani Glajcarowa, mimo to ani ruchliwością i pracowitością swoją, ani kolorem ciemnych blond włosów, nie zdradza brzemienia pięciu krzyżyków, które czas włożył na jéj ramiona. Jak każda wieśniaczka ślązka, ubrana była w krótką a szeroką ciemno-kawową spódniczkę, ściśniętą powyżéj pasa po haftowanym staniku, opiętym na obojczykach, wązkiemi szlakami sukiennemi. Od ciemnéj spódniczki odbijała czysta śnieżnéj białości katanka koszulkowa, opięta wązkim stanikiem, zbiegająca się w ramionach w szerokie bufy, poniżéj których całe zresztą ręce po łokcie były odsłonięte, częścią zapewne dla mody, częścią dla dogodności w pracy ręcznéj. Głowa przykryta chusteczką jedwabną, a czoło zwyczajem zamężnych ślązaczek szczelnie przysłonięte do połowy koronkową białą przepaską. Nogi okryte ciemnoszafirowemi pończochami, a stopy ujęte w czarne płytkie półtrzewiki. Przy *uroczystych* występach, podczas wielkich świąt lub szczególnych okazyj, przywdziewa się też odświętne szaty, przy których nie brak złotem szychowanych staników, pereł i klejnotów pochodzących ze spadku po pradziadach. Obecny zaś strój—to powszedni przy codziennych zajęciach i pracy. Tak, pracy, bo pani Glajcarowa nie tylko rządzi kobiecem gospodar-

stwem w domu, dogląda wszystkiego bacznie i czujnie, ale i przykłada własnéj ręki. Znać to po jéj spracowanych dłoniach, po ścisłéj kontroli, jaką prowadzi, wreszcie po téj łączności jaka istnieje między nią a gospodarstwem, którego jest duszą, łączności, przy któréj ona wie o najdrobniejszéj cząstce swojéj machiny gospodarczéj, a każda cząstka czuje niemal jéj obecność i opiekę. Biedaku mój, biedaku,—wołała, gładząc po *szczeciniastym* karku wielkiego kiernoza, którego kazała wypuścić z chlewu na podwórze, a który idąc powolnie do koryta z wodą, oglądał się co chwila na nią: chude to i słabowite, bo niedawno zwałaszony, ale, że przeznaczony teraz na utuczenie, to się poprawi.

Gdyśmy weszli do obory i p. Glajcarowa otwarła drzwi od klatki, w któréj się znajdowała para bliźniaków—cieląt, te z niewymowną radością i pieszczotą rzuciły się do niéj, przylgnęły do jéj rąk i lizać je poczęły ze szczególną natarczywością i rozkoszą. Klatka znajdowała się w końcu krowiarni, mieszczącéj w sobie piętnaście krów, z których dwie holenderskie, a reszta miejscowéj rasy. Podłoga w oborze drewniana, środkiem mająca kanał do odprowadzania nieczystości, wzorowo utrzymana, po parę razy dziennie zamiatana. Każda krowa ma swój własny przedział, a w nim żłób, oprócz którego stoją nadto konwie, używane do oddzielnych rodzajów paszy lub karmu, jak np. buraków. Świeża, sucha, ciągle odmieniająca się podściołka z mierzwionéj słomy, ułatwia wywczasowanie się bydła i przyczyniając się do wygody jego, przy wybornym karmie i troskliwości, podnosi dojność i wydajność mleka. Krowy doją się trzy razy dziennie, miejscowe dają po trzy kwarty za każdą razą, a jedna z holenderskich dawała po 15 przeszło kwart. To też kiedy zeszliśmy do dużych suchych piwnic, jedna z nich była zastawiona cała konserwami nabiałowemi i konwiami mleka słodkiego i kwaśnego, mimo że przeważna część takowego odwozi się codziennie do miasta na targ. Na Slązku słynne są sery cieszyńskie, wyrabiane na wzór holenderskich i szwajcarskich, a rozchodzące się w handlu po całéj Polsce, Rusi, Rumunii itd. U Glajcarów jednak nie wyrabiają tych serów, bo, jak powiada sama gospodyni domu, za małe mają gospodarstwo do tego. Druga piwnica użyta jest na skład różnego rodzaju jarzyn i włoszczyzny. Tu pełne zasieki ziemniaków, tam włoska kapusta, owdzie marchew, pietruszka, cebula etc. a w jednéj połowie ośm czy dziesięć wielkich beczek kwaszonéj kapusty.

— Na cóż tak dużo?—zapytałem,—zapewne na sprzedaż?

— Nie,—odpowiedziała gospodyni,—prawie wyłącznie na własny użytek i dla czeladzi.

— Wieleż państwo mają téj czeladzi?

— Zwykle od ośmiu do dziesięciu osób; a podczas zimowych robót przy fabryce, lub letnich na roli, to jeszcze coś przybywa, zauważył gospodarz.

To też tym wiktuałom odpowiadają w równéj obfitości inne. Gdyśmy weszli z gospodarzem na piętro i na strych, zobaczyłem całe połcie słoniny i inne konserwy mięsa, mąkę i krupy w kadziach, a w zasiekach ziarno zbożowe, mniéj pszenicy, więcéj żyta i owsa. W ogóle produkty rolne, które przeważnie uprawia Glajcar na swojem 44 morgowem gospodarstwie, są oprócz roślin pastewnych, owsa i buraków, nadto żyto i ziemniaki, pszenicy wysiewa zaledwo kilka korcy. Wstrzymuję się od podania bliższych szczegółów o sposobie uprawy roli Glajcarowéj, o intensywności i wydatności onéj, bo, aczkolwiek przedmiot to wielce zajmujący, nie piszę jednak w téj chwili studyum agronomicznego, do czego zresztą nie wystarczyłby opis jednego gospodarstwa, choćby najdokładniejszy. Zauważyć tu jednak można, że jeśli na całym Slązku woły jako siła robocza do uprawy ziemi w małém są użyciu, to Glajcar posługuje się wyłącznie tylko końmi, których ma obecnie sześć czy siedm sztuk na stajni, urządzonéj i utrzymanéj tak czysto i wzorowo jak krowiarnia. Para koni pochodzi z rasy, jak sam powiadał, arabskiéj, od ogierów rządowych, reszta krajowéj rasy średniéj miary, silnéj budowy i wytrzymałych. Oprócz koniczyny, siana i sieczki, wychodzi korzec owsa na tydzień (12—13 litrów na konia). Siła maszyn, o ile się dała zastosować do takiego obszaru roli, bywa wyzyskaną znakomicie. Widziałem w stodole Glajcarowéj oprócz sieczkarni i drobniejszych narzędzi, dwie ręczne młockarnie (po 130—150 zł.) obsługiwane przez czterech ludzi każda. O ile obliczyć się dało, przy ich użyciu oszczędza się na każdéj po 2—3 ludzkie siły robocze.

Biorąc wymiar z ilości inwentarza, intensywności uprawy, ceny robotnika i innych warunków miejscowych,—40 lub 50-cio morgowe gospodarstwo ślązkie odpowiada mniéj więcéj 200 morgowemu gospodarstwu galicyjskiemu. Mówię w ogóle i przeciętnie; wyjątkowe zaś gospodarstwo rolne i przemysłowe Glajcara, tudzież jego stanowisko finansowe i społeczne, nie nadaje się do paraleli po za obrębem Ślązka. Mówiąc o tém jego stanowisku finansowém i społeczném, należy wiedzieć, że Glajcar z zapracowanego przez siebie grosza ulokował w samym „*Bazarze Cieszyńskim*“ (którego został pierwszym firmowym) (1) do 13.000 złotych reńskich, co chlubnie świadczy o jego pracowitości, oszczędności i zamożności. Ale nie dość na tém. Dziś *Bazar* jest wprawdzie spółką zarejestrowaną z ograniczo-

(1) P. rozdział o Bazarze Cieszyńskiem.

ną poręką, i udział w niej przynosi uczestnikowi dywidendę, lecz gdy się zważy okoliczność, że zakład ten powstał dla polaków w celu ożywienia tu ich ruchu ekonomicznego i podtrzymania ogniska narodowego, gdy się pamiętać będzie na to, że instytucya młoda otoczona zewsząd silnemi niemieckiemi zakładami finansowemi, ma wiele, bardzo wiele trudności i przeszkód do zwalczenia; że gdyby szło o samą li tylko spekulacyą finansową, można było ulokować swój kapitał w zakładach starszych już ustalonego bytu; gdy się nareszcie zważy, iż pewna część funduszu bazarowego idzie na rzecz założenia *Domu Narodowego*,—niepodobna w lokacyi Glajcarowej nie uznać też zasługi narodowej. Oprócz *Stowarzyszenia Zaliczkowego* i *Towarzystwa Rolniczego*, których Glajcar jest także członkiem, wszystkie inne instytucye polskie w księztwie Cieszyńskiem mają już nie ekonomiczne, lecz moralne i narodowe cele na widoku; wszędzie w ich założeniu brał on czynny udział zarówno osobisty jak pieniężny. Żadna zresztą sprawa narodowa w księztwie nie obeszła się bez jego nader gorliwego i czynnego udziału, z czego zresztą dał się poznać szerszemu ogółowi polskiemu, a w Krakowie parę razy występował publicznie i osobiście jako rzecznik solidarności Ślązka z resztą Polski. Jako ewangielik jest jednym z głównych filarów presbiterstwa zboru ewangielickiego w Cieszynie; jako postępowy rolnik otrzymał na wystawach krajowych medal srebrny za staranny chów koni i bydła, i kilka bronzowych za postępowe gospodarstwo; p. Andrzej Kotula w toaście wierszowanym na cześć jego nazwał go pierwszym chłopem w ziemi Piasta; jakoż będąc chlubą i ozdobą tego stanu, posiada niepospolitą wśród ludu powagę i wpływ; uczciwość, zdrowy sąd, prawość charakteru i wytrwałość w zasadach i życiu, jedna mu poważanie nawet wśród niemców; jako zaś patryota, żywiący uczucia braterstwa i miłości dla katolików, pracujących na jednej z nim niwie ojczystej, jest zarówno przez nich poważany i z życzliwością witany. To też gdy w przeszłym roku d. 6 czerwca przypadła 60-letnia rocznica urodzin jego, z całego księztwa Cieszyńskiego pośpieszono przesłać mu bardzo wymowne i serdeczne życzenia tak od oddzielnych osobistości, jak od różnych korporacyj i instytucyj. Starszyna *presbiterstwa* zboru ewangielickiego złożyła mu zbiorowe oświadczenie w wyrazach pełnych czci i gorących uczuć, podpisane przez Jerzego Cienciałę, Jana Stanawskiego, Józefa Biedrawę, Andrzeja Kotulę, dr. Andrzeja Cinciałę, Jerzego Grycza, Andrzeja Folwarcznego, Andrzeja Oszeldę, Jana Cienciałę, Pawła Ponezę, Jana Cioska, Bordonia, Jerzego Burka, Ad. Macurę wreszcie dr. Ostrezita—czecha. Pomiędzy nadeslanemi gratulacyami odznacza się, piękną typograficzną robotą wykonany, dyplom uznania od

Czytelni polskiéj „wytrwałemu bojownikowi sprawy narodowéj.“ Od katolików i ich przewódzców nie brakowało również uznania, nacechowanego serdeczną życzliwością i przeświadczeniem o pożytecznéj działalności solenizanta.

Podczas skromnego wieśniaczego ale czystego i smacznego śniadania, składającego się z nabiału, rozmawialiśmy o sprawach publicznych, których jasne zrozumienie i trafne ocenienie było zarówno po stronie gospodarza jak i gospodyni domu, będącéj wzorową małżonką i żywo interesującéj się wszystkiemi sprawami męża swego. Znajomość życia publicznego i zainteresowanie się niem nie ogranicza się u Glajcara na jednym zakątku ślązkim lub na tych sprawach, w których sam bierze udział. Nieobojętną dlań jest w ogóle polityka, a tembardziéj sprawy obchodzące własny naród. Zamiłowanie do czytania widać u niego na każdym kroku. Oprócz np. „*Nowin Ślązkich*“ (pisma przeważnie poświęconego sprawom religijnym ewangielickiego wyznania, a wychodzącego na Pruskim Ślązku) „*Gwiazdki Cieszyńskiéj,*“ które prenumeruje dla siebie wyłącznie, można u niego spotkać główniejsze dzienniki polskie, wychodzące w Krakowie, Lwowie, Poznaniu itp. które zkądinąd, prawdopodobnie z *Czytelni* bierze do przejrzenia. Gdyśmy przeszli do bawialnego pokoju, umeblowanego starannie podług wymagań i gustu człowieka wykształconego i towarzyskiego, ujrzałem ściany ozdobione obrazami, stalorytami i reprodukcyami artystycznemi, wydawanemi jako premje przez krakowskie towarzystwo sztuk pięknych. W jednym z rogów pokoju stojąca ozdobna duża szafa oszklona mieści bibliotekę, w któréj się znajdują nie tylko najnowsze celniejsze dzieła polskie (Mickiewicz, ostatnie powieści Kraszewskiego itp.), ale i cenne staroświeckie druki, jak np. *Kazania* ks. Samuela Dombrowskiego (znaleść można po wielu chatach włościan Ślązkich), z 1772 r., *Kancyonał* od 1597 r., albo taki cenny zabytek jak *Kazania Grzegorza z Żarnowca* od 1597 r., lub „*Kalendarz Historycki* Daniela z Weleslawina“ z 1590 r., wszystkie w kosztownéj oprawie i czysto utrzymane, zdradzają zamiłowanie gospodarza do literatury i porządku, tudzież poszanowanie mowy i tradycyj ojczystych.

Redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej.“

Paweł Stalmach należał do najpopularniejszych ludzi. Pamiętam przed 12 laty na zjeździe we Lwowie Wielkopolan, Szlązaków i Krakowiaków, z grona głośnych osobistości jak Kantak, Niegolewski, Weigel wychyliła się z wagonu i zstąpiła na peron dworca kolejowego skromna niskiego wzrostu postać, przypominająca typ

pastora ewangelickiego. Wśród wesołych, gwarnych, zgromadzonych na powitanie tłumów ludu zapanowała cisza uroczysta, przerywana jeno szeptem podawanym z ust do ust: Stalmach, Stalmach! W około niego skupiła się gromadka paru pięknych nadodrzańskich kobiet o ich malowniczym wiejskim stroju i kilkunastu mężczyzn ogolonych, w krótkich czarnych kubrakach, spoglądających przed siebie bądź nieśmiało, bądź z tym dobrotliwym uśmiechem, który cechuje lud ślązki. Skromnością w postawach i wyróżniającym się strojem dziwny oni tworzyli kontrast z kontuszowym, butnym, chociaż w téj chwili milczącym tłumem Galicyanów. Oczom swoim niechciało się wierzyć, aby ci w kusych z niemiecka kubrakach byli włościanami polskimi, jednéj krwi i ducha braćmi naszymi. Szukało się w nich wspólnych z nami znamion, a w twarzach rysów drogiéj nam, ale dawno zapomnianéj i uważanéj za zmarłą osoby. Jednym z kontuszowców łza cisnęła się do oczu, niewiadomo—łza żalu, rozrzewnienia lub radości, drugim w piersiach wzbierały gwałtowne choć nieokreślone uczucia, tłumione niepewnością—azali znajdą oddźwięk w tych spokojnych, niemych dotąd, piersiach nadodrzańskich...

Nareszcie Stalmach pierwszy przemówił od słów: „Powracamy do was po pięciu wiekach rozłączenia.“ Głos jego był spokojny, z początku głuchy jakby skamieniałe echo z przeszłości, któréj wspomnienie odbijało się w zwrotach mowy, rzekłbyś żywcem wziętych z ust Reja lub Górnickiego, gdyby nie była ona żywym, naturalnym wyrazem własnych myśli mówiącego.

I nie po raz to ostatni indentyfikowano Stalmacha ze Szlązkiem. Szlązk, Stalmach i „*Gwiazdka Cieszyńska*“ stały się pojęciami nierozdzielnemi od siebie. Gdy się mówiło o jedném, mimowolnie wspominało się o dwóch innych. Nie bez racyi. Począwszy od téj chwili, kiedy w 1848 r. na zjeździe Słowiańskim w Pradze za inicyatywą Stalmacha Szlązk zaliczono do sekcyi polskiéj, aż do niedawnych czasów, Stalmach był nie tylko najlepszym przedstawicielem naszéj ze Szlązkiem łączności, ale i najgorliwszym jéj piastunem a w wielu razach twórcą odrodzenia i rozbudzenia życia narodowego nad Odrą i górną Wisłą.

Wszystkie prawie instytucye publiczne tam założone, z wyjątkiem tych, które powstały w ciągu ostatnich dwóch lat, jemu zawdzięczają swój byt, bądź pośrednio, bądź bezpośrednio. Wszyscy tamtejsi patryoci są albo jego kolegami, na których on większy lub mniejszy wpływ wywierał, albo wprost uczniami i wychowańcami—i to nie tylko w Cieszyńskiem, ale i na pruskim Szlązku, gdzie np. Miarka zaliczał się także do uczniów jego.

Skoro wspomniałem o pobycie jego na zjeździe słowiańskim w Pradze, nie od rzeczy będzie zaznaczyć ów charakterystyczny rys poczucia solidarności słowiańskiej, który właściwy jest Szlązakom łącznie z innymi Słowianami. Czy przyczyny jego szukać w opuszczeniu, a więc w poczuciu słabości i naturalnym popędzie szukania pomocy i siły w pobratymczej wspólności, czy w czeskich wpływach, którym Szlązk ulegał i ulega, czy nareszcie w głębokiém niezawisłém od mienionych czynników zrozumieniu doniosłości ducha słowiańskiego, podniecaném silniejszym niż u nas naporem germanizmu,—dość że poczucie téj solidarności istnieje, a Stalmach ma go więcéj niż ktokolwiek inny na Szlązku, podtrzymując je i rozwijając w Szlązakach. Stosunki swoje ze Słowianami umie on starannie utrzymywać od trzydziestu kilku lat, a jak w jego *„Gwiazdce“* znaleść niekiedy można cenne korespondencye ze Słowiańszczyzny i trafniejsze ocenienie tamtejszych wypadków niż w wielkich organach polskich, tak też skromnego redaktora tejże „Gwiazdki“ lepiéj niekiedy znają tu i owdzie między pobratymcami naszymi, niż głośnych pracowników z innych stron.

O ileż bardziéj popularnym musi on być w swoim własnym zakątku! Wątpię, aby się znalazł w Cieszyńskiém Szlązak, któryby go nie znał bądź osobiście, bądź za pośrednictwem „Gwiazdki“, która się tam stała prawie tak poczytną publikacyą jak psałterz lub kancionał, z tą chyba rożnicą, że gdy kancionały muszą być odrębne dla katolików i ewangielików, *„Gwiazdka“* jest jedną i wspólną dla wszystkich bez różnicy wyznania. Uczynił ją taką—to wielka zasługa Stalmacha, tembardziéj gdy pamiętać będziemy o tém, że tak ewangielicy jak katolicy szlązcy bynajmniéj nie są eklektykami, lecz przeciwnie—bardzo pobożnymi i ekskluzywnymi każdy w swojem wyznaniu i ze stanowiska dogmatów lub wskazówek tego wyznania żądającymi pokarmu duchowego dla siebie. By dogodzić tym wymaganiom, niekiedy sprzecznym, utrzymać je w równowadze, a nadto skierować umysły ku wspólnemu celowi—odrodzenia narodowego,—potrzeba pracy, gorliwości, poświęcenia się i głębokiéj znajomości ludzi, przymiotów, na które nie każdy się zdobędzie gdzie indziéj a nie zdobył się i na Szlązku, bo mimo kilkakrotnych usiłowań założenia innego pisma, mimo iż katolicy i ewangielicy próbowali mieć własne organa, wprowadzając w grę usiłowań swoich najsilniejszy na Szlązku żywioł—religijny, wszelkie te próby okazywały się w końcu bezowocnemi, a „Gwiazdka“ zawsze zdołała wynurzyć się z po za groźnych chmur ją otaczających i świeciła daléj nad krainą Szlązką. Dzisiejszy *„Nowy Czas“* nie utrzymałby się nawet przez kwartał, gdyby go nie popierali Niemcy cieszyńscy wraz z *„Si-*

lesią", mimo że jest zręcznie i podług nowszych wymagań dziennikarskich redagowany, a i na pozór więcéj ma w sobie życia; ale zdobyć się nie mógł na tę pleśń staroświecką, na tę patynę, która zielonawą śniedzią staroświeczczyzny powlokła życie Szlązaków, a którą Stalmach, sam nią pokryty, umiał zabarwiać swój dziennik. Jego *Jura i Janek* w „Gwiazdce"—to nasze dyalogi średniowieczne, wiążące tonem epokę Reja z dzisiejszą epoką Szlązaków.

Prawda, że gleba ludu szlązkiego wdzięczną jest do przyjęcia ziarna, którém przy swoich skromnych wymaganiach zadawalnia się w takiéj mierze, w jakiéj go dobrotliwy Pan Bóg za pośrednictwem takich gwiazdkowych posłańców jak Jura i Janek zsyłać mu raczy. Czytającymi są wszyscy, a byli takimi bez ustawy o przymusie szkolnym, bo każdy ewangielik musi śpiewać psalmy w kościele i czytać biblią, a katolicy wiedzeni emulacyą i naśladownictwem niechcieli pozostać bardzo w tyle i przyzwyczaili się również do czytania książek nabożnych, czytają więc i „Gwiazdkę." A jak czytają—niech cyfry pouczą. Na ludność księztwa oscylującą między 150 a 200 tysiącami rozchodzi się prawie 1.500 egzemplarzy „Gwiazdki." To znaczy nietylko każda gmina ma ją u siebie, ale niektóre mają po kilka egzemplarzy,—ideał, do którego Galicya gdyby doszła za lat 20, czuła by się szczęśliwą!

Zdawałoby się, że przy tych warunkach stan materyalny wydawnictwa powinienby być świetny. Tak jednak nie jest, bo najpierw „Gwiazdka" nie posiada prawie inseratów, które przy wielkich dziennikach politycznych stanowią połowę dochodów, a następnie redaktor jéj nie ograniczył się tylko na pracy redaktorskiéj i wydatkach połączonych z wydawnictwem, lecz najrozleglejszy brał udział we wszystkich czynnościach publicznego życia na Slązku, które nie dochodów lecz wydatków przysparzają. To też i dochód z jubileuszowego wydawnictwa „*Wisły*," którą wydano na cześć Stalmacha, starczył na bardzo krótko i wcale nie zabezpieczył egzystencyi „Gwiazdki" jak się pierwotnie spodziewano.

„Witaj Janku" powiada, w jednym z numerów *Gwiazdki*, *Jura*, „a pójdź do pustelnikowéj piwnicy, muszę ci téż powinszować na miano, oj, będę ci winszować. *Janek:* Możesz i na ulicy. *Jura*: Na ulicy nie, jeno w piwnicy..."

Miejscowych stałych współpracowników swego dziennika Stalmach niema, tak z powodu szczupłości budżetu redakcyjnego, jak dla niemożności znalezienia odpowiednich młodszych sił dziennikarskich. Niejednokrotnie próbował on utrzymać przy sobie pomocnika w pracy, ale żaden niepozostał dłuższy czas w redakcyi, nie mogąc zastosować się i wdrożyć do kierunku pisma i wymagań redak-

tora. Stalmach więc sam układa, pisze, wycina z dzienników, począwszy od poniedziałku a skończywszy na sobocie, kiedy numer „Gwiazdki“ wychodzi z pod prasy drukarskiéj. W ten sposób z pracowni jego przechodzą do fabryki drukarskiéj, składającéj się także z jednego zecera, najpierw artykuły wstępne np. „Zapewnienia pokojowe,“ „Teroryzm przewrotników w Europie“, „Moralność Talmudu,“ „Groźny Gość,“ „Areopag europejski“ itp. daléj „*Gospodarstwo i Przemysł*,“ „*Listy od i do czytelników Gwiazdki Cieszyńskiéj*,“ „*Przegląd polityczny*“, „*Rozmaitości*,“ „*Z Cieszyna*,“ a pomiędzy temi rubrykami pretium afectionis Stalmacha—dialog p. t. „*Jura i Janek*“ i wreszcie felieton nie w odcinku ale w szpaltach kolumny, gdzie już od wieków dzierży berło panowania nieśmiertelniejszy może od samego Pustelnika uwiecznionego „*hotelnika*“ „pod Jeleniem“—nieśmiertelny *Janek z Głodomanka*, wywołując zaklęte postacie „Szewca w Piekle,“ „Ostatniego z Mortęgów“ itd. Ciągnie się to tak w niezmienionym ani na jotę porządku od niepamiętnych czasów. Na dalszych obojętnych czytelnikach *Gwiazdka* może sprawiać wrażenie pożółkłego ze starości i zasuszonego kwiatu, ale dla Stalmacha i jego stałych prenumeratorów ma ona takie znaczenie jak kwiatek niezapominajki w ręku 60-letniéj babuni darowany jéj przed 40 laty przez kochanka: żyje wspomnieniami przeszłości i ogrzewa go żywem tchnieniem teraźniejszości, a biada temu świętokradzcy, któryby się poważył czynić nad nim jakieś lekkie uwagi lub cenić wyżéj nadeń świeżo zerwaną i woniejącą różę!

„Groźny nieprzyjaciel zawitał do Europy“, pisze Stalmach w jednym z tegorocznych numerów, wywoławszy w czytelnikach całą grozę katastrof, które mają spaść na niego,—„jednakże“—dodaje zaraz bezpośrednio po powyższém zdaniu „radzimy nie bać się go, bo wiemy najprzód, że strach jest zawsze najszkodliwszy!....“

To artykuł z powodu cholery. Ale tak pisał Stalmach przed czternastu laty, z powodu wiadomości o poddaniu się Sedanu i tak by teraz napisał na tego, ktoby się poważył kwestyonować wartość jego zasuszonego kwiatka. Groźny początek, stanowczość w środku, a perswazya na końcu, albo odwrotnie—to ton znacznéj części jego artykułów rozumowanych, ton wydobywany z tak szybko poruszanych klawiszów, zmieniających się w takich skokach gwałtownych, że u nieprzywykłych do takiéj gimnastyki budzi i wywołuje protest przeciw pogwałceniu zasad stylistyki. Ale protestować nie wolno, bo po za każdym słowem, mozolnie przez zecera złożonego pisma Stalmachowskiego, stoi stanowczość dogmatyka teologicznego i pewność, nieomylność dydaktyka szkolnego, niecierpiącego żadnego zaprzeczenia. Piastując przez długie lata obowiązek pedagoga

narodowego, nauczającego lud Szlązki, Stalmach tak się przejął tym tonem nauczycielskim i ważnością swego stanowiska, że innym przemawiać nie jest w stanie do nikogo, a po za *Gwiazdką* nie widzi zbawienia narodowego: na niéj i na sobie oparł cały gmach polski.

Mieszka teraz w Cieszynie p. Sokal, adwokat krajowy, człowiek z ogładą towarzyską, wykształcony w szkołach galicyjskich i za granicą, dziś już nabierający powagi i wzięcia, ale przed laty ośmiu jeszcze tylko dependent, nieśmiało stawiący swe kroki w przybytku Temidy. W skutek zabiegów centralistów niemieckich na Szlązku, którym *Gwiazdka* była nie na rękę, prokuratorya skarbu zaskarżyła Stalmacha, że przez cały szereg lat wysyłał w Poznańskie *Gwiazdkę* bez stempla i rewindykowała na nim z tego powodu dla skarbu państwa kwotę około 12.000 guldenów. Polskich adwokatów nie było w Cieszynie, z niemieckich jedni niechcieli podjąć się obrony Stalmacha, zwłaszcza gdy się nie spodziewali sutego honoraryum, drugich sam Stalmach nie chciał. Pozostawał młody dependent Sokal, którego też ze strony Stalmacha obligowano o zajęcie się tą sprawą; on jednak wziąć się do niéj natychmiast nie mógł z powodu potrzeby nagłego na dłuższy czas wyjazdu do Lwowa, czy Czerniowiec. W tym celu poskładał był wizyty pożegnalne tak urzędowe jak i prywatne. Stalmach dowiedziawszy o tém, po długich poszukiwaniach; znajduje Sokala na wyjezdném w hotelu.

— Bój się pan Boga — mówi do niego Stalmach z poważném namaszczeniem ducha i tonem ubolewania nad losem młodego człowieka:—to pan *takowym* wyjazdem gubisz sprawę narodową, od pana teraz jéj i pański los zależy!

Skromny dependent ze zdziwieniem spójrzał na mówiącego, wiedząc, iż poważny redaktor nigdy nie żartuje, a nie mogąc przypuścić, aby on, młody dependent, bez znaczenia, stanowiska i zasług w narodzie, mógł w czémkolwiek wpływać na losy tego narodu.

— Ależ panie redaktorze — odezwał się nareszcie nieśmiało— cóż moja osoba może mieć za znaczenie.....

— Nie o pana téż tu idzie, ale o mnie — ciągnął daléj Stalmach z powagą, — pan zapominasz o sprawie z fiskusem, ale musisz wiedzieć, że redaktor „*Gwiazdki Cieszyńskiéj*“ nie może i nie powinien zapłacić *takowéj* kwoty. Niemcy więc wsadzą go do kozy, a wówczas *Gwiazdka* upadnie, a z nią i sprawa polska.....

Wzięty szturmem obrońca, nie chcąc się zdradzić z obecności swojéj w mieście, skoro z mieszkańcami jego pożegnał się i powinien już był być o kilkadziesiąt mil w podróży, musiał się zamknąć w izbie na trzy dni i przez ten czas wypracować obronę Stalmacha.

Po kilku wyrokach i tyluż rekursach aż do najwyższego trybunału, skończyło się na tem, że sądy co raz bardziéj zniżając pretensye fiskusa, stanęły nareszcie na 100 reńskich, które redaktor zniewolony przez obrońcę swego musiał zapłacić. Ale za to w następnych tygodniach nie tylko *Jura i Janek* mieli bogaty materyał do rozmowy, ale w piwnicy ich pojawili się *Łapisz, Skrabisz i Waligóra*, w nadzwyczajnych tylko momentach występujący jako współpracownicy *Gwiazdki*.

Zeschłe listki z kwiatka babuni coraz bardziéj z czasem kruszéją i opadają. Maż ona czekać, aż wszystkie opadną i pozostanie obnażona łodyga? Życie na Szlązku zjałowiało mimo nastania ery konstytucyjnéj. Jedni ze starych bojowników sprawy narodowéj położyli się do grobu na wieczny odpoczynek, drudzy przyzwyczajeni do innych walk, znużyli się a nie znajdowali dość zachęty do pracy i dość silnéj podniety do walki. *Gwiazdka* wciąż wychodziła, ale ją czytano więcéj z przyzwyczajenia, niż dla potrzeby, nawet liczba prenumeratorów zaczęła się zmniejszać. Zapanowała cisza, jaka zwykle poprzedza burzę lub przełom w życiu. Stalmach powoli wycofał się ze wszystkich instytucyj, w których dawniéj brał tak żywy udział, zaczął unikać dotychczasowych znajomych i przyjaciół, zapuścił długie włosy i brodę, wreszcie jak Mahomet zamknął się i stal się niewidzialnym. Od czasu do czasu tylko można go było zdala widzieć o wieczornéj porze krążącego powoli do Pustelnika, gdzie się schodzili katolicy należący do błogosławionego Sarkanda, a i wtenczas nie łatwo go było poznać, bo wielka czapka z nausznikami zakrywała nie tylko głowę, ale i całą twarz prawie, tak, że się tylko z pod okularów pokazywały świecące jego oczy.

Nareszcie nastąpił wybuch, poprzedzony objawieniem nowéj wiary politycznéj Stalmacha. W czerwcu r. z. *Gwiazdka* ogłosiła odezwę zorganizowanego w ciszy kontemplacyjnéj „Towarzystwa katolickiego politycznego“—„do katolickich ziomków na Szlązku“, a redaktor jéj zerwał z przywódzcami ewangielików, ktorzy kierowali dotychczasową polityką dla obu wyznań.

„Widziałem lud mój jako owce rozproszone—wołał w odezwie Komitet Towarzystwa do katolików—„Musimy się złączyć w jedno jednolite ciało i występować według jednéj myśli i według jednego planu, a wtedy, ludu, osiągniesz wszystko co słusznie i sprawiedliwie życzyć sobie możesz i zrzucisz z siebie wszystko, co ci dotąd dolegało“.

W październiku nastąpił komentarz gwiazdkowy tego czerwcowego orędzia ks. Swieżego i początek właściwego oświadczenia Stalmacha, którém zaznaczył konieczność przeniesienia sterowni-

ctwa ruchu narodowego z rąk ewangelików w ręce katolików i swoje własne przejście pod nowy sztandar. W oświadczeniu tém znajdujemy i pierwszą genezę jego dzisiejszéj metamorfozy, genezę sięgającą jeszcze roku 1860, owego pięknego dnia jesiennego, kiedy Stalmach na przechadzce pozyskał dla sprawy narodowéj Śliwkę, którego ewangelicy mieli za jednego z najgłówniejszych inicyatorów sprawy narodowéj, a o którego zupełném nawróceniu powątpiewał Stalmach, bo jeszcze téj saméj nocy po przechadzce „widział we śnie na niebie różne i straszne potwory“.

W naturalnym i konsekwentnym toku myśli należało najpierw uzasadnić niedostateczność lub ujemność dotychczasowych działań i dotychczasowych przywódców; następnie wykazać konieczność nowego programu i siły nowych, powołanych do jego spełnienia, ludzi, a nareszcie usprawiedliwić lub wytłómaczyć dotychczasowe swoje własne stanowisko i zaznaczyć powody, które skłoniły do przejścia pod nowy sztandar. Ale Stalmach, mimo całéj dialektyki teologa protestanckiego, zanadto był praktycznym, aby kierować się wymaganiami doktryny, teoryi lub jakiegoś systematu retorycznego, a może chciał wstąpić w ślady reformatorów religijnych, którzy najczęściéj zaczynali od prostego i przedmiotowego postawienia dogmatów, a dopiero gdy przeciw nim pojawiać się zaczynały wątpliwości zwolenników staréj wiary, zwalczali ich coraz natarczywiéj jednoczesną obroną nowych dogmatów i potępieniem starych. Toć i w „Gwiazdce“ pojawiła się najpierw odezwa Wydziału „Związku Szlązkich Katolików“, następnie w sprawozdaniu z ich piewszego walnego zgromadzenia dodano ten lakoniczny ale wymowny komentarz: „sądząc z ogólnego przebiegu i usposobienia tego zgromadzenia, spodziewać się możemy, że wywoła ono nowy ruch w naszéj krainie“. A kiedy zaniepokojeni ewangielicy, tudzież rodacy z dalszych srton Polski, zaczęli wyrażać obawy rozdwojenia i żądali wyjaśnień co do zachowania się redaktora, jego na przyszłość dążności, tudzież właściwych celów *Politycznego Towarzystwa Katolickiego*; Stalmach, jak już powiedziałem, dopiero w październiku wystąpił ze wstępnym artykułem, w którym podnosi okoliczność, że dotychczas ewangelicy, mając w swoich rękach ster spraw narodowych, niewywalczyli równouprawnienia narodowego na Szlązku, że tę sprawę muszą wziąć na siebie liczniejsi i przeto silniejsi katolicy, którzy zmuszeni byli związać się w potężną organizacyą, témbardziéj, aby liczyć na swoje tylko siły, a jednocześnie obronić i swoje interesa, bo ewangelicy zawiedli ich przy wyborach i na nich liczyć nie mogą. Co do siebie stwierdził, że napróżno nawoływał już dawno do utworzenia politycznego związku dla obu wyznań, skoro jednak takowy

dotychczas nie mógł przyjść do skutku, skoro zresztą sami ewangelicy nie są w stanie utrzymać własnego organu, jak to widać było na *„Zwiastunie ewangelickim“* i na *„Ewangeliku“*, które przepadły, przeto on redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiéj“ uznaje za rzecz konieczną utrzymanie i rozwinięcie *Związku Szląskich Katolików* i radzi ewangielikom założenie takiegoż Związku ewangielickiego, a oba stowarzyszenia mogły-by się porozumiewać i układać wzajemne kompromisa i wspólny program polityczny.

Całe to wystąpienie, chociaż cierpkie i przykre dla ewangelików, nacechowane jeszcze było spokojem, powagą i przedmiotowością, chociaż w dalszéj Polsce niezrozumiano właściwego znaczenia rady Stelmachowéj: utworzenia związku ewangielików na wzór katolickiego i chociaż ewangelicy radę tę uważali z początku za nieszczerą, a jednak była ona mistrzowskim objawem nowego zwrotu w dążeniach Stalmacha, a jednocześnie jego piętą Achillesową.

Właściwa walka rozpoczęła się wówczas, kiedy ewangelicy w odpowiedzi na zarzuty wydali broszurę p. t. „Ewangelicy i Sprawa narodowa na Szlązku“, w któréj przypominano zasługi ewangielików w utrzymaniu przez pięć wieków narodowości polskiéj na Szlązku i dano do zrozumienia, że Stalmach usunął się od spraw publicznych i wystąpił ze wszystkich prawie instytucyj, gwoli ambicyi, aby przekonać ziomków, że bez niego niewiele zdziałać mogą.

Stalmach, z gwałtownością dotąd nie widzianą u niego, uderzył na dawniejszych swoich przyjaciół i na cały zastęp ewangielików, przyznając z góry, że dotychczas oszczędzał ich i taił przed światem polskim ich nieszczerość, samolubstwo, egoizm i brak gorącego poczucia patryotycznego, przez wzgląd na zasługi ich ojców i w nadziei że się poprawią, lecz teraz musi wystąpić otwarcie, aby wiedziano gdzie szukać przyczyn upadku, aby napróżno nie łudzono się, aby nareszcie położeniem ręki na otwartą ranę, tém łatwiéj wyleczyć organizm narodowy i sprowadzić obłąkanych na drogę poprawy. Tu nastąpiło, w kilku z rzędu numerach *Gwiazdki* r. b., wyliczenie wszystkich powątpiewań i widzeń, począwszy od owych „różnych i strasznych potworów“, ostrzegających przed Sliwką i wyliczenia wszystkich instytucyj publicznych, które ewangelicy mieli zaprzepaścić dla celów egoistycznych, bądź swego tylko wyznania, bądź swoich osobistości, a skończywszy na pociskach wymierzonych przez nich w redaktora Gwiazdki, które skreślił owém pamiętném klasyczném wyznaniem, że „redaktor *Gwiazdki Cieszyńskiéj* przez 36 lat aż dotąd siedzi pośród dwu wyznań jak na dwu stołkach— ewangielickim i katolickim: ewangielik usiłuje wciąż swój stołek pod nim poderwać, aby redaktor upadł“.

O wiele gwałtowniejszy jednak wybuch nastąpił w chwili, kiedy w Cieszynie założono *„Polityczne Towarzystwo ludowe“*, w skład którego, obok pewnéj liczby katolickiéj inteligencyi weszli dotychczasowi przywódcy narodowi ewangielicy, a które wywiesiło sztandar „połączenia do wspólnéj pracy wszystkich narodowców bez różnicy stanu lub wyznania“, a więc w tym duchu, w jakim właśnie niegdyś sam Stalmach pragnął mieć takie Towarzystwo. Redaktor *Gwiazdki* nazwał teraz nowe Towarzystwo obłudném i fałszywém, jako niemające za sobą ludu i przeto niemające prawa nazywać się ludowém, założone bowiem ono zostało w celach paraliżowania działalności Towarzystwa katolickiego; założycieli ochrzcił mianem przewrotnéj i oszukańczéj kliki, kokietującéj z niemcami, mającéj własne osobiste interesa swych członków na widoku, oskarżył ich o sprzeniewierzenie funduszów narodowych w instytucyach Szląskich, które przyprowadzone zostały w ten sposób do upadku, dodał, że i teraz dla samych celów egoistycznych i brudnych pragną omamić Polskę i wydobyć z niéj nowe fundusze. Mimo to jednak w końcu wraca do udzielonéj już raz rady i tak powiada: „Sądzimy téż, że owa klika jeżeli się opamięta, powoli zamieni się w towarzystwo ewangielickie i będzie *roztropnie* działać wśród *swego wyznania*“.

Dla czego Stalmach bojujący przez całe życie pod sztandarem połączenia obu wyznań na polu politycznem, teraz występował przeciw organizacyi towarzystwa, które wywiesiło ten sam sztandar, a którego on właśnie pragnął dawniéj, to on teraz sam tłómaczy tém, że istotnie pragnął, ale takiego Towarzystwa, które-by ogarnęło cały lud, a dzisiejsze niéma ludu za sobą, ale i rzecz się sama tłómaczy tym jednym wyrazem „za późno!“

Za *późno* zbierać walczących pod dwubarwny sztandar, skoro katolicy stanęli pod swoją własną chorągwią, stanęli z bronią, rynsztunkiem i silną organizacyą, która pokryła sobą cały obszar katolickiego Szlązka; cofnąć ich z pod tego sztandaru, odebrać im ten sztandar, aby go zamienić innym, nie zdoła ani ewangielicki Stalmach, ani ich właśni przywódzcy—katoliccy duchowni. Ale dla czego Stalmach w obec przeświadczenia, że zbawienie Szlązka jest dziś tylko w obozie katolickim, radzi zorganizować obóz czysto protestancki, pod sztandarem wyłącznie wyznaniowym,—to wyjaśnia ta obawa, która się przebija w zarzutach jego, czynionych *Towarzystwu ludowemu*, które on posądza o chęć sparaliżowania działań *Związku Katolickiego* i osłabienia jego znaczenia. Jakoż tak jest istotnie, a do tego nie potrzeba ani chęci, ani zakreślonych wyraźnie w tym kierunku dążeń onego Towarzystwa. Sam fakt, że ono nie wywiesiło sztan-

daru czysto ewangielickiego już osłabia znaczenie *Związku Katolickiego*. Dopóki bowiem wywieszenie chorągwi ewangielickiéj nie zamknęło wstępu do *Towarzystwa ludowego* katolikom jako takim, dopóty istnieć będzie obawa, że nie tylko luźni wstępować tam będą, ale i ci nawet, którzy już przystali do „*Związku*", dopóty ten ostatni nie zszereguje wszystkich swoich wyznawców, dopóty ciężyć będzie na nim zarzut, że niéma prawa występować w imieniu ogółu katolików, dopóty téż urok jego siły nie będzie dostatecznym, a kto inny w każdéj chwili zdoła sięgnąć jeśli nie po sztandar, to po chorążych dzierżących ten sztandar.

Ztąd téż gwałtowność i zaciekłość Stalmacha, który raz ujrzawszy Szlązk w obozie katolickim, wszystkie swoje siły wytężył, aby zorganizować ten obóz, a pokonać tych, których poczytywał za przeciwników tego obozu. Że w środkach nie przebierał, tośmy widzieli. Rzecz to przy gorącym, namiętnym temperamencie Stalmacha bardzo zrozumiała psychicznie, choć-by się nigdy niedała usprawiedliwić ze stanowiska etyki społecznéj.

Wybuchłe w skutek tego rozterki w Cieszyńskim, zaniepokoiły społeczeństwo polskie i cała prasa bez różnicy obozów, jak dawniéj przyklaskiwała Stalmachowi, tak teraz zwróciła się przeciw niemu. Te zaś dzienniki, które wyraźnie tego nie uczyniły—milczały, wyczekując bliższych dokładniejszych informacyj o przebiegu sprawy Szlązkiéj, ale wszystkie w obawie, aby rozterki nie przybrały groźnych rozmiarów i nie zamieniły się w gwałtowną walkę religijną, wyraziły życzenie zgody i porozumienia.

Mniemano, że żarząca się iskra niechęci da się łatwo ugasić, jako dzieło nieporozumień chwilowych między obu obozami, lub uprzedzeń jednostek; mniemano, że jeśli kto, to redaktor „*Gwiazdki Cieszyńskiéj*" cofnie się pod naciskiem opinii publicznéj. Nieznano Stalmacha. Wybuchnął on z taką samą gwałtownością przeciw prasie całéj Polski, jak przed chwilą przeciw „Klice *Towarzystwa ludowego*; a że dzienniki krakowskie, jako bliższe Szlązka, bardziéj i rychléj od innych przejęły się obawą niepokojów cieszyńskich, przeciw nim głównie zwróciło się ostrze pocisków Stalmacha.

Jakiego rodzaju były te pociski, da nam poznać kilka przytoczeń. I tak we wstępnym artykule („O dziennikach krakowskich") pisze *Gwiazdka*: „Dzienniki Krakowskie jeden za drugim zaczęły dmuchać w trąbę kliki", która ucieka się do gazet polskich po za Szlązkiem, oszukując je kłamstwem i fałszami".

„Przeciwko..... wystąpili w zwartym szeregu: broszurkarze, dr. Haase, Krakowskie dzienniki liberalne, *Gazeta Krakowsha* i *Nowa Reforma*, ultramontański *Czas*, piekielny *Diabel*, tutejsza *Silesia* nie-

miecka, liberałowie i ewangielicy, i rzeczona klika wyrachowanych narodowców....."

Albo na innėm miejscu:

„*Czas* zaprzedawszy się tutejszéj klice, łże uparcie, że *Gwiazdka Cieszyńska* zrobiła rozdwojenie narodowe i to rozdwojenie wywiesiła jako sztandar. Stojąc w służbię kliki, oczywiście *Czas* nie może inaczéj powiedzićć" itd.

Kto zna nasze stosunki, stanowiska naszych obozów narodowych, ten oczywiście na seryo brać nie może posądzeń, np. katolickiego *Czasu* o sprzysiężenie z ewangielikami przeciw katolickiemu *Związkowi*, lub uplanowane porozumienie innych dzienników naszych z „kliką" anti - Stalmachowską, porozumienie, do którego tu wciągnięto i przeciwników naszych: *Silesią*, Haasego itp. Ale tu idzie o ten ton w walce Stalmachowéj, ton żywcem przypominający polemistów religijnych z XVI stulecia, a tak dosadnie charakteryzujący obecne roznamiętnienie człowieka, który wypadłszy naraz z dotychczasowéj roli całego poprzedniego życia, pragnie koniecznie obronić dzisiejsze swoje stanowisko, a jednak wszystkiego na obronę powiedzićć nie chce, nie może i nie znajdzie. W takim stanie jest bardzo naturalne owo rozpaczliwe szamotanie się ducha, który wybuchem zewnętrznym swych porywów nie tylko chce sobie ulgę sprowadzić, ale i przełamać nim wszelkie zapory, stojące mu na zawadzie. Któż zechce sam siebie potępić za czyn dokonany z całą świadomością? Na to się zapewne niezdobędzie i serce ewangieliczne, a tém mniéj Stalmachowe, ukute i rozpalone widocznie w kuźni Wulkana. Gdyby on miał rządy i bagnety za sobą, zmusił-by jednego dnia wszystkich przeciwników do milczenia i zapewne zmusił-by nie słowem. Gdy tak nie jest, nie przebiera w środkach walki na broń Guttenberga.

Wśród téj jednak walki wymknęło się mu parę razy z ust słowo, które niepowinno było znaleść miejsca w ustach jego, którego lepiéj gdyby nie słyszano, lepiéj dla samego Stalmacha, dla Polski, a przedewszystkiem dla Szlązka; „Przyjechali panowie z Krakowa—powiada raz „*Gwiazdka*" z powodu usiłowań paru osób przeprowadzenia ugody „i Kraków stracił potrzebny dla ludu Szlązkiego urok". Albo na innėm miejscu w liście z okolicy z powodu różnych artykułów obywateli cieszyńskich w dziennikach krakowskich, lwowskich etc., mających na celu zapoznanie Polaków pozaszląskich ze stosunkami cieszyńskiemi: „Nie czytam krakowskich gazet i nie wiem co do nich pisują, ale było-by lepiéj, żeby ci narodowcy raczéj pisali co użytecznego dla swojego ludu, a nie dla *obcych*".

Już to jeżeli obecni przeciwnicy Stalmacha grzeszą brakiem odwagi w sprawach narodowych, to on—jéj nadmiarem w sprawach osobistych. Niepodziwiać jéj niepodobna. Ale jaka szkoda, że ten bystry umysł, ta młodzieńczość jego zapału, te lawą gorącą wezbrane namiętności, ta wreszcie gwałtowność ciosów jego, nie mogą być skierowane w stronę zewnętrznego nieprzyjaciela. Jakby Stalmach sam urosł na olbrzyma, jakby sprawa narodowa wzmocniła się oparta na takich twardych granitowych ciosach! Ale to trudno. Może się to jeszcze kiedy stanie, ale stać się może przy innych warunkach i pod innym sztandarem niż ten, który redaktor *Gwiazdki* dzierżył w swych ręku do roku przeszłego, bo odtąd Stalmach przestał być tém, czém był: stracił on możność działania i walczenia z własnéj inicyatywy, przyjmując takową z ramienia *„Związku katolickiego"*. Oczywiście wszelka dalsza na przyszłość zasługa lub nagana za akcyą kierowniczą w życiu publicznem księstwa przypaść musi w udziale nie jemu lecz *Związkowi*. On jest tylko odpowiedzialny za przyznanie Związkowi téj inicyatywy, a jeśli to uczynił z dobréj woli i z głębokiego przeświadczenia, że w ten sposób lepiéj usłuży krajowi i sprawie ojczystéj, to oczywiście trudno mu tę rezygnacyą zapisać na rzecz jego pasywów.

(*c. d. n.*) *Jan Grzegorzewski.*

ZYZMA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Sejm został otwarty, miasto się ożywiło. Po towarzystwach i miejscach publicznych mówiono o sprawach kraju. Dzienniki polityczne były odczytywane z ciekawością i uważnie.

Doktór Blum i Zyzma razem pracowali pisząc do Nowéj Presy korespondencye o konieczności połączenia koleją żelazną Węgier z Galicyą i przysunięcia się do granic Królestwa.

Blum zdolny i zręczny, umiał przekonywać, grupować odpowiednio fakta i apoteozować swoje projekta. Czytając jego artykuły zdawało się, że potęga państwa na téj jednéj linij kolei spoczywa.

Nic dziwnego więc, że opanował młodego swego przyjaciela, Zyzma z radością kładł swój podpis na tych wypracowaniach.

— Byleby jak najprędzéj skończyć tę sprawę powtarzał, zdjąć maskę, i wyjść z fałszywéj roli. Odetchnę gdy wrócę do swych przyjaciół i powiem im—patrzcie nie przychodzę z próżnemi rękami.

Nalegał na Bluma aby pisał nieustannie, płacił za strategiczne wypracowania, chodził na posiedzenia sejmu, wyczekując niecierpliwie chwili otwarcia dyskusyi nad projektem budowy nowéj kolei.

Hrabia przysłał mu bilet do loży sejmowéj na wszystkie posiedzenia i spotkawszy go na kolacyi u Żorża winszował świetnych artykułów, ściskał serdecznie za rękę, mówił dużo o obowiązkach dla kraju, patryotyzmie, łączności... Nie żałował frazesów. W końcu zaprosił go wraz z Blumem na obiad. Przyszedł i Gucio który umiał rozweselić biesiadników.

Nareszcie nadszedł dzień tak niecierpliwie oczekiwany przez Zyzmę, Bluma, Fuchsa i członków konsorcyum.

Galerye wypełniły się, na dole nie brakowało ani jednego z posłów. Sprawa dla kraju była ważna, dzienniki od paru dni zapowiadały mowę hrabiego, która miała być punktem kulminacyjnym obecnéj sesyi sejmowéj.

Wstąpił na mownicę, — zrobiła się cisza. Hrabia miał głos dźwięczny, sympatyczny, pociągający, mówił przekonywająco, nie żałował wielkich frazesów dla galeryi, cyfr dla rządu i dowodów podniesienia dobrobytu kraju, dla ludzi trzeźwych. Napomknął o połączeniu morza Czarnego z Baltyckiem, Prutu z Wisłą, zbliżenia się do Warszawy. Rozwodził się szeroko o ile kolej Czerniowiecka obdziera kraj i jego ekonomicznym interesom robi krzywd. A o ile ze względów strategicznych nowa linja jest niezbędną i dla potęgi państwa konieczną to jest dowód, że nawet „Nowa Presa“ tak nieprzychylne dla nas pismo, zmuszona była, ze względu na państwo, popierać ją.

Mówiąc to spojrzał na lożę w któréj siedział Zyzma.

Twarz młodego człowieka okryła się rumieńcem oczy przysłonił rękami, wstydził się swéj przybranéj roli i stosunku z organem, któremu już tyle razy jawną wytykano nikczemność.

Chciał wyjść, lecz grzmot oklasków z galeryi przykuł go do miejsca. Spojrzał na dół sali sejmowéj. Tryumfujący hrabia schodził z mównicy, koledzy cisnęli się do niego winszując mu. Marszałek przywoływał galeryą do porządku.

Powstał komisarz rządowy. Uciszyło się—ogólna uwaga zwrócona była na rzecznika rządu, który również ze stanowiska państwowego oświadczył się za nową linią, tém więcéj że rząd na nią pieniędzy nie daje, gdyż zawiązane konsorcyum przyrzeka ją zbudować własnym kosztem. Zyzma się uśmiechnął, serce mu biło, pewny był zwycięstwa.

W sali się przerzedziło, większa część posłów przeszła do bufetu. Pobiegł tam i Zyzma, przecisnął się do hrabiego serdecznie ściskając mu rękę.

— Zkąd ci przyszło, odezwał się jeden z posłów do hrabiego, tobie dowodzącemu, że być lepszym Austryakiem niż Polakiem jest szczytem patryotyzmu, prawić tak górnolotne frazesy od morza do morza?

— Oddaj morzu co morskiego, a Austryi co Austryackiego, odpowiedział hrabia wesoło i ująwszy Zyzmę pod ramię odprowadził na stronę.

— Należy koniecznie zatelegrafować od Nowéj Presy krótką treść méj mowy, którą umyślnie przygotowałem i odpowiedź komisarza. Pamiętasz ją pan?

— Wybornie, zapewnił Zyzma.

— A oto potrzebne ustępy méj mowy dla Nowéj presy.

Podał mu zapisaną ćwiartkę papieru. Zatelegrafujesz pan?

— Z rozkoszą panie hrabio.

— Jak kto może, niechaj służy uczciwéj sprawie. Możemy sobie powinszować służyliśmy wiernie.

— A więc pan hrabia uważasz tę sprawę za skończoną.

— Najzupełniéj, komisarz w przemówieniu swém stosował się do wskazówek przysłanych z ministerstwa.

— A więc zwycięstwo.

— Które w części zawdzięczamy i panu.

— Panie hrabio uważałbym się za szczęśliwego gdyby w istocie tak było.

Hrabia protekcyonalnie poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się i pożegnał skinieniem ręki.

Zyzma nie dostrzegł różnicy w traktowaniu, zbiegł ze schodów uśmiechnięty, rozpromieniony. Konie jego czekały przed gmachem sejmowym. Skoczył do powozu każąc pędzić do telegraficznego biura.

— Nareszcie skończone, wolno mi już zdjąć maskę, wolno mi być sobą, wolno głośno powiedzieć, czem jestem i czego chcę.

Ostatni telegram a potém pożegnam ich. List do nich ułożę razem z Danielem. Napiszemy im prawdę.

Po wyprawieniu telegramu kazał się wieść do uniwersytetu. Pod samą górą zatrzymał się, a spotkawszy młodego człowieka zdążającego do gmachu—domyślił się że na wykłady, prosił go aby wywołał Józefa Topaza i Natana.

Młody człowiek uśmiechnął się sympatycznie i z gotowością przysługi oznaczającą młodzież lwowską, przyrzekł ich wyszukać i przysłać,—tém więcéj że Józef i Natan od czasu ukazania się „Zgody“ wybitne zajmowali stanowisko w gronie kolegów wszystkich wyznań.

Nie długo czekał. Dwóch młodych ludzi zobaczywszy go zbiegli z góry.

— Siadajcie panowie pojedziemy do Daniela. Porzucam Nową Presę i maskę zdejmuję, jestem wasz —głośno i otwarcie.

Młodzi ludzie skoczyli do powozu, woźnica zaciął konie pędząc do mieszkania dzielnego przywódzcy.

Daniel się zdziwił na widok tak niezwykły. Zyzma opowiedział historyą nowéj linii kolei żelaznéj.

— Domyślałem się tego, przeglądając korespondencye ze Lwowa w Nowéj Presie, odezwał się wzruszony Daniel. Szanuję pana...

— Stawiam ważną kwestyą pod obrady, zawołał Józef. A mianowicie czy przystąpienie pana Zyzmy do naszego obozu, ogłosić w „Zgodzie“.

Daniel i Natan spojrzeli na Zyzmę czekając jego odpowiedzi.

— Radbym jak najprędzéj otwarcie i głośno wypowiedzieć moje zasady. Lecz czy mi wolno zrobić to dziś nie mając pozwolenia moich spólników w akcyi.

— A zatém cierpliwości,—rzekł Daniel.

— Do przyszłego numeru, pochwycił Józef.

— Kiedy wyjdzie, spytał Zyzma.

— Za siedmnaście dni.

— Do tego czasu sprawa ostatecznie się wyjaśni: A tymczasem cieszę się, że przynajmniéj z panami mogę być już dziś zupełnie szczerym. Zagadkowość moja dręczyła mnie. Nareszcie przestąpiłem próg pańskiego mieszkania, zwrócił się do Daniela i z góry uprzedzam, że nieraz będę się naprzykszał wizytami.

Daniel wziąwszy to oświadczenie za komplement dla siebie, ukłonił się.

— Uczennica pańska robi postępy?

— Zadziwiające, pochwycił z pewnym entuzjazmem nauczyciel, lekko się rumieniąc.

Zyzma udał że tego nie widzi.

— Możebyś pan dziś, odezwał się nieśmiało Natan, odwiedził nas. Tak dawno...

— Prawda dawno, źle zrobiłem, lecz sprawy kolejowe, ludzie, stosunki. Teraz będę miał więcéj czasu. Dzisiaj mówisz pan. Dobrze, lecz wieczór...

— Czekamy.

— A teraz jako już szczery i otwarty przyjaciel żegnam was panowie.

Młodzieńcy zostali sami,—rozprawiając entuzyastycznie o korzyściach przystąpienia bogatego człowieka i korespondenta Nowéj Presy do ich obozu.

Natan pobiegł z dobrą nowiną do siostry, Józef do kolegów, w końcu zwierzył się matce. Kut przestraszyła się, prosząc go aby się nie chwalił przed ojcem i bratem.

Rozpromieniony Zyzma wrócił do domu.

— Jeżeli zostałem nawróconym polakiem, to przecież nie przychodzę do méj biednéj ojczyzny z próżnemi rękami.

Chłopca posłał do sklepu po Sali rozkoszując się tymczasem swemi marzeniami.

Ludzie się przecież o tém dowiedzą, powtarzał w duchu, i ocenią moję uczciwą pomoc, moję bezinteresowność, wynagrodzą mnie uczuciem i sympatyą. Dotąd, przeczuwam, byłem wstrętny dla patryotycznego mieszczaństwa lwowskiego. Wstydziłem się pokazywać w cukierniach, bałem się wejść do Kosteckiego i Grossa. Ale jutro, za tydzień, będą mi robić miejsce, gdy wejdę będą uśmiechać się do mnie sympatycznie i wyciągać swe dłonie do uścisku.

Wbiegła Sali.

— Jestem i czego chcesz odemnie, zapytała. Zyzmie się zdawało że była wystraszona i blada.

— Co ci jest, odezwał się wpatrując się w nią troskliwie.

— Przelękłam się, odrzekła, myślałam że się coś złego stało. Od niedawna zaczynam się bać o lada drobnostkę—o wszystko.

Ujął ją za ręce i pociągnął ku sobie, siadając na kanapie.

— Cóż za przyczyna takiéj zmiany, nie dawno byłaś bardzo odważna. Cóż się z tobą dzieje? Twój nauczyciel zadowolony z ciebie, mówił mi to i pewno się już nieuśmiecha.

Dziewczyna bladła i rumieniła się, a chcąc co prędzéj wydobyć się z pod obserwacyi.

— Pani, szepnęła, żebyś ją teraz widział mój Zyzma.

— Cóż?

— Już nie jest tą naszą „panią“ dobrą, serdeczną. Nie mówi do mnie, a gdy wejdę do jéj pokoju czuję że radaby się mnie jak najprędzéj pozbyć. Smutna, zamyślona, gra po całych wieczorach. Czy ona czasem nie myśli od nas uciec? Ciągle coś radzi ze swoim nauczycielem, pytała się służącéj o cenę mieszkania z dwóch lub nawet jednego małego pokoiku.

— Pytała się?

— Kilka już razy. Pobladła, oczy ma podsiniałe bo téż pracuje, pół dnia w sklepie, drugie pół przy fortepianie, a często i do późna w noc.

Zyzma się głęboko zamyślił, wstał, podszedł do okna patrząc długą chwilę.

— Ten nauczyciel grzeczny jest dla ciebie,—spytał.

— Patrzy na mnie jak na psa i brwi, swoje wielkie siwe brwi, ściąga, gdy mnie zobaczy bawiącą Stasia. Ja się go boję.

— Domyślam się wszystkiego. Wracaj moje dziecko do sklepu, a gdy wieczorem znajdę się u „pani“ bądź i ty. Nauczyciel pani wieczorami nie przychodzi.

— Nigdy.

— Do widzenia. A że pan Daniel jest coraz więcéj z ciebie zadowolony, jest nadzieja że twa odwaga i wesołość—wrócą.

Dziewczyna nie chcąc się zdradzić rumieńcami wybiegła. Przez drogę rozmawiała z sobą, uśmiechała się, zdawało jéj się że odwaga jéj i wsołość wracają.

— Gdyby tylko Zyzma „panią“ przebłagał, ułagodził ją. Gdyby wróciły te dobre nasze czasy... Wpadła do sklepu rozpromieniona. Rozmawiała z subicktami serdecznie i dużo.

Wieczorem pukanie do drzwi saloniku pani przerwało jéj grę.

Przestraszyła się, roztrojone jéj nerwy wstrząsały nią za każdym niespodziewanym hasłem.

Wszedł Zyzma.

Przyjęła go zakłopotana zimno i sztywnie.

— Przepraszam, odezwał się wzruszony, przerwałem ulubioną pani rozrywkę.

— Raczéj pracę,—odpowiedziała cicho.

— Pracę, to już za wiele, pracujesz pani ciężko w sklepie...

Nie śmiał dokończyć.

Młoda kobieta smutna, poważna, również nie śmiała się tłómaczyć.

— Jeżeli przerwałem pracę, rzekł po chwili, tém więcéj powinienem panią przeprosić. Nie wiedziałem że wieczorami pracujesz, dawno nie byłem, a nareszcie dzień dzisiejszy jest dla mnie tak uroczystym, że nie mogłem nie przyjść.

Weszła cicho Sali stając przy drzwiach.

— Cóż się stało, pytała zdziwiona.

— Długa historya, odpowiedział z uśmiechem. Musiała pani słyszéć, że do Lwowa przyjechałem jako ajent i korespondent „Nowéj Presy.“

— Nie, nie słyszałam, odpowiedziała rumieniąc się.

— Byłem pewny żeś pani słyszała. Otóż zaręczam że tak jest w istocie. A mimo to założyłem pismo żydowsko-polskie.

— „Zgoda“ szepnęła Sali. Pan Daniel jest jego redaktorem,—pani to pismo przeglądała.

— A ponieważ udało mi się dopomódz do połączenia Węgier z Polską nową linią drogi żelaznéj, „Nowa presa“ nie jest już nam potrzebną, i od dziś nie jestem jéj korespondentem. Ludzie przestaną mnie przeklinać a ja się kryć z memi zasadami. Nowa droga zawsze przyniesie pewne korzyści dla kraju.

— Czytałam dzisiejsze gazety—szepnęła.

— Znasz więc pani tę sprawę. Dobrze jest czasem być bezczelnym i nic sobie nie robić z opinii. My żydzi potrafimi to.

Gdy to mówił, wargi mu drżały ze wzruszenia. Sali ujęła go za rękę i pocałowała.

— Zyzma nie mów tak, ty jesteś dobry. Nie wiedziałam, że „Zgoda“ za twoje pieniądze wychodzi.

Młoda kobieta siedziała nieruchomie, nie śmiejąc spójrzeć na Zyzmę.

— I dla tego to dzień dzisiejszy jest dla mnie uroczystym. Czekają na mnie młodzi wydawcy „Zgody“.— Powstał pocałował panią w rękę i wyszedł.

Sali odprowadziła go do sieni.

— Wracaj do pani—szepnął jéj—a jutro rano wpadnij do mnie. I dumny, uroczysty schodził ze schodów. Pewny był, że zrobił wrażenie. Domyślił się, że młoda kobieta pod naciskiem plotek zaczęła zmieniać o nim opinią.

— Nie ulega wątpliwości, że chciała uciekać, lecz zawstydziłem ją. Nie śmiała na mnie spójrzeć, nie śmiała mnie przepraszać, zatrzymywać, powiedzieć jednego wyrazu. Wybornie się wszystko układa.—Kontent był z odegranéj roli Walenroda, choć jéj dobrze nie umiał określić, a zupełnie zapomniał, że to szczęśliwe wypadki wpływały na jego wrażliwą i dobrą naturę i kierowały nim. Ani pomyślał, że do Lwowa przyjechał jako prawdziwy i rzetelny korespondent pisma którém dziś pogardzał.

Sali wróciła do „pani“, popatrzała na nią i wiedziona instynktem pocałowała ją w rękę.

Młoda kobieta przycisnęła ją do siebie. Dziewczyna z rozrzewnienia rozpłakała się, tuląc się do niéj.

— Zyzma nie jest łajdak — mówiła cicho i rzewnie. — Grał naszemi pieniędzmi i wygraną oddał nam. On nie jest chciwiec, ja nie jestem jego krewna, tylko biedna sierota, którą się opiekuje. Cóż zawiniłam—dodała ciszéj—to, że kocham panią i przykro, bardzo mi przykro, gdy ją widzę smutną.....

Młoda kobieta starała się utulić jéj płacz.

— Cicho, cicho Sali, przebacz i zapomnij. I ja nie jestem zła i niewdzięczna, tylko nieszczęśliwa.

— I dla tego chce pani od nas uciekać.

— Zostaję, nie opuszczę was. Kiedy już tak Bóg, czy losy zrządziły, idźmy daléj razem. Wracaj do siebie moje dziecię, pragnę być samą. Jutro rano przyjdź do mnie. Nauczycielowi twemu nie mów o niczém.

— Nic mu nie powiedziałam. Wstydziłam się — dodała, spuszczają oczy.

Gdy się drzwi za Sali zamknęły, młoda kobieta padla na kozetkę.

— Ta żydówka—zawołała—bez wychowania, bez wydelikaconych wychowaniem uczuć, wstydziła się mówić swemu nauczycielowi o méj niewdzięczności. Okropnie upadłam.—Nerwy nią wstrząsały, nie mogła usiedzieć, zerwała się. Stanęła przed pianinem, lecz dotknąć się klawiszy nie chciała, nie mogła, uczuła nawet wstręt.

Otworzyła okno, księżyc cicho płynął po szafirach nieba, przetykanych gwiazdami. Przezroczyste chmurki nadbiegały, on je osrebrzał, haftując ich białą przędzę. Cicho było w naturze i na ulicach. Zaledwo zdaleka zaturkotał odgłos pędzącéj lokomotywy i ucichł, i znów nastała cisza, zdawało się że można było usłyszeć lekkie szmery płynącego księżyca.

Cisza i światło księżyca uspokoiły jéj nerwy, łagodząc rozdrażnienie, gniew na siebie samą i wstyd.

— Czy on czasem tego wszystkiego nie robi z miłości dla mnie, którą kryje na dnie swego serca?.... Zarumieniła się. Nie mogła teraz w inny sposób wytłómaczyć sobie szlachetności żyda.

Z mieszkania młodéj kobiety Zyzma wprost pobiegł do Natana i jego siostry. Rad był dziś odbierać dowody uznania. Duma, podsycana powodzeniem wzrastała w nim.

Drzwi otworzył mu Natan, siostra przyjęła go w salonie. Nikogo więcéj nie było. Młodzi przyjaciele widocznie nie zostali zaproszeni.

Żanetta była rozrzewniona i rozdrażniona. Na widok Zyzmy oblała się rumieńcem, ręka jéj drżała przy powitaniu, oczy świeciły.

Zyzma nie usłyszał żadnych komplementów, ani jednego wyrazu uznania ze strony młodéj dziewczyny. I gdy Natan zaczął mówić o jego bohaterstwie, odpowiedziała:

— Wiadomość ta nie była dla mnie żadną nowiną. Musiało być tak, jak się stało. Wierzyłam panu i gdyby się stało inaczéj, ciężką krzywdę byś mi wyrządził.

Przeszła mu przez myśl różnica sądzenia go przez „panią“, a młodą dziewczynę.

— Dziękuję — rzekł — za wiarę, jaką masz pani we mnie, pomimo.....

— Że?

— Że—powtórzył—mało mnie znałaś.

— Do ocenienia człowieka czasem... wystarcza jedna godzina serdecznéj rozmowy.

Zyzma się zamyślił i posmutniał. Dziewczyna rzucała na niego spójrzenia pełne utajonéj namiętności i tęsknéj zadumy. Promienie

jéj oczu uczuł na swéj twarzy. Podniósł wzrok, spójrzenia ich skrzyżowały się. Jakieś nieznane wrażenie ścisnęło mu serce, zatrzymało oddech. Spuścił oczy i nie widział ani rumieńców ani bladości twarzy dziewczęcia.

Krótką chwilę panowała cisza, ciężka dla dziewczyny, męcząca dla Zyzmy. Przerwał ją Natan.

Rozpoczęła się rozmowa o krótkich dziejach wydawnictwa „Zgody" o gorączce Józefa, spokoju i rozumie Daniela o dalszych projektach i ludziach.

Zyzma słuchał z wzrastającém zajęciem opowiadań ładnéj dziewczyny i jéj brata, wypytywał się i uczył. Parę godzin przeszło jak krótka chwila.

— Tak mi tu dobrze—rzekł żegnając się.

— A jednak tak rzadko pana widujemy—odparła.

— Poprawię się—odpowiedział wesoło.

— Cóż Żanciu—spytał się Natan siostry, gdy zostali sami.

Dziewczyna się zamyśliła.

— Nie odpowiadasz?—nalegał, głaszcząc ręką czarne jéj włosy.

— Dobrze-by mu było z nami—odpowiedziała.

— A nam z nim?

— Lecz cóż, inaczéj losy chciały — oparła głowę na ręku i zamyśliła się.

Porównania usposobień względem niego dwóch kobiet, które w towarzystwie siostry Natana oświeciły jakby błyskawicą myśli i umysł Zyzmy, wróciły gdy był sam. Zaczęły sie układać w wyraźne formy. Występowały pytania i odpowiedzi, spostrzeżenia dostarczyły faktów, które loika porządkowała, wysnuwając wnioski.

Młoda dziewczyna zaledwo zna go od kilku miesięcy, widziała parę razy... Pani ma mu dużo do zawdzięczenia gdy siostrze Natana nie zrobił nic.

Czuł, że w towarzystwie Żanetty był śmielszy, pewniejszy siebie. Było mu tam swobodnie i dobrze, gdy „pani" ziębiła go swoją grzecznością i pańskim układem. A mimo to coś go pociągało ku pani, jakaś nieznana mu siła. Może jéj wyniosłość była dla niego atrakcyą. Mimo to wszystko Żanetta ze swemi czarnemi, smutno patrzącemi oczami rysowała się uparcie w jego myśli.

— Co by się taraz stało ze mną, gdybym wytrwał w pierwiastkowéj roli korespondenta „Nowéj Presy". Został-bym nikczemnikiem! Wzdrygnął się. Niepodobna zawołał, gdy byłem nędzarzem pracującym w pocie czoła aby zarobić guldena, nie zrobiłem żadnéj podłości, a w chwili gdym zdobył pieniądze, niezależność,—okrop-

ne..... Młodzi ludzie którzy mnie wydobyli z téj przepaści..... To niepodobna, jabym przecie przejrzał sam i sam się wydźwignął.

Dopiero teraz zaczął mierzyć drogę, jaką przebył w swych pojęciach od czasu przyjazdu do Lwowa. Zdawalo mu się, że zrobił tylko jeden krok naprzód, że przeobrażenie odbyło się samą loiką jego myśli, że nie mogło być inaczéj, że to co się stało, tak się stać powinno.

— Bo zacóż-bym miał prześladować ten biedny kraj, moję ojczyznę, znęcać się nad nią i spotwarzać ją. Dla ułatwienia panowania nad światem méj rasie? Jakiego panowania? Zdzierstwa, wyzyskiwania i podłości. Wielki redaktor Nowéj Presy zmalał w jego oczach.

— Zrobić choć-by drobną przysługę społeczeństwu, wtedy inaczéj się patrzy na jego stosunki. Gdy się staje w szeregu walczących, inne wyobrażenia przychodzą.

Wiara w zasługi dla kraju a ztąd płynące uczucie dumy i zadowolenia wysnuwały z jego mózgu szlachetne myśli. We śnie odbierał hołdy deputacyi z okolic, przez które nowa linia kolei miała przechodzić. Miasta robiły go swym honorowym obywatelem. Żaneta wlepiała w niego czarne, smutne oczy, „pani" nie śmiała ani go przepraszać, ani spójrzéć na niego.

Rano wpadła Sali.

— Zyzma „pani" jest już tak dobrą jak dawniéj. Pocałowała mnie po twoim odejściu i powiedziała: ja nie jestem zła i niewdzięczna, tylko nieszczęśliwa. Dziś piłyśmy razem kawę, pani się uśmiechała, a ja miałam łzy w oczach.

— Z jakiegoż to powodu miałaś łzy w oczach—spytał z uśmiechem.

— Ja tak dobrze tego nie rozumiem, ale gdyby pani nami pogardziła i uciekła od nas, pan Daniel—dodała ciszéj, rumieniąc się—nie przychodził-by do mnie, ludzie-by nas pokazywali palcami. Zyzma, dobrze się stało i trzeba za to Bogu dziękować.

— Cóż Daniel mówił?

— Pan Daniel nic nie mówił, tylko raz pani przyszła umyślnie do mego pokoju i pytała się go jaką ma opinią o Nowéj Presie, a pan Daniel odpowiedział, że jest-to ohydne pismo, które kłóci braci jednéj ziemi.

— Doskonale pamiętasz co mówił pan Daniel.

— Wybornie Zyzma — zawołała, nie domyślając się podstępu. I to pamiętam, że po téj rozmowie, pani zaczęła mnie unikać, zamykać się w swoim pokoju i grywać po całych nocach.

Mówię ci Zyzma dobrze się stało, a teraz bądź zdrów, muszę wracać. Wczoraj wieczór nie mogłam się uczyć, pan Daniel przychodzi o jedynastéj a ja nic jeszcze nie umiem.

Wybiegła.

Tego samego dnia o zwykłéj porze przed samym wieczorem do saloniku na trzeciém piętrze wszedł nauczyciel muzyki. Młoda kobieta zamiast zasiąść do pianina zaczęła z nim gorącą rozmowę.

Stary z uszanowania dla damy z początku milczał późniéj zaczął się dziwić, bronić, ostrzegać, aż wybuchł gwałtownie.

— Przysięgam—zawołał—że na dnie tych wszystkich humanitarnych czynów, kryje się podstęp, fałsz, lub szerokie plany wyzyskania nas. Rasa ta zubożyła Egipcyan. Od dwóch tysięcy lat żyje pracą i potem Europy i za drugie dwa tysiące gotowa ukamienować każdego, kto jéj będzie mówił o miłości, jak dwa tysiące lat temu rzucała kamieniami na św. Pawła w Jerozolimie.

— Św. Paweł był żydem—odpowiedziała młoda kobieta.

— A żydzi go kamienowali. Przeklęta rasa! Nigdy się moja ręka nie splami uściskiem żyda, a usta błogosławieństwem. I zaklinam cię pani przez wzgląd na dziecko swoje odczep się od nich, uciekaj.

— Nie mogę—odpowiedziała spokojnie i stanowczo.

Nauczyciel pochwycił kapelusz, popatrzał wzrokiem litości i żalu na swą uczennicę i wyszedł.

Drzwi się zatrzasnęły, młoda kobieta uczuła jak gdyby drzwi grobu spadły z łoskotem. Nauczyciel był ostatnim łącznikiem między nią a jéj światem. Zamyśliła się głęboko.

— Stało się—szepnęła.—Nie pozwolę na to, aby żydzi upokarzali mnie szlachetnością.

Nazajutrz wieczorem wbiegła Julia.

— Amelko—zawołała—twoja ciężka praca, nasze piękne plany, nadzieje, potargałaś...

— Musiałam—odpowiedziała.

— Któż cię zmusił?

— Nie zniosłabym tego, aby żydzi powiedzieli mi choćby tylko swym wzrokiem. Myśmy cię uratowali od głodnéj śmierci, a może od hańby, ofiarowali ci naszą przyjaźń i miłość, zabezpieczyli byt tobie i dziecku twemu, a ty za wszystko gardzisz nami i uciekasz od nas. A mimo to mówicie, że żydzi podłym są narodem, a wy uszlachetnieni religią miłości.

— To ty go kochasz—spytała Julia.

— Przysięgam, że nigdy myśl moja nie zwróciła się w tym kierunku, nie ośmieliła-by się napastować mnie. Ale nie chcę znosić upokorzenia własnych myśli, które-by szarpały sumienie me. Nie przeniosłabym tego, żeby żyd przygniatał mnie swoją szlachetnością, a młoda żydówka straciła wiarę w ludzi nie należących do jéj rasy i do jéj wyznania. I dla tego zostaję. Julciu nie namawiaj mnie, bo gdybym cię usłuchała, musiałabym się rumienić sama za siebie. Dziś jeżelibym wróciła i do was, do waszego świata, najlepsi z was przyjęli-by mnie jak nawróconą grzesznicę, drudzy z litości, trzeci z rozkoszą upokarzali-by mnie. Kogo raz fatalizm wyrzuci po za wasze koło, ten już nie wraca bezkarnie, chyba pod zasłoną milionów... Julciu nie odwódź mnie od mego postanowienia i nie zapominaj o mnie,—kiedyś za lat dwadzieścia, gdy o mnie nie zapomnisz, będziemy żyć w serdecznéj przyjaźni.

Julia ściskała silnie rękę przyjaciółki.

— Przysięgam—szepnęła—że cię nie opuszczę i dom mój musi być twoim.

Młoda kobieta wstrząsnęła głową na znak, że się nie zgadza.

— Musi być twoim odpoczynkiem po pracy—dodała—i dla tego radabym dziś iść zamąż.

Amelia pociągnęła ją ku sobie i pocałowała.

— Odpychać od siebie ludzi — szepnęła Julia — za to tylko, że są żydami, ty tego nie potrafisz.

II.

W salonie hrabiny Cesi nie było dziś ludno, lecz za to wesoło. Stary hrabia powrócił na zimowe leże, a miał on dar nawet ponurym wydobywać uśmiech na usta.

W potoku nowin i plotek gospodyni domu wpadła na ulubiony temat upadku swéj kuzynki i wychowanki. Fantazya jéj w tym kierunku nieustanną wprawą rozwijana, tworzyła wspaniałe obrazy.

Hrabia przepadał za skandalami. Bawiły go te parafiańskie okropności, słuchał więc opowiadań cioci z zajęciem, tém więcéj, że historya była niezwykła, ojciec oskarżonéj był jego kolegą w Kromiryżskim parlamencie, Amelią znał od dziecka.

Ciocia mając tak znakomitego słuchacza, wpadła w zapał. Hrabia się uśmiechał, białe jego wąsy poruszały się nieznacznie. Bawiła go wymowa cioci.

— Szkoda, że już starość wytrąciła mi pióro z ręki—pomyślał, patrząc na hrabinę.

W kulminacyjnym punkcie opowiadania, wyciągnął w górę rękę i rzekł swoim zwyczajem:

— Basta.

Przestraszona ciocia zamilkła, towarzystwo z natężoną uwagą czekało wyroku.

— Przeczuwam, że młoda kobieta jest niewinną — odezwał się łagodnie. Hrabina Cesia zbladła, po towarzystwie przebiegł uśmiech zadowolenia. Nikt nie oponował. Ciocia nie była lubioną, a przy tém obawiano się dowcipu i złośliwości hrabiego.—Przebacz kochana pani, lecz mojém zdaniem, za dużo w obrazie ciemnych barw, tak, że stał się czarnym jak noc. Opowiadana historya podobną jest do starego romansu, pod tytułem: „Czarny płaszcz bandyty, czyli zatruty sztylet, albo tajemnica uwięziona w podziemiach klasztoru".

Odważniejsi rozśmiali się.

— Zarzucasz mi pan kłamstwo — rzuciła pytanie matka dyplomaty, zsuwając brwi.

— Ależ broń boże, mówię tyłko, że farby w obrazie nie koniecznie szczęśliwie są dobrane. Romans z żydem ma w sobie dużo dramatyczności, lecz aby nagrodą za tyle ofiar miała być wolność sprzedawania nici w żydowskim sklepie, to coś wygląda na „uwięzioną tajemnicę". Tem więcéj, że to kobieta piękna i młoda, dumna i przebacz hrabino była zawsze szlachetną. Wprawdzie popełniła dwie zbrodnie—poszła za zwyczajnego szlachcica i straciła majątek, jednakże bywają wprawdzie rzadko, lecz większe jeszcze na świecie przestępstwa.

Rozmowa potoczyła się w tym kierunku i jak zwykle bywa, zaczęła się tworzyć reakcya skutkiem zbyt wielkiéj obfitości oskarżeń ze strony hrabiny Cesi. Stary hrabia podrażniony jéj złośliwością, roznamiętnił się w obronie nieszczęśliwéj. Julia korzystając z nieobecności matki otwarcie i stanowczo popierała hrabiego.

— Jestem pewną, że Amelka jest lepszą odemnie—odezwała się w zapale,—gdyż ja czuję to, nie zdobyłabym się na tyle męstwa i siły, aby tak ciężko zarabiać na kawałek chleba..... Urwała. Nikt nie śmiał wystąpić w opozycyi, nawet hrabina Cesia.

— Niezawodnie—dodał hrabia.—Sprzedawać nici i guziki nie jest rozkoszą, i to aż tak kosztowną..... Nie chciał dokończyć, ze względu na obecność młodych kobiet.

Zbliżył się do Julii, składając pocałunek na białéj jéj ręce. Umieć uszanować pracę jest objawem wysoce cywilizacyjnym, a u nas należy do szlachetnych wyjątków. Skłonił się gospodyni domu, towarzystwu i wyszedł.

Wszyscy chcieli być wysoko cywilizowani, należéć do szlachetnych wyjątków i dla tego milczeniem poświadczali opinię hrabiego. Loika jego zaczęła wywierać wpływ.

— Gdybym miała władzę, wydaliłabym z miasta tego starego demagoga—odezwała się zirytowana Cesia.

— Trzeba czekać póki Edzio nie zostanie Namiestnikiem—odezwała się jedna z młodych dam.

Julia podziękowała jéj wzrokiem.

Hrabina Cesia zrozumiała, że opozycya zaczyna się wyrabiać.

— Bo istotnie—mówiła, siląc się na uśmiech—kochany hrabia gotów nam dowieść, że pojęcia nasze o moralności zakrawają na zbrodnię. Do czego ta demagogia nas nie doprowadzi? Rozśmiała się sucho, nerwowo. Odpowiedziano jéj również uśmiechem. Zrozumiała tętno jego brzmienia.

— Przegalopowałam pomyślała, a ten ukoronowany dziewięcioma pałkami demagog poświęci honor dla dowcipu i dokuczenia mi.

— Stary, będzie robota—rzekł hrabia, wieczór do swego lokaja, kładąc się do łóżka.

— Cóż tam nowego — odpowiedział ironiczno - dobrotliwie uśmiechnięty, wysoki, szczupły staruszek, ubrany w czarny, zapięty surdut i białą krawatę.

— Znałeś Brańskiego?

— Ba... nie znałbym? Przecież kolegowaliśmy w Kromieryżu.

— Prawda, tylko że on był deputatem—odparł wesoło hrabia, nie śmiejąc dodać a ty lokajem.

— Lepiéj jest być dobrym lokajem, niż złym deputatem—odpowiedział sługa.

— Jest racya, z tą tylko poprawką mój stary, że Brański był dobrym posłem.

— Nie odmawiam mu tego, i dla tego żyliśmy w przyjaźni.

Hrabia się uśmiechnął.

— Musiał ci być wdzięcznym.

— Nie pytałem się. Źle wychodzi ten, który szuka wdzięczności na świecie.

— Nie warto na nią liczyć.

Stary potakiwał głową.

— I jakaż to robota — spytał, udając obojętnego.

— Córka Brańskiego... słyszałeś?

— Jest podobno u żyda w sklepie.

— Mówią że jego kochanką.

— Albo to uczciwi ludzie temu wierzą? Żeby była jego kochanką, rozbijała-by się razem z nim powozami. Ładne ma żyd konie. Mieszkała-by z nim, a nie mierzyła łokciem jego tasiemek.

— Brawo stary. Wyobraź sobie, to samo przed godziną mówiłem jéj ciotce.

— I cóż?

— Miała ochotę mnie pokąsać.

Stary machnął obojętnie ręką.

— W każdym razie trzeba sprawdzić — mówił hrabia — bo żyd jest nicpoń, pisuje do Nowéj Presy.

— Ej, żyd jest żydem, a kto szuka zarobku, nie pyta kto mu go daje.

— Stary, ty mnie zachwycasz swoją loiką i zmuszasz abym się dziwił twemu rozumowi.

— Miałeś pan dość już czasu dziwić się, blisko czterdzieści lat— odparł stary poważnie.

Hrabia wybuchł śmiechem.

— Basta — rzekł, podnosząc rękę swoim zwyczajem — a teraz do rzeczy.

Stary sługa wyprostował się.

— Brański nasz kolega, jego córka, przypominasz sobie, parę lat temu co to za piękna była dziewczyna, dziś ciężko pracuje na kawałek chleba, nie żebrze, nie wiesza się u klamki krewnych, a ma ich tuzinami. I za to.....

— Obmówili ją.

— Spotwarzyli — zawołał hrabia, — spotwarzyli uczciwą pracę, spotwarzyli cywilizacyą.

— Spotwarzyli i mnie, panie hrabio, bo i ja przecie uczciwie pracuję.

— Broń się więc — przerwał hrabia, zmieniając ton głosu.—Należy się przekonać, jak istotnie rzeczy stoją. Bo widzisz my starzy znamy świat, diabeł nie śpi... Daję ci dwa tygodnie czasu. Stróż kamieniczny, służąca, subiekci, powiedzą ci prawdę, gdy ją wyciągnąć potrafisz. Jestem pewny że potrafisz. Radbym po córkę mego przyjaciela zajechać swym powozem i razem z moją córką zawieść ją do teatru.

— Czy tylko pani hrabina córka na to przystanie—zrobił uwagę stary.

— Zmusimy ją.

— Chyba gdy hrabia zagrozisz, że weksli płacić nie będziesz.

— Wiesz stary, głupio zrobiliśmy, żeśmy jéj nie wydali za zwyczajnego szlachcica.

— Abo by na to przystała?

— Prawda. Dobranoc ci mój stary.

— Dobranoc panu hrabiemu. Za dwa tygodnie złożę raport.

— Ufam.

Stary sługa wziął lampę i wyszedł, zamykając cicho drzwi. W swoim pokoju zasiadł na wygodnym fotelu dokończył Gazetę Narodową do ostatniego ogłoszenia i wtedy dopiero zaczął plany układać nad dowiedzeniem się prawdy.

— Bo jeżeli ma ją zawieść z własną córką do teatru, to musi być czysta jak łza—zawołał surowo i poważnie.

Zyzma rozkoszował się swą nową rolą. Cieszyło go uznanie młodych przyjaciół, szacunek jaki mu okazywał Daniel, uwaga umieszczona w „Dzienniku Polskim“, że „Nowa Presa“ nie szczuje tak zawzięcie w ostatnich czasach na polaków, a najwięcéj spokój „pani“ i jéj dobroć dla Sali.

— Zwyciężyłem—powtarzał, uśmiechając się, chociaż nie umiał wyraźnie określić kogo zwyciężył.

— Gdy otwarcie stanę przy „Zgodzie“ w żydowskim obozie zrobi się krzyk. Fuchsy, Topazy i cała czereda związana z nimi siecią interesów osnuwających całą Galicyą..... Co oni mnie obchodzą, lecz jak podźwignąć tych biedaków co są skazani na wieczną ciemnotę i walkę o byt w tak ciasném kole drobnego handlu, że dusić się muszą.

Co raz większą znajdował przyjemność w rozważaniu spraw swego kraju i swéj rasy. Możność ta robiła go nawet dumnym.

Myśleć o milionach, zajmować się ich losem, nie okradając jednych dla drugich, to przecież rozkosz, można swobodnie odetchnąć i uśmiechnąć się szczerze.....

Zadzwoniono, pobiegł sam otworzyć i wrócił z listem, wpatrując się w kopertę.

— Redakcya „Nowéj Presy“—przeczytał głośno.—Czyż-by już wiedzieli? Wzruszony a nawet przestraszony, rozdarł drżącemi rękami kopertę.

„Kochany Zyzma, czytał szybko. Jesteś sprytniejszy, aniżeli się nam zdawało. Sprawę nowéj drogi żelaznéj prowadziłeś wyśmienicie. Uciekaj z téj dzikiéj pół - Azyi odpocząć i zabawić się z nami. Przecież i ty musisz zarobić.

Czekamy. Do widzenia“.

Papier wypadł mu z rąk.

— Co to jest — zawołał. Był tyle sprytny, że domyślił się podejścia. Wyzyskano go.—Kto—pytał sam siebie.

— Blum mi wyjaśni tę zagadkę. Inaczéj zaduszę go.

Krew biła mu do głowy. Pochwycił kapelusz otwierając gwałtownie drzwi. W sieni spotkał żyda, który nieśmiało sięgał do rączki dzwonka.

Zobaczywszy Zyzmę, przestraszony cofnął się zdejmując pośpiesznie czapkę.

— Pan Zyzma, zapytał drżącym głosem po niemiecku.

— Tak,—odparł po polsku. Czegóż chcecie.

— Parę słów, tylko parę słów niedługo będę nudził, wiem że pański czas drogi. W głosie starego żyda czuć było rozpacz, żal i prośbę.

Zyzma wrócił, żyd wszedł za nim bojaźliwie. Długi jego chałat widocznie odświętny, przepasany czarnym pasem sięgał mu do stóp. W jadalnym pokoju żyd umieścił się przy drzwiach.

— Ja nie chcę długo nudzić,—zaczął dramatycznie.

— Mam czas, przerwał mu Zyzma, rad że może chwilę spotkania się z Blumem odłożyć. Siadaj pan.

— Ja nie żaden pan, zawołał żyd—ja dziś nędzarz, bankrut, jutro wyrzucony na ulicę z moją starą. Jutro idziemy żebrać, wyciągać ręce, głowy kłaść na kamieniach—łzy mu płynęły po twarzy, palce splatał, ręce wyginał nerwowo.

Prawdziwa rozpacz wzruszyła Zyzmę. Żyd nie mógł mówić,—dławiło go w gardle, co parę wyrazów odpoczywał.

— Gdyby kto obcy, ale szwagier i brat, rodzony brat wtrącili mnie w przepaść, dla nędznych trzystu papierków. Chrześcijanie, polaki, litują się nad nami—pomagają. Zapłakał głośno, serdecznie.

Zyzma poszedł żywo do swego pokoju i wrócił za chwilę trzymając w ręku pieniądze.

— Jeżeli tylko o trzysta papierków idzie—oto są.

Żyd patrzał wzruszony nie mogąc się oswoić z nagłą zmianą. Serce mu biło gwałtownie, oniemiał.

Zyzma szybko liczył pieniądze rzucając je na stół, po czem zebrał w paczkę i podał żydowi.

— Weksel,—szepnął.

— Jak nie będziesz miał, cóż mi pomoże weksel.

— Ani nazwiska nie żądasz?

— Jak się dorobisz, to znajdziesz mnie gdy zechcesz.

Żyd stał nieporuszony.

— Wracaj do żony. Pewno dla niej minuty są długie.

— Ona siedzi na schodach, szepnął. Niech przyjdzie i niech ci padnie do nóg, zawołał przenikającym głosem.

— Za co,—przecież nie daję ostatnich.

Za dużo wrażeń w jednéj chwili wstrząsało biednym żydem— zsunął się na stojące przy nim krzesło.

— Niech odpocznę, nogi mi drżą i gną się jak trzcina. Nie wierzyłem gdym tu szedł, ale mi sumienie kazało i mówiło we mnie— idź—idź. Byłem u Topaza razem rozpoczynaliśmy interesa. Wyśmiał mnie!..

— Fuchs—spytał Zyzma.

— On zdarłby ze mnie ten kabat gdyby mógł. Stara czeka, szepnął—i w niéj serce drży. Podniósł się. Niech ci Bóg błogosławi! Nerwowy kurcz ścisnął mu gardło. Nareszcie z wezbranych piersi wydobył się ryk serdecznego płaczu, pochwycił rękę Zyzmy ciągnąc ją do ust, lecz Zyzma ją wydarł.

— A jeżelibyś potrzebował—przyjdź, rzekł mu na pożegnanie.

— Wrócę jak mi Bóg poszczęści wyszeptał z trudnością.

Drzwi się za nim zamknęły. Rozrzewniony Zyzma uśmiechnął się, rad z siebie. Topaz, Fuchs—pomyślał zbliżając się do okna, jeżeli niemiecka kultura tak kształci serca swych zwolenników, cóż to za dzielna ta młodzież nasza, usiłująca wydobyć swoję rasę z upodlenia kosmopolityzmu.

Z bramy wyszedł żyd prowadząc pod rękę swą starą. Szli chwiejąc się. Na środku ulicy stanęli patrząc w okna. Żyd wstrząsał wyciągniętą w górę ręką, żydówka ocierała chustką łzy płynące z oczu. Poszli daléj odpoczywając co chwila i co chwila oglądając się.

— I wśród nich są ludzie zdolni do szlachetnych uniesień do wdzięczności zawołał Zyzma, zobaczył list redaktora Nowéj presy na stole, pochwycił go i po raz drugi przeczytał.

„Przecież i ty musisz zarobić“—powtórzył. Co, za co, od kogo. Więc oni zarobią—Blum zarobi, a ja będę za to płacił wstydem i upokorzeniem. Nie — to niepodobna, przecież hrabia — konsorcyum...

Wyszedł, siadł do dorożki i kazał się wieść do Bluma lecz nie zastał go.

Wieczór był—nie wiedział co z sobą zrobić, przykre przeczucia dręczyły go, czarne myśli obsiadały mózg.

Zapędził się do Daniela lecz się cofnął.

— Cóż mu powiem o moich domysłach i podejrzeniach? Gotów pomyśleć, że go przygotowuję do zdrady z méj strony,—gotów mnie posądzić że ich oszukałem. Nie śmiał wejść do Kosteckiego i Grossa.

— Może już wszyscy wiedzą oprócz mnie.

Chciał iść do „pani“ i Sali poskarzyć się, użalić...

— Cóż powiem, jakże się wytłómaczę jéj co na pierwszą wieść o stosunkach mych z Nową Presą chciała uciekać. Zwrócił się na Żołkiewskie i po za miastem błądził do północy.

III.

W tym samym czasie Blum prowadził z hrabią Zygmuntem w jego gabinecie naradę przeszło godzinę trwającą.

— Ależ panie hrabio, mówił zniecierpliwiony, Wiedeń pieniędzy nie daje i nie da. Wszystkie nasze wysilenia rozbiły się. Świat finansowy to już rzecz wiadoma, trzyma z lewicą. Tu również pieniędzy nie znajdziemy. Jedni żydzi mogliby dać, lecz cóż kiedy oni zwykle mają od swych kapitałów dziesięć procent. Panowie również nie dadzą—szlachta goła...

— Dla czegóż to pan dawniéj przed trzema miesiącami nie mówiłeś tego co dziś powtarzasz już po raz dziesiąty, przerwał mu rozdrażniony hrabia.

— Dawniéj panie hrabio nie było mowy o pieniądzach lecz o koncesyi. Wszyscyśmy wierzyli że mając koncesyą pieniądze znajdziemy.

— Na pańskie zaręczenie.

— Dziekuję panu hrabiemu za wiarę w moją wszechmocność.

Hrabia odwrócony plecami do Bluma stał przy oknie, gryząc wargi z gniewu i zburzenia. Blum się uśmiechał złośliwie.

— Nie mogę pojąć, zaczął po chwili milczenia o co hrabiemu tak bardzo idzie? Przybywa dla kraju nowa droga kolei, która będzie przechodzić przez dobra członków konsorcyum. Komunikacya zostanie otwartą za szesnaście miesięcy—bez kłopotów, kosztów i ryzyka.

— I pokaże się żem nędznie kłamał w obec całego sejmu. Walczyłem z dyrekcyą kolei Czerniowieckiéj, dowodziłem że nas obdziera, a teraz dobrowolnie oddaję jéj koncesyą drogi, która ją miała zmusić do obniżenia taryfy przewozu. Co powie na to kraj, opinja?

— Opinja jest cierpliwą, tyle już słyszała obietnic. A kraj będzie wdzięczny za nową drogę. Opinja w Galicyi nie wchodzi w rachubę, ona jeszcze tak młoda, niedoświadczona, nie rozumie kiedy jéj się mówi komplementa, a kiedy impertynencye. Nareszcie o cóż

idzie? Panowie nie sprzedajecie koncesyi, tylko ją oddajecie tym, którzy z niéj skorzystają i zbudują drogę. W waszych rękach koncesya leżałaby w biurku dwadzieścia lat, czekając na kapitały, któreby i za sto lat nie przyszły.

Hrabia milczał, usta mu nerwowo drżały, oczy utkwił w jeden punkt. Blum czekał chociaż widocznie niecierpliwił się. Spojrzał na zegarek.

— Panie hrabio dziewiąta;—za godzinę dyrektor wyjeżdża do Wiednia. Czy wróci z niczem?

Hrabia się zerwał, pochwycił pióro, umaczał je i podpisał akt odstąpienia koncesyi leżący na stole.

Na twarz Bluma wystąpiły rumieńce, oczy mu zaświeciły, pochwycił podpisany papier, zasypał go, złożył, schował do kieszeni i biorąc kapelusz odezwał się poważnie.

— Panie hrabio za twoję abnegacyą kraj ci będzie wdzięczny.

Hrabia postąpił z zamiarem pochwycenia Bluma za gardło, lecz Blum znikł za ciemną portyerą, zbiegł ze schodów i skoczył do dorożki.

— Na dworzec, zawołał—co koń wyskoczy, a piątka cię nie minie.

Woźnica zaciął konie, Blum się rozparł, odetchnął i rozśmiał na pół przestraszony, jak człowiek, który tylko co wyszedł cało z niebezpieczeństwa.

— Cicho, cicho, nie ciesz się, jeszcze nie zupełna wygrana.

Głupie serce zaczekaj, czego tak skaczesz, czego się tak rozbijasz o żebra. Jeszcze dziesięć minut, jeszcze pięć—już widać światła—pędź, zawołał na woźnicę. Za chwilę wyskoczył i idąc wolno znikł w okazałéj sieni.

Kochany doktorze zacząłem wątpić, odezwał się dyrektor witając swego gościa.

Blum rzucił się w fotel udając zgnębionego.

— A to męka, zawołał. Cały tydzień powtarzaj jedno i to samo w kółko. Od dwóch tygodni wiedzą że muszą odstąpić koncesyą, bo są goli, aby ją sami budować mogli.

— I cóż? pochwycił niespokojnie dyrektor.

W odpowiedzi Blum podał podpisaną przez hrabiego umowę.

— Nareszcie, szepnął wpatrując się w podpis.

— Pracowałem, zawołał Blum.

— Ale też i wynagrodzenie jest sute.

Blum się uśmiechnął, serce mu biło, rzucał spojrzenia na dyrektora pełne łakomstwa i chciwości. Dyrektor wpatrywał się w pod-

pis. Blumowi się zdawało że to wpatrywanie przeciąga się w nieskończoność. Palce wyciągał i kurczył, dwa wypieczone rumieńce wystąpiły mu na twarz. Dyrektor z niemieckim pedantyzmem włożył do teczki umowę, wyjął z kieszeni kluczyk od kasy werthajmowskiéj i zwrócił się do Bluma.

— Kochany doktorze—ty jeden w całym tym interesie zarabiasz. My z obawy współzawodnictwa bierzemy koncesyą—oni niewiele z tego skorzystają, gdy ty...

— Daléj, prędko, śpiesz się bo cię uduszę—wołał w duchu Blum patrząc gorączkowo na dyrektora i klucz od kasy.

Dyrektor się odwrócił, zagłębił kluczyk w kasie i nareszcie otworzył.

— Dwakroć stotysięcy guldenów panie Blum, za parę miesięcy choćby najcięższéj pracy to dosyć. Oto kwit do głównéj kasy.

Blum pochwycił drżącemi rękami papier, odczytał raz po razu dwakroć stotysięcy, przypatrzył się pieczęci, rzucił wzrokiem na podpis i zerwał się.

— Nie zostaniesz na kolacyi, spytał dyrektor.

— Nie mogę, odpowiedział drżącym głosem. W Wiedniu,—zobaczymy się w Wiedniu—wtedy do widzenia, żegnam i niepewnym krokiem wyszedł.

— Nareszcie i ja jestem bogaty—i ja jestem pan. Rozkosz i użycie uśmiechają się do mnie, wabią, wyciągają ramiona—ha—ha! Nędzarz żyjący z litości ludzi, kształcący się z ich łaski, dziś mam dwakroć stotysięcy, za rok powinienem mieć pół miljona, za dwa miljon. Ale ja się nie bawię w politykę, w wielkość méj rasy, w panowanie jéj nad światem, nie szukam ojczyzny ani w Palestynie, ani nad Pełtwią, ja jeden rozumiem o co rzecz idzie. Tak ja jeden grałem na optymizmie i różowych nadziejach Polaków i wygrałem. Ja jeden przed rokiem jeszcze zwęszyłem, że między Węgrami a Polską leży dla mnie dwakroć stotysięcy.

Topazy, Fuchsy, Zyzmy—zatrzymał się. Ten ostatni ma energię, i siłę, tego jednego haniebnie wyprowadziłem w pole. A ktoby sobie co robił z głupca. Jeżeli on naprawdę jest tyle naiwny że piękną kobietę traktuje jak świętą, to za parę tygodni mam nadzieję, będziemy się razem z nią śmiać z naiwności tego osła!

Dwakroć stotysięcy, zawołal, tu w téj kieszeni—przy sercu czuję ich szelest. I to wszystko za trochę sprytu i dużo wytrwałości. Ludzie muszą być przecie głupcy. Całe życie uganiają za nędznym groszem i nie umieją go zdobyć, gdy tymczasem krocie leżą im u nóg.

Odpocznę sobie w kochanym Wiedeńku—użyję. Długo czekałem na ten bal... Myśli jego krzyżowały się a same przyjemne. Rozkoszował się niemi. Dwakroć stotysięcy odrazu... a ja dotąd robiłem interesa na setki!... Dwakroć stotysięcy w postaci olbrzymich cyfr i masy złota stały przed jego oczami.

Wpadł zmęczony do domu. Przykazał służącemu aby go nie budził i nikogo nie wpuszczał, zamknął się w swym pokoju na klucz kwit schował pod materac i położył się.

(*c. d. n.*) *Sewer.*

OBRZĄDKI POGRZEBOWE

PELAUCZYKÓW.

DOCZYNEK ETNOGRAFICZNY.

Przed każdym domem mieszkalnym pelauskim znajduje się podłużne czworoboczne wyniesienie, złożone z gruzów bazaltowych, nazwane ogólnie „odoszongel“, i które stanowi cmentarz familijny „delgatk“ mieszkańców domu (1). Tutaj spoczywają przodkowie pana domu w płytkich ledwie 4 stopy głębokich, do domu równoległych, „tabul“ zwanych grobach, na których znajdują się nieco wyniesione czworoboczne kamienne nadgrobki „blukus“.

W grobach familijnych spoczywają tylko zmarli śmiercią naturalną, przez co krajowcy pojmują i samobójców; wyłączonymi są polegli w boju, których głowy zostały ucięte, czarownicy zabici z powodu ich szkodliwości i dzieci zmarłe w połogu, płody spędzone zawcześnie i dzieci płci męzkiéj zabijane po urodzeniu.

Polegli w boju, należący do strony wroga, stanowili wysoce cenione trofea zwycięskie. Ciała takie wsadzano do klatki bambusowéj bez odcinania głowy i wożono od wsi do wsi, wśród dzikiego wojennego „moloik“. Ciała własnych poległych, których głowy wróg zdobył, chowane są po za wsią, bez zachowania zwykłych zwyczajów pogrzebowych. Dorobiwszy głowę z owocu pandanu i dołożywszy rękę, która często zostaje uciętą dla zdjęcia cenionego

---

(1) Gdy w odoszonglu domów naczelników groby wszystkich poprzedników są znane, przeto łatwo jest oznaczyć w przybliżeniu czas trwania pewnéj familii. Tak np. od przybycia pierwszego Ara Klaja datuje powstanie dzisiejszego państwa Molegojok, Ara-Klajów było dziewięciu i w téj liczbie trzech od czasu przybycia białych, tj. w ostatnich stu latach, Molegojok istnieje więc jako ustalone państwo lat przynajmniéj 300.

„kliltu“, obrączki z kręgu Dugonga, ciała takie z lekka potarte kurkumą i owinięte jedną cienką matą, zostają zakopywane w grobach płytkich i niestarannych, bez żadnego odznaczenia miejsca pogrzebu.

Czarownicy, albo najczęściéj czarownice, zabijane za winy ich bóstw, chowane bywają przez krewnych, ale w dolgatkach domów starych, opuszczonych od dawna przez mieszkańców.

Krajowcy utrzymują, że dawniéj wielka liczba matek umierała w połogu i że zręcznego odbierania dzieci nauczył pelauczyków Mangidap brutkoul z Ngiptal, który późniéj stał się bóstwem z tego powodu. Z drugiéj strony nie wolno mi zamilczéć, że dzieciobójstwo było praktykowane od najdawniejszych czasów, jako zwyczaj i przy dawniejszém silniejszém zaludnieniu wysp ofiarami były dzieci płci męskiéj głównie, gdyż kobiet przy urządzeniu się tutejszém nigdy za wiele być nie mogło. Z początku spędzano płód lekami roślinnemi holékep, a gdy to nie pomogło, zatykano dziecku nos i usta „omengyja isngel“, albo pozwalano mu się dusić po wyjściu z łona matki, pozostawiając je bez pomocy, co się zwało „mlatera dororom“. Zwyczaj ten, choć bardzo rzadko jest jeszcze i dzisiaj praktykowany, a że rzadko się przytrafia, jest-to tylko skutkiem obecnego wyludnienia. Ciała takich dzieci i płodów, jako téż i martwo urodzonych, zostają zawijane w matę i zakopywane w „kamrungi“, pod podłogą domu (1). Dzieci nieco dłużéj żyjące stają się ludźmi i mają duszę, i takie zostają chowane we wspólnym odoszongol.

Zwykły krajowiec, gdy poczuwa się bliskim śmierci, rozporządza swą własnością i myśli o swych dzieciach; gdyż po jego śmierci od jego następcy niczego się spodziewać nie będą mogły. Daje im więc kilka sztuk pieniędzy, które umyślnie na ten cel odłożył i przed swymi siostrzeńcami utail, i otoczon rodzeństwem oczekuje śmierci. Jeżeli jest wielkim naczelnikiem i głową kraju, to udziela jeszcze rad swemu następcy, wtejemnicza go w politykę przodków względem sąsiadów i zostawia mu nie tylko część swych pieniędzy i tytuł, ale i testament polityczny.

Gdy chwila ostateczna jest już niewątpliwą, gdy oddech jego się wspina (ometiakl atelil) i w końcu, gdy ten występuje z niego

---

(1) Spędzanie płodu jest zwykłym zwyczajem na wszystkich wyspach Oceanu, dzieciobójstwa znane mi tylko na Nukuoro i na Pelau w Archipelagu Karolin. Barbarzyński ten zwyczaj jest motywowany na Nukuoro ograniczeniem i ubóstwem miejsca, co nie ma miejsca na wyspach pelauskich. Tutaj przypisywać muszę ten smutny objaw szkaradnemu wyrachowaniu czyniącym wybór w płci ofiar, który lepiéj zrozumiéć można dopiero po bliższém poznaniu urządzenia się spółczesnego Pelauczyków.

jak człowiek z czólna (olgierd atelil), to stawia się wodę na ogień, by była gotową na obmycie. Po skonaniu (makoptá) siostra rodzona zmarłego zamyka mu natychmiast oczy i usta i rozlega się pierwsza skarga i płacz opuszczonych, zawiadamiające całą wieś o nastąpionym zgonie.

Przy dopełnianém następnie obmyciu ciała zajmują się tylko kobiety, a głównie siostra, albo w razie braku takowéj, zastępująca ją krewna. Do obmycia używa się pęczek liści drzewa Rbotol (*Eugenia*), poczém ma miejsce zatkanie wszystkich otworów ciała rozczesaném włóknem rośliny „Lap“, zwanéj w takim razie „ugamngamk“ (1). Pelauczycy zatykają anum, vaginam i urethram, w ostatnim razie *praeputium* zostaje wyciągnięte i obwiązane na końcu (2), poczém ciało zostaje namaszczane olejem i proszkiem kurkumy.

Zwłoki ubierają w zwykły pas, pokrywający srom zresztą jest nagie u mężczyzn. Kobiety dostają ozdobną spódnicę, zabarwioną czerwono lub gdy rodzina, do któréj nieboszczka należy, jest uprzywilejowaną (3), to wolno jéj użyć włókna zabarwionego czarno, zwanego „ulalek“.

Do wystawienia zwłok publicznego, robią krewni z drzewa areki rodzaj leży czworobocznéj, z małem wzniesieniem dla głowy, i na téj składają się zwłoki na podkładce z kilku mat zszytych na brzegu i ciało stawia się w środku domu z głową w drzwiach środkowych. W zwykłych razach używa się do tego trzciny bambusowéj. Tutaj zostaje ciało ostatecznie przygotowane. Przy boku zwłok leży nieodłączny koszyk, w którym znajduje się świeży betel do żucia i ty-

---

(1) Zatykanie tych otworów odbywa się i na wschodzie Karolin aż do wyspy Ponape. Na téj ostatniéj służy za materyał gąbka morska. Rukczycy zapychają i nos proszkiem kurkumy, co się powtarza na całych Karolinach Centralnych.

(2) Tłómaczy to czemu Pelauczycy mają taki wstręt do obnażonéj glanspenis, która znowu u Polinezyjczyków, mających u siebie zwyczaj „tefe“, obrzezanie jest stanem normalnym.

(3) Kilka rodzin przybyłych z Ngaruangl przed dawnemi czasami, przyniosło z sobą zwyczaj czarnych spódnic i mat, które jako „klapkal“ wyłącznie im przez zwyczaj zostały przyznane. Z czasem jednak domy panujące w państwach głównych ten zwyczaj sobie przyswoiły lub inne formy dla siebie wyłącznie wynalazły. Po fartuchu „ulalek“ najwięcéj cenionym jest „rirjamel“ koloru żółtego, który czasem jest ozdabiany piórami ptaka zwrotnikowego (*Phaeton candidus*). Zwykłym fartuchem do pogrzebu jest tak zwany „bungau“, zabarwiony czerwono ochrą i olejem, który zawsze jeszcze należy do najdroższych fartuchów miejscowych i przeznaczony jest tylko do wyjątkowych uroczystości publicznych (Dla interesujących się etnografią Oceanii szczegółowiéj nadmieniam, że wyczerpująco przeprowadzony przegląd przemysłu pelauskiego wyjdzie niedługo p. t. „Die Industrie der Pelauaner“, w którym i przemysł wyrobów z włókien roślinnych jest obszerniéj traktowany).

tòn. Kończyny kobiet zostają obłożone talerzami szyldkretowemi, stanowiącemi oznakę bogactwa kobiecego; u mężczyzny, gdy jest głową kraju, koszyk jego zostaje obwieszony pieniędzmi krajowemi. Na szyi kładzie się dla podtrzymania podbródka kawał kurkumy i włosy zostają uwite w sposób pośmiertny, w jeden pęk okrągły na lewéj stronie czoła, albo w dwa luźne węzły po obu stronach głowy. U mężczyzn leży przy koszyku ręczna siekiera nieboszczyka, a spisa wojenna oparta jest o ścianę. Wystawienie ciała „omeszoekee“ jest gotowe i w téj chwili zaczyna się „kameldijl“, pogrzeb publiczny.

Podczas gdy ciało jest wystawione, kobiety spokrewnione i znajome, przybywające ze wszech stron płaczą na odmiany publicznie. Płakanie to jest czysto konwencyonalne i formą swą mniéj przemawia do umysłu niż treny pogrzebowe karolińczyków. Nie jest to śpiewający płacz, porywający natychmiast serca obecnych, łączący je w jeden przenikliwie bolesny i harmonijny chór, jak np. na Ruk i na Ponape, ale jest to w krótkich i urywanie wykrzykniętych skargach głoszony ból, który wcale nie istnieje. Kobieta dopiero co płacząca siada znowu w gronie innych, gwarzących gości, śmieje się, gada, pali tytoń i żuje betel, by znów rolę swą powtórzyć gdy na nią koléj przyjdzie. Objawów żalu prawdziwego, wybuchów wolnych boleści tu niéma i po kilku chwilach obserwacyi budzi się w widzu wstręt tém silniejszy, że wyrazy głoszone rzeczywiście są odpowiednie do okoliczności. „Ah matko, matko, czemu-żeś mnie opuściła?!..“ woła płaczka. „Czemu żeś poszła sama, a mnie zostawiła, bym się tułała po domach obcych!... Któż mi poda jadło!... Kto mi da napoju!... O dziecię moję, czemu-żeś mi uciekło!... Daremnie ból cierpiałam by cię urodzić!... Dziś sama muszę tu zostać i płakać!....“

Było-by to bardzo przejmującém, gdyby się nie powtarzało przez dni dwa co kilka chwil. i gdyby uczestnicy lepiéj skryć zdołali zewnętrzne objawy swych uczuć prawdziwych, że przybyli by uczynić zadość zwyczajowi, by się najeść i napić i wziąść zwyczajem przepisane prezenta, gdyż pogrzeb staje się tu wielką uroczystością kosztującą nieraz wielką ilość pieniędzy. Gdy dom staje się zaciasnym dla pomieszczenia wszystkich przybywających gości, gdy nadto gotować w domu i ognia zapalać nie wolno z powodu nieboszczyka, to wystawia się zwykle tuż przy domu tymczasową szopę, do któréj przenoszą rzeczy z domu i dzieci, i tu się jadło i napój dla gości przyrządza. Zwyczaj wymaga, by każda osoba dostała czarkę syropu za swój udział i gdy cały dom i jego otoczenie są zapełnione tłumem, to już sam syrop stanowi wydatek znaczny, np. choć by tylko pięć dzbanów należało rozdzielić, każdy kosztujący adolobek

równy 5 dukt. w naszéj monecie, to jest-to już pięć sztuk pieniędzy wydanych naraz. Pelauczyk jednak chciwy i skąpy w rzeczach pieniędzy w ogóle uważa pogrzeb za sprawę honoru domu i kosztów nie szczędzi.

Pogrzeb właściwy ma zwykle miejsce dnia następnego i noc cała poświęcona jest śpiewom zwanym mangoldolom" i „mangolloj" przerywanym od czasu do czasu wyżéj wspomnianym. „mangl", płaczem (1). Uczestniczki w tych śpiewach nocnych otrzymują prezent złożony z przedmiotów szyldkretowych i perłowéj macicy zwany „gekar."

Następnego dnia powtarza się od czasu do czasu płacz, kiedy goście się zbierają. a mianowicie naczelnicy gminy, którzy siedząc

---

(1) W „mangoldolom" przoduje jedna kobieta, wyśpiewując zwolna jeden wiersz pieśni, którego ton chwytając druga, zwana „melekes," wyciąga początek jego w monotonny sposób, poczem wszyscy obecni wtorują chórem: Ej... Eej... Ee ..! Np.

N. 1: Kau bo.... oo... el tmo... oo.. er ngyj, el tmo. . oo... ngalekel a wel...

N. 2: Kau bo... oo... oo... oo.. o..o o..o o....o o..o....

Chór: Ej..... E...ej... Ee!...

Treść tych śpiewów wyraża stan uczuć pozostałych krewnych, ale najczęściej w ten sposób że pleśń wychodzi od zmarłéj osoby, jéj ducha, który przemawia do przodującéj kobiety i jéj każe śpiewem wyrazić stan jéj i pozostałych żałobników.

Oto na próbę kilka zwrotek tego rodzaju:

Kau bo o ko tmu er ngyj, el tmo ngalekel a wel. — Idź byś powiedziała, mówiąc dzieciom żółwia.
Kau bo... oo... etc.
Ej... Eej... Ee!

El tmo, ma ngalekel a wel — I mówi, a dzieci żółwia
El tmo oo... oo.. etc,
Ej... Eej... Ee!

A ko el dy maltarakl erra, a ko ara merljl. — Jakby zaproszone, niby piasek morza.
A ko... oo... oo... etc.
Ej... Eej... Ee!

El tmo, ak matéj ma klonga (El tmo o...o etc.) — Mówi ja martwy i wystawiony.
A pelu Armit el mangl. (A pelu o...o etc.) — Kraj Armit płacze.
El tmo, ma ara kejung unglé (El tmo o...o etc.) — Mówi, że leży sobie dobrze
El a kedra a melaosz. (El a... a...a etc.) — Na dnie morza kamień.

W przenośniach tych nieboszczyk lituje się nad pozostałymi rozproszonymi jak piasek lawy na któréj żółwie ląg swój odbywają, przyczem porównani są do świeżo wy-

w ratuszu wiodą narady, gdyż przez śmierć nieboszczyka nastąpiła w gminie próżnia, która jeszcze przed pogrzebaniem ciała zapełnioną być musi.

Goście zchodzący się przynoszą z sobą prezenta mianowicie maty, co się zwie „badek" i szczególniéj musi być obserwowane przez wszystkich krewnych i przez przyjaciela, który przy pogrzebie staje się ważną osobą. Zwyczaj społeczny łączy pewne dwa domy jednéj wsi stosunkiem przyjaźni, bez względu na uczucia osobiste ich właścicieli. Stają się oni przyjaciołmi z urzędu i nabywają względem siebie pewnych przywilejów, co się oznacza nazwą „Kauoháro" od „oháro," znaczenie którego wkrótce poznamy.

Zwyczaj przesyłania mat w razach śmierci zachowywany bywa także pomiędzy obcymi sobie i polityką rozdzielonymi naczelnikami.

---

lęgniętych żółwi, które drobniutkie i w bardzo znacznéj liczbie rozpraszają się bez opieki ze strony matek. W drugiéj zrównani są z kamieniem „melaosz" leżącym samotnie na dnie morskim.

W „mangollóy" chór otaczający zwłoki towarzyszy śpiewowi powolnemi ruchami obu rąk, rozwierając je od siebie i przy końcu zwracając je na powrót do siebie. Oto próba jednego „kalloy."

Jem dy tebedekel a Dylubek	Wyszlyśmy w Dylubek
Ma dohoruk a makosokos	I stanęłam na dworze,
Ak umakes mor a gades	Wstąpiłam na drogę
E ki mo metej a taok	By zejść na wybrzeże;
E ki mo morniej mengiris	By odejść owdowiała.
A karamek alloj ej ngej,	A ptaszek mój zaśpiewał,
El ugar a Edel malakoj:	Siedząc na Edlu mówił:
Mokokau e guk melikes,	Ostrożną bądź i idź.
E ko bo dygeang bomrej.	Bo późniéj nie odejdziesz.
Je medinges eki mor ajanget.	I syta poszłam w powietrze.
El ogyu el Roubaj,	Mijając Roubaj,
Horgim a mej mangadal,	Horgim przyszedł wołając,
E kebogaki mor a dymsz,	I lekki poszedł na wschód,
Horgim e ak aszmal.	Horgim i ja razem.
E te tuobot mor melgolp,	I wyszedł się obmyć,
Ar mongeju er ngak Horgej.	W żałobie po mnie Horgej.

Tutaj zmarła wyszła z domu Dylubek na dwór i stanęła na „makosókos," części nie wyłożonéj kamieniami, wstąpiła na drogę kamienną by zejść na wybrzeże zkąd wszystkie czólna odbijają, by opuścić wieś jak kobieta owdowiała po mężu wraca do własnéj rodziny. Tu spotyka ptaka zimorodka (Halcyon chlorus) który jéj pomyślną przyszłość przepowiada, tak że „syta" tj. zadowolona, wspina się w przestrzeń, gdzie spotyka Horgima bóstwo wojny przywołującego ją i staje się jego żoną.

Ceremonje dopełniane przed samym pogrzebem, mają znaczenie w najważniejszej części społeczne a w części prywatne i familijne; obrządki znaczenia wyłącznie religijnego występują najwyraźniéj po skończonym pogrzebie.

Gdy podług praw dziedzictwa tutejszego, stanowisko zmarłego w gminie spada na jego brata lub siostrzeńca, a wdowa i potomstwo są od wszystkiego odsądzone, przeto następca nieboszczyka wiedząc że tenże za życia o nich dostatecznie już myślał, stara się od wdowy dostać część jéj pieniędzy, do czego daje powód pozorny obwieszanie koszyka nieboszczyka pieniędzmi. Sprawa tu idzie nie zawsze łatwo i czasami muszą być użyte groźby śmierci, duszenie stryczkiem, itd., by wdowę skłonić do uległości. Jeżeli ta jest rozsądną, to bez czekania na kroki ostateczne, oddaje dobrowolnie część pieniędzy męża i przez to zjednywa sobie dobrą wolę dziedzica. Lecz chciwość na pieniądze jest tak wszczepioną w charakter krajowy, że dobrowolne rozstanie się z sztuką choćby drobnéj wartości jest rzeczą niesłyszaną i wdowa choć wie, że w końcu uledz musi, opiera się do ostatka choćby tylko dla tego, że to taki zwyczaj. Nikt jéj téż nie wierzy, że odda wszystkie pieniądze, i zawsze zostaje w podejrzeniu, że część ich ukryć zdołała.

Podczas gdy w domu reguluje się kwestya pieniężna, przed dom przybywa „oháro,“ dziki taniec wojenny członków domu przyjaźnią urzędową z domem żałobnym połączonego, który wznosi hałas, nie dozwala kopać grobu, dopóki nie zostanie odprawionym przez prezenta. Kobiety owego domu napełniają dom żałobny i tańczą śpiewając pieśni bezecne tak gwałtownie, że nieboszczyk się trzęsie i muszą one także otrzymać swe podarunki.

Jednocześnie wiodą się narady co do obsadzenia wakansu spowodowanego śmiercią nieboszczyka. Każdy głowa rodziny jest rupakiem tj. naczelnikiem i ma swój nieodmienny „duj“ który w porządku liczebnym jego stanowisko w gminie oznacza. Tak samo znowu najstarsza kobieta pewnéj rodziny jest „rupak el dil“ naczelniczką i ma swój „duj.“ Od osoby zmarłéj należy więc odebrać jéj duj i dać go prawemu następcy. Następca ten jest już znany, ale zwyczaj wymaga by objął swój tytuł formalnie, a co ważniejsza, by zapłacił ustanowione w takich razach pieniądze, gdyż inaczéj by nie dostał tytułu i nieboszczyk by został w domu bez pogrzebania. Wysłaniec pozostałych rupaków przebywa więc i żąda „horettek“ sztukę monety, idącéj na rachunek zmarłego za to, że za życia miał przywiléj brania pieniędzy płaconych jako karę za przestępstwa. Gdy ta sztuka zostaje przyjętą, żądają rupacy drugiéj sztuki za „anligil“ tj. za trzymanie tytułu. Dopiero po zapłaceniu tych dwóch sztuk, wol-

no kopać grób dalej. Pieniądze te płaci następca tylko wtedy, gdy ma zamiar objąć dziedzictwo, w razie przeciwnym odmawia przyjęcia tytułu i odsyła wysłańca do krewnego najbliższego po sobie. Po załatwieniu téj sprawy przybywa znowu poseł od naczelników z pytaniem: „kto myśli stać się przyjacielem naczelników?“ na które pytanie następca skromnie odpowiada: że nie on, że się boi, niech sobie innego przyjaciela szukają. Zaczyna się więc posyłanie i odsyłanie przeciągane do kilkunastu razy, aż wreszcie następca odpowiada: „no, gdy wszyscy inni nie chcą, to ja będę ich przyjacielem,“ i gdy do téj pory grób już został wykopany, daje się hasło do wyniesienia ciała na dwór. W tym czasie wszystkie kobiety rodziny zebrane w domu składają następcy po jednéj sztuce monety przez co uznają go za swego naczelnika.

W chwili gdy zwłoki na leżach mają być wyniesione wszyscy z kolei żegnają nieboszczyka, wąchając twarz jego, przyczem następca jego porywa gwałtownie koszyk obwieszony pieniędzmi i zatrzymuje go na własność. Podczas tego naczelniczka domu daje ludziom poduszkę zmarłego i matę by je w grobie złożono.

Skoro ciało zostaje wyniesione przezedrzwi, przez czterech ludzi unoszących tragi na swych barkach, przystępuje jed n z posiadających sztukę odbierania, „duju“ do takowego i przykłada do głowy nieboszczyka oznakę tytułu złożoną z pętlicy liścia k kosowego, przez którą przesuniętą jest roślina „pysek.“ Przy téj okazyi przemawia on głośno do nieboszczyka, wzmiankując czyny jego życia doczesnego, chwaląc go i zawiadamiając formalnie, że tytuł jego oddaje jego następcy. To mówiąc zbliża się do drzwi, w których ten ostatni siedzi i podaje mu trzy razy „duj,“ każdą razą go cofając, aż nareszcie ten ostatni go chwytając, obwodzi nim przekładając z ręki do ręki, trzy razy w około siebie i nareszcie go składa pod prawe udo. Poczem go zawija w tkankę z pochwy areki i zawiesza w jednym kącie domu, wtedy gotowy już rupak.

Po odebraniu duju ciało zostaje niesione do grobu, gdzie przechylając nieco leżę, ciało się spuszcza ostrożnie do takowego. Leży ono na boku z głową odwróconą od domu, gdyż przypuszcza się, że dusza wychodząc ostatecznie z ciała, głowę ku domowi odwraca.

Przed zakopaniem grobu stawia się po stronie głowy małe rusztowanie z bambusu, na którém się składa cztery sztuki (u kobiet dwie) tara z łodygą, którego głąbie są pomalowane grubo kurkumą. Takowe zwą się „djákas“ i są własnością zmarłego, gdyż w dniu w którym się kamienny nadgrobek stawia, taro to zostaje sadzone na rogach grobu i stanowi zarazem przepowiednię dla następcy. Jeżeli

się przyjmie dobrze i wzrasta, nowy naczelnik będzie żyć długo i szczęśliwie.

W razie gdy zmarła kobieta, to płacenie „horéttek“ i „aulogil“ odpada, ale za to mąż zmarłéj, lub w jego braku krewni, muszą płacić jéj „dial“ i „doszómeli,“ jéj czółno i pływak, gdyż dusza zostaje odwożoną po śmierci do kraju duchów, chociaż krajowcy wyraźnego pojęcia o téj okoliczności nie mają i pieniądze otrzymuje najstarszy krewny rodziny.

Po usypaniu grobu pokrywa się takowy matą ozdobioną kwiatami gerdeu i liściami kassuk i wystawia się nad nim mały dom, w którym sypia nocą jedna osoba z rodzeństwa. Wstawia się także lampę palącą się do rana, a z przyniesionych potraw i napoju cząstkę się zakopuje w ziemię na grobie. U naczelników większych rozmiary tego domu grobowego są znaczniejsze.

Od chwili zakopania ciała poczyna się „mongeju“ żałoba, trwająca czasami do dni stu i ustopniowana dla różnych współuczestników. Dom żałobny obwieszony bywa z trzech stron zwieszającemi się listkami kokosowemi, co jednakże tylko ma miejsce w familiach uprzywilejowanych i czyni się zaraz po śmierci. Od chwili skonania dom jest „taor,“ kobiety w nim zamknięte są „meaj,“ szczególniéj te które dotknęły ciała nieboszczyka. Nie wolno im zająć się pracą, ani wyjść z domu, jako téż zabronioném jest myć się i jeść ryby i zwykłe jadło. Potrawy dla nich dostarczane są przez domy gminy, których kobiety towarzyszą pierwszym dniom żałoby i potrawy są jak najwyszukańsze i głównie słodycze. Naczelnicy wsi a przynajmniéj kilku z nich wydelegowanych, zamknięci są w ratuszu i przebywają tutaj urzędową żałobę i cała gmina dostarcza im potraw tego samego rodzaju co i zamkniętym w domu kobietom.

Wciągu tego czasu cała wieś zachowuje najmożliwszą spokojność, niewolno rąbać drzewa i zrzucać z palm orzechów.

Trzeciego dnia składane zostają przed drzwiami domu o samym świcie kilkanaście koszy tara jako „gelel a adalep,“ jadło dla ducha, które przyjaciel urzędowy zmarłego zabiera dla siebie. W południe tego samego dnia udaje się kobieta z domu tego przyjaciela, przystrojona w piękny fartuch, wraz z kobietą z domu nieboszczyka do lasu i szuka „sis,“ (gatunek Cordyliny czerwonego koloru) i wiele innych kwiatów i traw wonnych, które obie kobiety płuczą w źródle i „sis“ namaszczają olejem i kurkumą. Wróciwszy do domu wiją wielki bukiet w szczycie którego czerwone liście sisu sterczą. Bukiet ten służy do „marat a sis“ ceremonii, w któréj duch zmarłego przywoływany jest do domu by objawił przyczynę prawdziwą swéj śmier-

ci. Odbywa się to późno w wieczór, gdy jest zupełnie ciemno i gdy ludzie siedzą w swych domach. Kobiety odbywające żałobę siadają wówczas w półkole, w środku którego siedzi jedna kobieta i trzyma w rękach ów bukiet, wokoło niéj położony jest betel, kilka cygaret i kilka czarek napoju, a najstarsza z krewnych wzywa ducha zmarłego by usiadł w owym „sis" i objawił przyczynę swéj śmierci. Potém pyta, z kolei przytaczając wszystkie możliwe przyczyny, aż nareszcie przy jednéj bukiet zacznie się zwolna poruszać. Na widok tego wszystkie kobiety poczynają wołać gwałtownie „kolngij! kolngij!" aż sis tak gwałtownie się porusza, że czasem wypada z obrączki, w któréj był osadzony, gdyż kobiecie go trzymającéj nie wolno go dotykać ręką, by tém większą była pewność, że to sam duch go porusza. Po dowiedzeniu się prawdziwéj przyczyny, złośliwości tego lub owego bóstwa lub osoby, przeciw któréj odzywają się obelgi i groźby, obecne kobiety spożywają złożone wokoło sisu ofiary i udają się na spoczynek najstarsza z żałobnic śpiąc z sis pod jedną matą.

Następnego ranku, tj. dnia czwartego po śmierci, jeszcze przed świtem jedna z kobiet wbija przy grobie bambus i na takowym zasadza „sis", przyczém wydaje głośny i przeciągły okrzyk i wraca szybko do domu. Jedna z obecnych kobiet opanowaną jest przez bóstwo Kobil Meszowesz i ma dar widzenia duchów, ta jedna podgląda ostrożnie przez szczeliny liściowych drzwi „sis", by ujrzeć ducha zmarłéj osoby przybywającego by zabrać swój „sis" i odejść na dobre. Zwykle widzi ona, że duch przychodzi, ale stoi zdaleka od grobu i jakiś duch inny przychodzi i sis porywa. Jest-to owe bóstwo, które zabiło zmarłego.

Z owém „oltobotel a sis", wyniesieniem sisu, objawionêm całéj wsi przez ów głośny okrzyk czas żałoby zamkniętych w ratuszu mężczyzn ustaje i wychodzą oni, by wspólnie wznieść na grobie nagrobek „blukus", kamienny. Bierze się do tego albo zwykły gruz bazaltowy, albo większe skały lub bryły koralowe z nad wybrzeża, które zostają obciosane siekierą w kształt podłóżnie czworokątny. Po zakończeniu nagrobka zasadza się na rogach grobu owe „djakas", których głąbie zostaje odcięte. Na zakończenie jedzą wszyscy potrawę zwaną „galabet" z łodyg tara przygotawaną i wszyscy się rozchodzą, zostawiając w domu tylko najbliższe krewne zmarłego.

Od dnia wzniesienia nagrobka, zwanego „omangades", żałobnice muszą siedzieć daléj w domu jak poprzednio, wychodząc się kąpać tylko w pewnych dniach oznaczonych, w których żałoba jest zawieszoną. Pierwszym z nich jest „obar a kad" w około 40 dni po

mangades, drugim „obar a kalith“ w drugie 40 i po następnych 20 ma miejsce „Táut“. Tu kobiety wychodzą z domu, który przestaje być „táor“, i wolno im iść do plantacyi tara „mengal kajmol“, ożywić swe ręce i najstarsza krewna wykonywa „tohologyj a path“, tj. bierze mały kamień i wbija go pomiędzy kamienie nagrobka, przez co grób zostaje „kasemela!“ zamknięty na dobre, i wszyscy rozchodzą się do swych właściwych domów.

Przy śmierci członków młodszych familii te same obrządki się powtarzają, tylko obchodzi się bez zapłat, gdyż zmarli nie mieli jeszcze „duj“. Pogrzeb ludzi biednych nieróżni się wiele od osób bogatszych, gdyż i najbiedniejszy krajowiec jest krewnym jakiegoś domu, którego głowa jest rupakem, czyli naczelnikiem jego, a więc wyprawienie pogrzebu do niego należy.

Przy żałobie po naczelniku głównym kraju, o ile takowe obowiązują jego następcę, jeszcze się dodają szczegółowe obrządki.

Należy tutaj wspomnieć o szczególnym zwyczaju pogrzebowym zachowanym dotąd w Engkaszar, państwie położoném nieco na południe od Molegojok do którego należy. Zwyczaj ten zachowywany jest tylko przez dom Kabóu i dom Ngatpújul, domy Nr. 1 i Nr. 2, gminy naczelnéj Engkaszar. Skoro w jednym z tych domów umrze naczelnik męzki lub żeński, to krewni obstalowują we wsi Ngarausz trumnę, wyciosaną z jednéj kłody drzewa, którą mieszkańcy téj ostatniéj wsi przynoszą uroczyście do Engkaszaru. Tutaj następuje umyślna sprzeczka o trumnę, krewni zmarłego ciągną ją ku domowi, czemu przynoszący opierają się wszystkiemi siłami. Sprzeczka ta ciągnie się przez całą drogę i od czasu do czasu uspakajana jest sztuką monety krajowéj. Przybywszy nareszcie przed dom ma miejsce publiczna zapłata trumny.

„Kauoháro“, istniejące między temi domami, odbywa się w ten sposób, że członkowie jednego łowią węże i inne ogólnie obrzydzone zwierzęta i te zatykają na długie tyki i tak uzbrojeni napadają dom nieboszczyka, który opłacać się musi. Ma również miejsce napad ogólny kobiet z Ngaraugaszang, z któremi łączą się kobiety Engkaszaru. Malują one na swém ciele farbą czarną rysunki, przedstawiające części płciowe i tak oszpecone śpiewają dzikie pieśni bardzo wolnego charakteru i otaczają dom, w którym leży nieboszczyk, by otrzymać zwyczajem im przyznane podarki.

W Epneliik gdy naczelnik wsi głównéj Ngargeaj umrze, zbierają się kobiety z całego kraju i przybywają z pęczkiem łodyg tara na głowie, by wykonać tańce pogrzebowe. Z łodyg tych gotuje się „galabet“ dla odbywających żałobę naczelników.

Obrządki pogrzebowe tak jak tu zostały przedstawione, obserwowane są ogólnie na wyspach Pelauskich, i te które uszły méj uwagi, mogą być natury czysto lokalnéj i znaczenia podrzędnego, jak np. pomiędzy niektóremi wsiami ustalila się zwyczajem ilość otrzymywanego syropu, jak między Ngarupeszang i Ngaramuasz, gdzie przy każdym pogrzebie przyjazna wieś dzban cały (10 galonów) syropu dostaje; albo jeden dom w Ngarupeszang nie używa do wynoszenia ciała leży z bambusu lub areki, lecz „ngot“, deskę wyżłobioną, którą stale zatrzymuje w domu.

J. S. Kubary.

UPADEK
BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO.

I.

I. Wstęp i uwagi nad literaturą przedmiotu.

Historya najdawniejszéj, bohaterskiéj epoki naszych dziejów, a zatém czasów od Mieszka I aż włącznie do Bolesława III, przedstawia według rezultatów dotychczasowych badań naukowych daleko pełniejszy i jaśniejszy obraz w swéj pierwszéj aniżeli w drugiéj połowie. Niezawodnie główną przyczyną tego zjawiska jest większa stosunkowo obfitość źródeł, i to najcelniejszych, do téj pierwszéj części całego peryodu a obok tego ta okoliczność, że ku tym właśnie czasom skierowali studya swe najnowsi nasi i niemieccy historycy, posługując się wydoskonaloną metodą badania. Nie znaczy to bynajmniéj jakoby już wszystkie wątpliwości były usunięte, każdy szczegół dostatecznie wyświecony, owszem niemało jeszcze pozostaje na tém polu do zrobienia; atoli podstawę można uważać za dość ugruntowaną, żeby na niéj wytworzyć sobie ogólne wyobrażenie o całości i połączyć pojedyncze fakta w organiczny związek. Może w najskromniejszéj mierze dałoby się to zastosować do czasów Mieszka I, ale w każdym razie, po świeżéj zwłaszcza polemice naukowéj nad pierwotnym ustrojem państwa i społeczeństwa polskiego, i ta rzecz znakomicie się rozjaśniła a rola pierwszego naszego historycznego monarchy w właściwszém ukazuje się świetle. Najkorzystniéj ma się sprawa z Bolesławem Chrobrym, bo zazwyczaj tak bywa, że działalność wielkich osobistości historycznych jak z jednéj strony w wyrazistszych rysuje się konturach i łatwiejszą jest do zgłębienia, tak z drugiéj strony zaprzątała i zaprząta liczniejsze umysły; odbija

się to w tym razie i w zasobie źródłowego materyału i w jego opracowaniach, gdyż pomijając zpośród nich dawniejsze, czy to w podręczniku Roepella czy w książce Szajnochy, wspomnieć wypada przedewszystkiém o odnośnych ustępach w Giesebrechta: „Geschichte der deutschen Kaiserzeit“ i w książce Zeissberga: „Kriege Kaiser Heinrichs II mit Boleslaw I v. Polen“, prócz kilku innych drobniejszych rozprawek. Wreszcie i historya polska za następcy Chrobrego należy do partyj dokładniéj zbadanych, dzięki zwłaszcza gruntownéj i wyczerpującéj pracy Anat. Lewickiego: „Mieszko II.“

Ale na tém kończy się ten okres lepiéj wytłómaczonych początkowych dziejów naszych, a ledwie sięgnąć poza te granice, śmiercią Mieszka II zaznaczone, aż do końca XI stulecia, spotyka się ten i ów szczegół stwierdzony i udowodniony należycie; gdy wszakże chodzi o całość, o tło, na którém wypada pojedyńcze fakta umieścić i z sobą pospajać, to niemal że każdy, przystępujący do zapoznania się z temi czasami naszego życia dziejowego, zmuszony jest posiłkować się doraźną hipotezą, jeżeli się nie chce zadowolnić luźnym szeregiem szczegółów. Oczywiście, że pierwszym tego powodem jest szczupłość materyału źródłowego, któréj przyczynę znowu łatwo sobie wyjaśnić. W tym oto okresie od Kazimierza I do końca XI-o wieku na pierwszy plan występują dzieje wewnętrzne, które obcych historyografów mało interesowały, a nasz Gallus raz tylko okazał im więcéj zajęcia, to jest przy opisie panowania Bolesława Chrobrego, a potém aż do wstąpienia na widownię dziejów naszych Bolesława Krzywoustego daje tylko nadzwyczaj pobieżny szkic wypadków i to szczególniéj z zakresu polityki zewnętrznéj. Drugim powodem, który się zresztą z poprzednim łączy jako jego następstwo, ale dla innych przyczyn nie mniéj doniosłego jest znaczenia, upatruję właśnie w téj pomroce i tajemniczości, jaka ciągle dotąd otacza upadek Bolesława Śmiałego. Kto bowiem cokolwiek bliżéj postara się wniknąć w istotę tego faktu i rozważy towarzyszące mu okoliczności, z pewnością podzieli moje przekonanie, że w tém zdarzeniu — zajmującém chronologicznie sam niemal środek tego okresu, tak mało stosunkowo znanego i wytłómaczonego, zbiegają się z jednéj strony rezultaty naszego dziejowego rozwoju kilkudziesięciu lat poprzedzających tę katastrofę a z drugiéj strony tkwią zarody tych losów, jakie wypełniają następne kilkadziesiąt lat. To też nic dziwnego, że ta nierozwikłana zagadka naszych dziejów rzuca długi i gruby cień tak wstecz jak naprzód i nie pozwala ze znanych zresztą faktów stworzyć jaką taką całość, nie pozbawioną pierwiastku wewnętrznéj przyczynowości.

A stąd pierwszy wniosek: że dopóki upadek Bolesława Śmiałego nie zostanie rozjaśniony z możliwém do prawdy podobieństwem, dopóty w cały ten okres, obejmujący przeszło pół wieku naszéj historyi, nie uda się nam wprowadzić tyle światła, żeby szczegóły zlały się w jeden dosyć widoczny obraz.

A drugi wniosek: że koniecznym postulatem co do metody badania tego przedewszystkiém przedmiotu jest warunek, aby nie ograniczać się na materyał źródłowy tego tylko faktu dotyczący, ale wziąć pod ścisły rozbiór również to, co nam jest wiadomém o poprzedzających wypadkach wstecz aż do Mieszka II, jako téż do pewnego stopnia i o następujących w jednym przynajmniéj potém lat dziesiątku. Za takiego rodzaju postępowaniem dwa jeszcze przemawiają względy. A najprzód, w badaniu historycznéın nie chodzi ostatecznie o to, by każdy fakt we wszystkich szczegółach i drobiazgach był wykryty i opisany, lecz żeby podstawę rozwoju i zasadnicze jego znamiona w danéj epoce dziejów pewnego społeczeństwa wyjaśnić; będzie to rezultat aż nadto zadawalniający zwłaszcza tam, gdzie się co chwila utyka o niedostateczność źródłowego materyału. Przy takim zaś braku, nie znamy dotąd, i to drugi wzgląd, lepszego środka na wyśledzenie prawdy, jak opierając się na tych danych, któremi możemy rozporządzać, postawić umiejętną hipotezę, i w takim razie wydaje mi się najodpowiedniejszą rzeczą i najprędzéj do celu wiodącą, uczynić osią hipotezy fakt, o którym z góry powiedzieć możemy, że łączy w sobie najważniejsze rezultaty poprzedniego rozwoju i zarodki następnego a przytém stoi w pośrodku okresu, który pod uwagę bierzemy i zamierzamy wyjaśnić.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że literatura polska, dotycząca upadku Bolesława Śmiałego, jest stosunkowo bardzo obfitą właśnie z tych przyczyn i pobudek, a skoro mimo to zmuszeni jesteśmy przyznać sobie, że prawdę mówiąc, mało co więcéj wiemy o tym przedmiocie w porównaniu z tém cośmy przedtem wiedzieli, więc płonną lub słabą może być otucha i nadzieja, iżby się przy ponownéın roztrząśnięciu téj kwestyi zdołało zbliżyć do rzeczywistości. Inaczéj jednakowoż rzecz ta się przedstawia po dokładniejszym nieco téj literatury przeglądzie.

Pomijając przynajmniéj na razie, okolicznościowe tylko wzmianki i wszelkie epizodyczne ustępy traktujące o upadku Bolesława Śmiałego a uwzględniając jedynie osobne rozprawy temu przedmiotowi poświęcone, sądzę że ułatwię szybkie zoryentowanie się w ich charakterze i wartości, dzieląc je na trzy kategorye:

I) Tendencyjne, do których zaliczam następujące rozprawy:

1. Domicyana Mieczkowskiego: „Rocznica siedmsetna ośmdziesiąta siódma św. Stanisława bisk. krak.“ Kraków 1866.

2. Ks. W. Kalinki: „Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie w dziejach narodu;“ Kraków 1879.

3. Maur. Dzieduszyckiego: „Święty Stanisław biskup krakowski w obec dzisiejszéj dziejowéj krytyki;“ Lwów 1865.

II) Bałamutne:

1. Z. K(omarnickiego): „Św. Stanisław i Bolesław Śmiały, antyteza dziejowa“. Drezno 1870.

2. E. Świeżawskiego: „Bolesław II Szczodry i biskup Stanisław“ (w II cz. Zarysów badań krytycznych) Warszawa 1873.

III) Naukowe:

1. J. Lelewela: „Bolesława Śmiałego upadek“ (w II t. „Polski wieków średnich“ od str. 185—284) Poznań 1856.

2. W. Al. Maciejowskiego: „Stanisław święty i Bolesław Śmiały“ (w IV t. „Polski aż do pierwszéj połowy XVII wieku pod względem obyczajów i zwyczajów“ (od str. 282—308) w Petersburgu i Warszawie 1842.

3. Al. Skorskiego: „Gallus i Kadłubek o św. Stanisławie“ (w Tygodniku Wielkopolskim z r. 1873 N-ra 9—12).

Wszystkie trzy rozprawy pierwszéj grupy są: *a)* co do swego założenia i celu polemiczno apologetycznéj natury i zwracają się przeciw tym co przypuszczają zdradę biskupa krak. Stanisława; nie mają one nic wspólnego ze ściśle naukowém traktowaniem przedmiotu; *b)* potępiając wiadomość podaną przez Gallusa, przyjmują w całości za podstawę swego przedstawienia późniejsze, pełniejsze podania w kronice Wincentego, żywociarzu św. Stanisława z XIII w. i w historyi Długosza. Chcąc scharakteryzować tendencyą każdéj z tych prac, dość zaznaczyć, że Mieczkowski, poświęcając swą pracę „prześwietnéj kapitule krakowskiéj“, pisze przedewszystkiém dlatego „aby czystoduszną cześć dla mężów, którzy byli zaszczytnym wzorem cnoty w żywocie ziemskim i są wybranymi w przybytkach niebiańskich sługami bożymi oraz miłościwymi za wiernym ludem wstawicielami, tém mocniéj ugruntować.“ Ks. Kalinka odczytał swoję pracę w ośmsetletnią rocznicę śmierci św. Stanisława na posiedzeniu publiczném Akademii umiejętności w Krakowie w tym celu „aby i stąd podniósł się głos, nie śmiem powiedzieć w imieniu Akademii, najwyższéj instytucyi naukowéj w Polsce, ale przecież w jéj przezacném gronie a wyrażający toż samo, co każdy chłop polski i myśli i czuje.“ Nie chodzi mu „o studyum czysto naukowe“ ale raczéj o to „aby przyłączyć się do uczuć całego narodu, do tych hymnów dziękczynnych, błagalnych, które z świątyń naszych posłyszym nieba-

wem." Rozprawa Dzieduszyckiego, poświęcona „Towarzystwu naukowemu krakowskiemu", podnosi najwięcéj pretensyi do miana krytycznéj i naukowéj, za taką jednak bynajmniéj uważaną być nie może. Autor pisze dla tego, że „idzie tu o obelżywy pocisk rzucony od kilku (z pisarzy) na męża, którego kościół postawił na ołtarzu a przed którym cały nasz naród od sześciu wieków ugina swoje kolana." Praca ta ma téż tylko więcéj pozorów naukowego studyum, atoli od poprzednich jest nie mniéj tendencyjną a nie więcéj w gruncie rzeczy naukową. Dlatego w studyum, które ma mieć wyłącznie naukowy charakter, nie można uwzględniać tych wszystkich rozpraw. Mają one swój właściwy i całkiem odrębny cel.

Z innych powodów ale podobną konkluzyą orzec wypada o następnéj kategoryi tj. o rozprawach Komarnickiego i Świeżawskiego. Komarnicki w czterech piątych częściach swéj książki zajmuje się podaniami Długoszowemi a w powodzi najrozmaitszych rzeczy, które przy téj sposobności roztrząsa, zdarzy się znaleść parę uwag trafnych, te wszakże posłużyć mogą raczéj do oceny historyi Długoszowéj a dla przedmiotu niniejszéj rozprawy istotnie żadnego nie mają znaczenia. W jednym rozdziale (str. 124—155) zastanawia się nad „wiarogodnością kroniki Galla co do win patronowi królestwa zadawanych" i tu pewien chociaż nader drobny odnosi się zysk z lektury jego książki. W ogólności zaś ani o jakiejkolwiek metodzie i porządku mowy tutaj nie ma, ani o celu rozprawy niepodobna sobie wyobrażenia jasnego wytworzyć. Sam autor, jak gdyby czuł bałamutność swego opowiadania, niesłychanie zawiłym i często wręcz niezrozumiałym językiem i stylem skreślonego, kończy rozdziałem zatytułowanym: „Do jakiegoż celu ostatecznie rzecz prowadzimy" i podaje wyniki tak ogólnikowe, że czy kto się zgodzi na nie czy nie zgodzi, pozytywnych stąd nie odniesie korzyści dla właściwego przedmiotu.—Świeżawski ogłosił jedną tylko część swéj pracy i już wskutek tego nie można powziąć dokładnego pojęcia o całym poglądzie autora na kwestyą upadku Bolesława Śmiałego. Następnie zauważyć należy, iż jemu nie chodzi tyle o wyświecenie saméj sprawy jak o „przedstawienie jéj w zmieniającém się świetle opinij kronikarskich do wieku XV." Jedyny pożytek, zdaniem mojém, przynosi pierwszy ustęp w rozdziale II poświęcony „charakterystyce Gallusa" a podnoszący niektóre okoliczności gdzieindziéj nieuwzględnione. Zresztą tak pierwszy rozdział, zawierający krytykę rozprawy Dzieduszyckiego, jak reszta II rozdziału, gdzie założeniem jest mniemanie, jakoby źródłem sporu między królem a biskupem było odmienne ich zapatrywanie się na kwestyą małżeństwa i że w sporze tym Bolesław popierał pogańską takowego formę i zasadę, (str. 36) żadnéj

nie przynoszą korzyści i okazują tylko chaotycznością przedstawienia rzeczy, na jakie manowce się schodzi, chcąc z każdego słowa kroniki Wincentego wyciskać daleko idące wnioski.

Z wręcz odmiennem wrażeniem czyta się rozprawę Lelewela, najwięcéj wyczerpującą i gruntowną z wszystkich dotychczasowych prac o upadku Bolesława Śmiałego. Już poprzednio w książeczce pod tytułem: „Stracone obywatelstwo stanu kmiecego" podał Lelewel ogólny rys swego zapatrywania się na tę sprawę, tutaj zaś rozwija je szczegółowiéj. Zwięzłą o ile można, charakterystykę stanowiska, metody i poglądu autora ujmujemy w następujące punkta: *a*) Stara się rozpoznać stosunek kroniki Wincentego (według ówczesnego mniemania kroniki Mateusza) do kroniki Galla w opowieści o Bolesławie Śmiałym, jako téż żywociarza św. Stanisława z połowy XIII w. do kroniki Mateusza i wykazuje, że ustępy téj kroniki, tyczące się wojen Bolesława, są przeróbką z Galla a te, które się odnoszą do upadku króla, stanowią główne źródło dla żywociarza. *b*) Nie przeoczając tego, że Mateusz (Wincenty) w opowieści wypadków, które w Polsce miały mieć miejsce, ma przed oczyma pewne ustępy z Justyna: „Historiae Philippicae," przyjmuje podanie jego mimo to jako podstawę i główne źródło swego poglądu, stara się ten materyał troskliwie wyzyskać a uzupełnia odnośnemi wzmiankami z kroniki Galla. *c*) Jako autor i twórca własnéj teoryi o pierwotnym ustroju społeczeństwa polskiego, w jéj świetle tłómaczy upadek Bolesława Śmiałego a przeprowadzając ją przez cały ciąg poprzednich dziejów, daje opowiadaniu swemu szerokie tło historyczne.

Ponieważ zaś ta teorya jest najważniejszym i decydującym o pojmowaniu całéj kwestyi w rozprawie Lelewela momentem, uważam przeto za właściwe przypomnieć ją w krótkiem streszczeniu.

Już w przedhistorycznych i w przedchrześciańskich czasach Polski składało się nasze społeczeństwo z dwóch klas czyli stanów, tj. z szlachty i ludu albo ze zlachciców i kmieci. Różnica w stanowisku tych klas do siebie opierała się na odmiennym stosunku każdéj z nich do posiadanéj ziemi. Posiadłość zlechcica była bezpośrednią, z pierwszéj ręki, posiadłość kmieca pośrednią, z drugiéj ręki; tak jedna jak druga była dziedziczną. Wśród zlechciców istniała pod względem zamożności bardzo wielka nierówność, bo ziemia ich była podzielną, wśród kmieci różnice były mniéj znaczne, ponieważ ich posiadłości były małe lecz niepodzielne; w każdym razie szlachta stanowiła klasę opływającą w dostatki i bogactwa. Posiadłość zlechcicka rozkawałkowana na *sortes* mogła się stać kmiecą a zlechcic kmieciem; posiadłość kmieca nigdy zlechcicką, lecz kmieć mógł zostać zlechcicem, jeżeli nabył posiadłość bezpośrednią. Warstwa kmieci za-

silała się zaś przedewszystkiém wyzwolonymi jeńcami wojennymi, którym nie zamykała przystępu, jakoby czując, że jest przytułkiem wyswobodzenia i wolności. Stany te jednak nie zasklepiały się w kasty, w kwestyi małżeństw nie istniały prawne ograniczenia, wogóle wobec prawa i w sądownictwie panowała równość, a co więcéj, lud kmiecy dzielił ze szlachtą życie publiczne. W tym ostatnim względzie znaczenie i siła ludu tkwiła w wiecu, gdzie odbywały się wspólne narady, podczas gdy urzędy faktycznie chociaż nie prawnie dzierżyli w przeważnéj części zlechcice.

Gdy zaś z jednéj strony szlachta dążyła do tego, aby faktyczną władzę swoję także prawem dla siebie zastrzedz, przywileje swoje rozszerzyć, lud upośledzić, od siebie i od życia publicznego odepchnąć, a z drugiéj strony kmiecie przy wszystkich swoich prerogatywach i tém, jakie posiadali, samodzielném stanowisku obstawali solidarnie, wynikały stąd zatém nieustanne starcia, w których raz ta, raz tamta klasa brała górę. Aby nakoniec ograniczyć i usunąć wiece, które były podstawą politycznego stanowiska kmieci, stawiają zlechcice na czele całego narodu pojedyńczych naczelników, królów, oddając całą władzę Piastom, zachowując sobie obok tronu pierwszeństwo i przewagę, a rugując kmieci z wieców i urzędów. Niektórzy z Piastów, jak Bolesław Chrobry, umieli w karbach trzymać przewagę i dążności szlachty, ale następnie znowu wzmagały się nieporozumienia, zwłaszcza gdy nowy obyczaj, szerzący się wraz z wprowadzeniem chrześciaństwa, coraz to większą wykopywał przepaść między stanami z krzywdą ludu, który żył wspomnieniami przeszłości. Wreszcie po zgonie Mieszka II wybuchł straszny bunt ludu, który jednak zgnieciony i stłumiony przyczynił się do tém większego upośledzenia kmieci. W sądownictwie, w prawie pospolitém, które zamierać i ustępować poczęło kościelnemu, zwłaszcza w kwestyi małżeństw, w posługach obywatelskich i wojennych, wszędzie szlachta, z wybijającém się na wierzch duchowieństwem, poniżała, wykluczała i dręczyła lud.

Kryło się w tém niebezpieczeństwo i dla monarchów polskich, a Bolesław Śmiały rozumiejąc to, brał lud w opiekę przeciw przewadze i przemocy szlachty. Naprężały się zatém coraz to bardziéj stosunki między nim i ludem z jednéj, a szlachtą i duchowieństwem z drugiéj strony, aż w czasie wyprawy wojennéj przyszło do buntu kmieci przeciw zlechcicom. Lud brał w małżeństwo córki lechcickie i znużone nieobecnością mężów żony. Pozostali w domu zlechcice nie byli w stanie stawić skutecznego oporu, a zbuntowany lud gotował się do odparcia rycerstwa, które opuściwszy samowolnie Bolesława II wróciło do kraju i wszczęło wojnę domową. Zgniewa-

ny Bolesław stanął po stronie ludu, skierował swą surowość przeciw wiarołomnym kobietom, a czyniąc zadość dawnemu obyczajowi z srogością w obec nich postępował. Najwybitniejszym reprezentantem ówczesnego duchowieństwa, które propagowało nowy obyczaj i kościelne prawo, był biskup krakowski Stanisław i on to wystąpił jako pośrednik, a nie mogąc króla ukoić i popadłszy może z nim w zatarg o jaką posiadłość ziemską, rzucił wreszcie klątwę na Bolesława, ale równocześnie lub przedtém jeszcze wziął udział w sprzysiężeniu na osobę królewską. Popędliwy Bolesław dowiedziawszy się o tém, w uniesieniu zabił u ołtarza biskupa i srożył się nad jego ciałem. Przez to atoli stracił przychylnych sobie, podczas gdy duchowieństwo podnosić się starało cześć i urok męczeństwa zabitego biskupa. Nie mając podstawy żadnéj, musiał Bolesław ustąpić z Polski, zabierając z sobą do Węgier małoletniego syna. Lud pokonany przez tryumfującą szlachtę pokładał ostatnią i jedyną nadzieję lepszéj doli w synu Bolesława, Mieszku, który powrócił na dwór Władysława Hermana; całém więc sercem lgnął do niego. To wszakże drażniło szlachtę i wzmagało jéj obawy do tego stopnia, że nie cofnęła się przed zbrodnią otrucia pełnego nadziei młodzieńca. Z jego śmiercią kmiecie z rezygnacyą zdali się na los, jaki ich spotkał.

Trzeba przyznać, że Lelewela przedstawienie upadku Bolesława Śmiałego, oparte głównie na kronice Wincentego a postawione w świetle całéj owéj teoryi, okazuje się wewnętrznie umotywowaném, wysnutém z wątka poprzednich dziejów jak je autor rozumiał, a pojedyńcze szczegóły są zręcznie z sobą powiązane i wyjaśnione. Są to w każdym razie cechy znamionujące znakomitego historyka, zwłaszcza w obec czasu i warunków w jakich pisał Lelewel. Inna rzecz wszakże, czy w obec krytyki historycznéj ostoi się: *a*) źródłowa podstawa poglądu Lelewela na upadek Bolesława Śmiałego, i *b*) jego teorya o pierwotnym ustroju i rozwoju społeczeństwa polskiego. Co do pierwszego punktu, to wezmę go pod bliższą uwagę i rozbiór w jednym z następnych rozdziałów. Naprzeciw zaś teoryi Lelewela postawić mi wypadnie teoryą najnowszych naszych historyków, o ile się da skonstruować ze sprzecznych jeszcze pod niektóremi względami zapatrywań. Tutaj więc poprzestanę co do tego punktu na jednéj tylko uwadze. Nowa teorya o pierwotnym ustroju polskiego społeczeństwa i państwa ma za sobą postęp nauki w badaniach nad rozwojem wszystkich nowożytnych społeczeństw europejskich, dla tego słusznie musi nam się wydać naturalniejszą i więcéj uzasadnioną. Jeżeli bowiem Lelewel twierdzi, że społeczeństwo nasze już w przedhistorycznym i przedchrześciańskim bycie swoim

składało się z dwóch stanów, z których każdy miał udział i praktykę w życiu publicznem, posiadał świadomość swoich interesów, przywiązanie do swoich rozległych prerogatyw i praw, poczuwał się do solidarności w obec drugiego stanu, i że następnie jeden z nich, tj. masa ludu, tak politycznie rozwiniętego, traci coraz więcéj swoje stanowisko i upada poniżona przez drugi; to najnowsza teorya powiada, iż właściwiéj i zgodniéj z prawdą będzie przypuścić, że społeczeństwo nasze przed Mieszkiem I żyło w rozbiciu plemiennem, że pierwszym stopniem w rozwoju historycznem była równość ludności, podlegającéj jednemu absolutnemu władcy, który skupiał w swoich ręku wszystkie prawa i całą władzę, a obok niego następnie z potomków zmedyatyzowanych, podbitych naczelników dawnych ludów i ludków tworzyły się w łonie społeczeństwa, tak zorganizowanego w państwo polskie, kadry dla rosnącego zastępu emancypującéj się i kształcącéj się politycznie ludności i że wskutek tego po patryarchalnym okresie naszych dziejów nastąpił ustrój stanowy, a najnowsza epoka odznacza się dążeniem do zrównania całéj ludności, przynajmniéj w obliczu prawa. Odrzucając zaś teoryą Lelewela, wracamy w kwestyi upadku Bolesława Śmiałego do dawniejszéj *tabula rasa* i dla tego pożądanem wydać się powinno usiłowanie wypełnienia téj luki takiem tłomaczeniem rzeczy, które-by i uwzględniło wyniki najnowszych studyów i korzystało z ulepszeń w metodzie krytycznego badania.

Rozprawka W. A. Maciejowskiego poprzedziła ogłoszenie poglądów Lelewela. Maciejowski w swym pobieżnym szkicu schodzi się w wielu względach z przedstawieniem wypadków przez Lelewela, te jednak między nimi istnieją różnice, że pierwszy z nich nie wdaje się w tak ścisłą jak drugi krytykę tekstów, że nie tworzy dla swéj hypotezy tak szerokiego tła jak Lelewel przez swą teoryą o straconem obywatelstwie ludu kmiecego, że w związku z tem suchą też nogą przechodzi nad przyjętym przez Lelewela faktem powstania ludu, a mówi tylko o rozpuście żon, która skłoniła rycerstwo do samowolnego powrotu z Kijowa; w ogóle zaś zanadto lekko traktuje źródłowe uzasadnienie swych twierdzeń. Dokładniejszy rozbiór téj rozprawki nie miał-by celu.

Nakoniec Skorski zastanawia się w osobnéj rozprawie, jak sam jéj tytuł wskazuje, jedynie nad wartością źródłową i stosunkiem opowieści mistrza Wincentego do kroniki Galla, podejmuje zatém studyum nad tem, co rzeczywiście musi być pierwszym krokiem w źródłowem roztrząsaniu upadku Bolesława Śmiałego. Jego też pracę uwzględnimy w odpowiedniem miejscu.

Jeżeli z tego przeglądu literackiego wyciągnąć można jaką ogólną uwagę, to zapewne przedewszystkiém tę, że ilekroć piórem autorów nie kierowała tendencya nic z nauką nie mogąca mieć wspólnego, a towarzyszyło im dostateczne przygotowanie i znajomość rzeczy, praca nie zostawała bez rezultatu naukowego, który chociaż następnie w pewnych punktach zastąpiony został innemi wynikami, zawsze stanowił szczebel niezbędny w rozwoju naszych badań na polu historyi ojczystéj i w każdym razie przez takie prace została utorowaną droga do rozjaśnienia pewnych przynajmniéj szczegółów.

Odkąd nowa szkoła historyczna odrzuciła teoryą Lelewela, okazała się téż potrzeba, aby zwłaszcza w podręcznikach jego tłómaczenie upadku Bolesława Śmiałego zastąpić inną hypotezą naukową. Ta jednak hypoteza, do któréj się ucieknięto nie była wynikiem osobnego ścisłego studyum historycznego, lecz jéj rodowód jak przypuszczam był następujący.

Punktem zaczepienia było przedstawienie tego wypadku w książce Ryszarda Roepella: „Geschichte Polens“, która właśnie dopiero dzięki nowéj szkole historycznéj doczekała się zupełnego u nas uznania. Otóż niemiecki historyk widzi już w zaburzeniach po śmierci Mieszka II powstanie chłopów przeciw szlachcie i sądzi, że to powstanie (chłopów przeciw szlachcie) powtórzyło się za Bolesława Śmiałego. W tych zajściach i w wynikłym stąd ucisku chłopów przez szlachtę i urzędników książęcych za Bolesława Krzywoustego dopatruje się zasadniczych rysów narodowego polskiego charakteru, który w ciągu następnych (po Bolesławie III) dwóch wieków do takiego doszedł rozwoju i wykształcenia w jakiém go nam maluje w wieku XV Długosz: „Polska szlachta jest chciwą sławy, skłonną do rabunku, gardzi niebezpieczeństwem i śmiercią, nie wiele dba o dotrzymanie obietnicy, uciska poddanych, do języka prędka, do rozrzutności pochopna, ale wierna księciu, oddana rolnictwu i hodowli bydła, dla obcych i gości ludzka i dobra i więcéj niż inne narody gościnna“. Natomiast „lud wiejski skłonny do pijaństwa, zwady, przekleństw i mordu. Nielatwo-by u innego narodu tyle morderstw znaleść. Nie cofa się przed żadną pracą i trudem, znosi zimno i głód, jest zabobonny, do rabunku pochopny, mściwy dla nieprzyjaciół, nowości żądny itd.“

Takie atoli tło ogólniejsze i szersze kreśli Roepell dopiero na końcu I księgi, rzucając okiem na całą epokę dziejów naszych od Mieszka I do Bolesława III (str. 338—340). Na właściwém zaś miejscu, gdzie mówi o upadku Bolesława II inny moment na pierwszy występuje plan, a rzecz ta nazwana jest i przedstawiona jako kon-

flikt Bolesława z kościołem, dla którego tłem są zachodnio - religijne prądy i gregoryańskie dążności. Podnosi więc najprzód znaną, rozległą tego papieża działalność, tudzież jego związki z Polską i jakkolwiek powątpiewa, czy te zachodnio-europejskie idee owładnęły głębiej całość narodu, to jednak wydaje mu się prawdopodobném, „że konflikt, w jaki parę lat potém popadł Bolesław ze Stanisławem biskupem krakowskim, stoi w związku z owym ogólnym ruchem kościelnym“. Za główne źródło do téj sprawy uważa żywot św. Stanisława, spisany niebawem po jego kanonizacyi, ponieważ odnośny ustęp w kronice mistrza Wincentego uznaje za późniejszą interpolacyą z wspomnianego właśnie żywota. Szczegóły tego opowiadania i powody wygnania Bolesława mogą być, jak sądzi, nieprawdziwe, ale w rezultacie okazuje się, że z zatargu między królem a kościołem skorzystała szlachta, aby stanąć w obronie swoich interesów przeciw absolutyzmowi władzy królewskiéj (str. 199—206).

Łatwo dostrzedz, że między zapatrywaniami z jednéj strony Roepella, jako-by w zaburzeniach po Mieszku II widzieć należało walkę chłopów przeciw szlachcie i jako-by to starcie powtórzyć się miało za Bolesława Śmiałego—przyczém szlachta skorzystała z zatargu króla z biskupem—a między teoryą Lelewela z drugiéj strony, istnieje wielkie podobieństwo i ścisłe powinowactwo. Odrzucając zatém tę drugą musiała nowa szkoła historyczna usunąć także same momenta z przedstawienia historyka niemieckiego, tém więcéj, że trudno jéj było się zgodzić na te konsekwencye, które stąd wyciągnął Roepell, twierdząc, iż grunt naszego narodowego charakteru, jak on go pojmuje, tkwi już w tych walkach wewnętrznych XI stulecia. Pozostał zatém z przedstawienia Roepella sam zatarg władzy duchownéj z świeckim absolutyzmem króla i pozostał związek tego wypadku ze współczesnym ruchem kościelno-religijnym.

Ten związek Polski z papiestwem i jego tendencyami starał się uwydatnić jeszcze silniéj August Bielowski w objaśnieniach listu Grzegorza VII do naszego Bolesława (Mon. Pol. I, str, 369). Tu bowiem kategorycznie wypowiedział hipotezę, że Bolesław Śmiały jako-by w porozumieniu i z ramienia papieża strącił Salomona z tronu węgierskiego a osadził na nim Gejzę i że niebawem „uformowała się liga, w któréj stał po jednéj stronie Grzegorz VII papież, opierając się głównie na naszym Bolesławie, na królu Węgierskim i na Sasach, z ich nowoobranym królem Rudolfem, z drugiéj zaś strony stał przeciw niemu Henryk IV, opierając się na czeskim królu Władysławie“. Tak ukazała się Polska i Bolesław w nader ścisłym stosunku z papiestwem i całym zachodnio - europejskim ruchem. Gdy zaś natury stosunków tych nie postarano się dokładniéj rozpoznać i zbadać,

a tuż potém ma się do czynienia z upadkiem Bolesława—przyczém postać biskupa Stanisława, głównego przeciwnika, króla, najwybitniéj się zarysowała—więc wydawało się całkiem naturalném i wielce prawdopodobném przypuszczenie, że istotnie był to zatarg władzy duchownéj ze świecką, zatarg taki, jaki się współcześnie przygotowywał i dojrzewał na zachodzie. To zapatrywanie zdobywało sobie w naszym uczonym świecie coraz więcéj prawo obywatelstwa, tak, że Anat. Lewicki w rozprawie swojéj „Wratysław II czeski królem polskim", drukowanéj w r. 1876, mógł, przychylając się do téj opinii, stwierdzić, na str. 23, że „upadek jego (Bolesława Szczodrego), jakkolwiek dotąd jeszcze grubą pokryty zasłoną, był w niezawodnym związku z owymi prądami, jakie poruszały wówczas zachód cały".

Nie oparł się takiemu poglądowi M. Bobrzyński w swoim bardzo rozpowszechnionym podręczniku „Dzieje Polski w zarysie" (wyd. II t. I, str. 122 i nast.), ale owszem sprawę upadku Bolesława Śmiałego, z właściwą sobie stanowczością, na takim samym gruncie postawił, daléj nawet w tym kierunku wykształcił, objaśnić i uzasadnić się starał. Wspomina więc najprzód o długoletniéj walce między Henrykiem IV a Grzegorzem VII o wyższość kościoła nad państwem, twierdzi, że w chwili „kiedy upokorzony cesarz u bram zamku papieskiego Kanossy w pokutniczém odzieniu błagał o przebaczenie, zjeżdżał do Polski legat papieski, przeprowadzał w kościele polskim daleko sięgające reformy, dawał Bolesławowi sposobność zawiązania ze stolicą apostolską bliższych, bezpośrednich stosunków i podniesienia swego znaczenia i wpływu w chrześciańskim świecie. Chcąc jednak te stosunki ze stolicą apostolską dla państwa i narodu wyzyskać i potęgą ówczesnego papiestwa się osłonić, należało uznać się sługą kościoła, zapewnić mu w państwie przewagę i rozkazów jego bezwarunkowo słuchać. Tego nie umiał ówczesny władca polski i nie mógł dopełnić". „*Ztąd owa nieunikniona walka pomiędzy królem a biskupami polskimi, dążącymi do téj samoistności, jaką sobie na zachodzie zdobyli*. Siła brutalna odniosła chwilowe zwycięstwo, ale wkrótce przed siłą moralną musiała zupełnie się ugiąć". Zgodnie z tém stanowiskiem swojém mniema Bobrzyński, mówiąc o skutkach katastrofy, że „zabójstwo św. Stanisława w swoich następstwach zbliżyło Polskę do Zachodu, zbudziło w niéj ideę wolności i samoistności społeczeństwa w obec wszechwładzy monarszéj".

Ponieważ taką opinię wypowiedział jeden z najznakomitszych reprezentantów nowéj szkoły historycznéj w bardzo rozpowszechnionym podręczniku do poznania naszych dziejów, dla tego uważam za stosowne poddać ją dokładniejszéj krytyce, zanim utorowawszy sobie w ten sposób drogę, przystąpię do skreślenia własnego poglądu.

II. Stanowisko Polski za Bolesława Śmiałego, w obec sporu o inwestyturę.

Kiedy Grzegorz VII w kwietniu 1073 roku zasiadł na apostolskiéj stolicy, miało za sobą papiestwo już cały szereg lat gorliwéj pracy nad reformą rozprzężonego i podupadłego kościoła, nad podniesieniem własnéj godności, zhańbionéj niedawno przedtém kałem szalonéj rozpusty i nawet ciężkich zbrodni, aby tym sposobem wzmocniwszy swoje stanowisko, strząsnąć gniotące jarzmo świeckiéj cesarza niemieckiego przewagi, jaką na nowo ugruntować zdołał potężném swojém ramieniem Henryk III. Sobór rzymski w r. 1059 za Mikołaja II ogłaszał i utwierdzał osiągnięte w tym kierunku, głównie z pomocą zakonnego duchowieństwa, przez kluniackich mnichów podźwigniętego, pomyślne nader rezultaty i zdobycze, a z drugiéj strony stanowił punkt wyjścia dla dalszych zabiegów, wśród których dawały się już spostrzegać ślady nierównie wyżéj sięgających dążności, aby źródłem wszelkiéj, a więc także i świeckiéj władzy uczynić stolicę papieską, jako naczelną, nie obok lecz po nad cesarstwem stojącą zwierzchniczkę wszystkich chrześciańskich społeczeństw i narodów. Reprezentantem tego skrajnego kierunku w rzymskiem stronnictwie reformy był Hildebrand od samego początku filar odradzającego się papiestwa. Ująwszy teraz ster nawy św. Piotra, ten niepozorny z wejrzenia a olbrzymiego umysłu człowiek miał gotowy w swéj głowie cały system teokratyczny, którym chciał świat uszczęśliwić i już szczególniéj za pontyfikatu Aleksandra II ostrożnie ale stanowczo w jego działał duchu. Aby wytępić złe a grzesznych ludzi przywieść do słuchania przykazań bożych i stosowania życia wedle słów ewangielii, jako najwyższéj księgi ustaw, musi naczelna władza duchowna, któréj Chrystus polecił czuwać nad swoim kościołem, posiadać środki konieczne do wykonywania swéj roli, musi shołdować sobie książąt świata, którzy-by jako uległi kościoła synowie ramieniem swojém wspierali namiestnika Chrystusowego w spełnianiu jego zadań. Papiestwo a nie cesarstwo ma się stać centrem, łączącym katolickie narody, między sobą równorzędne, a ze stolicą św. wasalstwa węzłem spojone.

I teraz jeszczcze należało do programu ożywiać pobożność i zapał religijny w masach, skrzepić moralność i wzbudzić prawdziwe poświęcenie dla sprawy kościoła w duchowieństwie przez walkę przeciw symonii a za celibatem,—dwa te ostatnie atoli środki nabrały obecnie prócz tego barwy politycznéj, cenne oddając usługi w tym także celu, aby z rąk władzy świeckiéj wytrącić potężne narzędzie

znaczenia i siły, aby z kleru uczynić oddanych papiestwu w zupełności i wyłącznie szermierzy, rozluźnić wszelkie węzły, które-by w takiém ich stanowisku niewygodną stanowić mogły zaporę.

Ale co było najpomyślniejszą dla tych tendencyj stolicy apostolskiéj okolicznością, to żywy ruch narodów i państw katolickich, aby się całkowicie i raz na zawsze wyswobodzić z pod zwierzchnictwa monarchów niemieckich, jako rzymskich cesarzy, których kuratela teraz wydawała się uzurpacyą nie do zniesienia i ubliżającą poczuciu samodzielności i niezawisłości, do jakiego społeczeństwa te już w większéj części dorosły. Było więc naturalnym objawem, że zwracając się wrogo przeciw cesarzowi, szukano punktu oparcia i pomocy w spotężniałem papiestwie i było również naturalną rzeczą, że to papiestwo, zwłaszcza w obec osłabienia państwa niemieckiego w czasie rejencyjnych rządów po śmierci Henryka III, rwało się skorzystać z tego składu stosunków i użyczyć swéj opieki, lecz nie bezinteresownie, tylko za cenę uznania swéj, w miejsce cesarskiéj, władzy zwierzchniéj.

Czy na taką zamianę gotowe były przystać narody i panujący, w to niepodobna mi się bliżéj wdawać, dość będzie krótko zaznaczyć, że w rezultacie Grzegorz VII doczekał się zupełnego fiaska na tym punkcie swego programu, ale to pewna, że nie zaniedbał żadnego narodu chrześciańskiego, aby go nie starać się wciągnąć w zakres swéj niezmordowanéj a rozległéj działalności, aby mu nie dać poznać troskliwości i potęgi apostolskiéj stolicy, a potém powiedziéć, że narody winny ulegać nie cesarstwu lecz św. Piotrowi i świętemu kościołowi, który je, jak matka dzieci, do swego łona przytula i ochrania. Wszędzie więc, gdzie tylko nadarzyła się sposobność, rozpisywał listy i wysyłał legatów; nie pominął ni odległego wschodu Europy, ni najdalszych jéj kończyn północnych.

Przechował się nam zatém także ślad stosunków Polski za Bolesława Śmiałego z Grzegorzem VII. Jest-to list papieża do Bolesława, z datą 20 kwietnia 1075 roku (1). Z niego czerpiemy przedewszystkiém wiadomość, że inicyatywę do nawiązania ze stolicą św. stosunków powziął król polski, przesyłając jéj dary, a list powyższy jest na to odpowiedzią następującéj treści.

Widząc w przesłanych przez Bolesława stolicy apostolskiéj darach oznakę czci i miłości dla św. Piotra, uważa się papież, jako jego (św. Piotra) sługa i z obowiązku swego apostolskiego urzędu spowodowanym wywdzięczyć się tém, co Bolesławowi jest potrzebne

(1) Mansi: Sanctorum conciliorum nova et amplissima collectio, t. XX, reg. Greg. lib. II ep. 73, str. 182 i nast.; stąd przedrukował Bielowski w M. P. I, str. 367 i nast.

i należne. A mianowicie wypada mu najprzód zauważyć, że biskupi polscy nie mając stałéj metropolii i nadzoru nad sobą, wbrew regułom i ustawom kanonicznym zanadto są swobodni i niezawiśli. Następnie liczba biskupów wydaje się Grzegorzowi w stosunku do wielkiéj ludności zanadto małą, a ich parafie zbyt liczne, aby podołać byli w stanie duchownym wiernych potrzebom i obowiązkowi sprężystéj administracyi. Z tych zatém i innych, które pomija, powodów zapowiada przybycie legatów swoich do Polski, wzywając Bolesława do gorliwéj pomocy i uległości dla nich. W drugiéj zaś części listu po długim wstępie, zawierającym odpowiednie moralne nauki, napomina Grzegorz dość delikatnie księcia polskiego, aby zabrane nieprawnie królowi ruskiemu skarby zwrócił, jeżeli chce dostąpić królestwa bożego. Szło tu o taką sprawę.

Osadzony w Kijowie przez Bolesława II książe Izasław (1), wygnany powtórnie z Kijowa przez swych braci Świętosława i Wszewołoda, schronił się, uwożąc z sobą wielkie bogactwa, znowu do Polski, w nadziei uzyskania tutaj zbrojnéj pomocy. Ale daremnie; Bolesław zabrał mu znaczną część skarbów i z niczém odprawił (2). Zabłąkał się więc Izasław aż do Niemiec, aby sobie darami poparcie kupić. Wyprawione przez Henryka IV do Kijowa w sprawie Izasława (Dymitra) poselstwo Burccharda, proboszcza trewirskiego, nic naturalnie nie wskórało, tém bardziéj, że i kijowscy książęta sypnęli złotem i ułagodzili potrzebującego ciągle pieniędzy króla (3). Aż do Rzymu zatém wysłał Izasław syna swego, ofiarując nawet za interwencyą w swéj sprawie stolicy apostolskiéj państwo ruskie w lenno. Dla tego to upomina się Grzegorz u Bolesława o krzywdę księciu ruskiemu wyrządzoną, a temu ostatniemu pisze list, aby zakomunikować mu zgodę swoję co do uczynionéj propozycyi i zapewnić o swéj gotowości użyczenia protekcyi w słusznéj sprawie (4). Dla lepszego wyjaśnienia nie będzie zbytecznem dodać, że ta interwencya Grzegorza w sprawie ruskiéj, skierowana ku temu, aby księcia ruskiego państwa, nie należącego do związku katolickich społeczeństw uczynić wasalem stolicy apostolskiéj, tłómaczy się tém, że właśnie wówczas horyzont nadziei i zamiarów jego niezwykle się rozszerzył, że marzył on już o jednéj owczarni i jednym pasterzu

---

(1) Nestor pod r. 1069 Mon. Pol. I, str. 721 i nast.

(2) Nestor pod r. 1073, M. P. I, str. 731.

(3) Nestor pod r. 1075, M. P. I, str. 747; Lamberti Hersfeldensis Annales pod r. 1075. Mon. Germ. Ss. t. V, str. 219 i str. 230.

(4) Mansi XX, reg. Greg. lib. II. ep. 74, str. 183 i nast.; przedruk. w M. P. I, str. 371 (Objaśnienia do listu Grzegorza VII do Bol. uw. 4).

przez zjednoczenie wschodu i zachodu chrześciańskiego świata i wydarcie niewiernym ziemi świętéj. Jakkolwiek zaś płonnemi okazały się w rezultacie jego zabiegi nad zorganizowaniem wyprawy krzyżowéj, ponieważ wobec nieprzyjaciół domowych w samym Rzymie i we Włoszech nie było można zająć się wycieczkami za morze, do Konstantynopola i Jerozolimy, był to jednak tak miły dla Grzegorza ideał, że wszelką sposobność zbliżenia go ku zrealizowaniu chwytał skwapliwie, jak w tym właśnie razie.

Z takiéj więc treści listu należy z uwzględnieniem okoliczności, wśród jakich był pisany, wyciągnąć odpowiednie wnioski. Jeżeli zatém najprzód postawimy sobie pytanie: czy Bolesław, dając inicyatywę do zawiązania z Grzegorzem stosunków, kierował się przytém jakąś donioślejszą myślą, czyli téż był-to jedynie akt grzeczności hojnego i pobożnego księcia, to niepodobna na to dać zupełnie kategoryczněj odpowiedzi; zdaniem mojém jednak, prędzéj to drugie niż pierwsze. Wprawdzie zdawało-by się, że skoro główny punkt listu Grzegorza dotyczy nieładu panującego w kościele polskim, więc Bolesław w tym celu zapewne szukał u stolicy apostolskiéj pomocy i pośrednictwa w usunięciu złego. Atoli ani skądinąd nie znamy Bolesława jako reformatora wewnętrznych stosunków państwa, ani téż z treści listu tego bynajmniéj nie można wnosić, żeby nasz książe z takiemi propozycyami do stolicy apostolskiéj się udawał. Owszem cały sens listu wskazywał-by na to, że to dopiero sam Grzegorz VII pochwycił sposobność, jaką mu nadarzyło przysłanie darów przez Bolesława, aby i w Polsce dać się poznać, tutaj swój wpływ ugruntować i znaleść w dalszym ciągu podporę i pomoc dla innych znanych nam celów. Co do Bolesława, to on wziął prawdopodobnie pochop do zawiązania z Rzymem stosunków z rozgłosu, jaki wywołała w tym czasie działalność legatów papieskich w Czechach, o czém jeszcze niżéj będzie mowa. Mógł się Wratyslaw czeski szczycić związkami z wielkim papieżem; dla czegoż-by książe polski nie miał się dać poznać głowie kościoła? Bynajmniéj wszakże nie rozstrzygam stanowczo, czy nie łączył z tém zamiaru uporządkowania kościelnych spraw swego państwa z pomocą stolicy świętéj.

Żeby jednak w inicyatywie naszego króla dopatrywać się jakichś nieprzyjaznych dla króla niemieckiego planów, albo téż z listu Grzegorza domyślać się ukrytéj tendencyi stworzenia już teraz koalicyi papiestwa z Polską przeciw cesarstwu, do tego najmniejszéj niema podstawy i pobudki, bo jeżeli kto z katolickich monarchów, to w pierwszym rzędzie książe polskiego państwa, żyjącego nie wiedzićć odkąd już bez żadnych z apostolską stolicą związków i z lekka tylko dotykanego prądami południowo-zachodniéj Europy, nie poj-

mował zupełnie owych przeciwieństw, wytwarzających się i zaostrzających nieustannie między papiestwem a cesarstwem, nie widział tego całkiem, jak przeciw sobie biegły coraz to groźniéj dwa potężne prądy, które niebawem gwałtownie zderzyć się miały i na długo zmącić i zawichrzyć cały europejski zachód starciem powikłanych z sobą, religijnych, socyalnych i politycznych interesów. A zresztą w owéj chwili, kiedy Bolesław II występował z tą inicyatywą w samym początku 1075 r. (skoro odpowiedź nosi datę 20 kwietnia), nie wielu było tak bystrych lub wtajemniczonych w grę rzymsko-niemieckiéj polityki, żeby zdołali odgadnąć i przepowiedzieć co się z tego stanu rzeczy, jaki na początku r. 1075 panował, już w rok potém wykłuje i rozwinie. Dzisiaj historyk, śledzący spokojnie z odległości tylu wieków rozwój tak zw. sporu o inwestyturę, a znający jego dalsze stadya i wyniki, może twierdzić i wyrażać przekonanie, że gwałtowne starcie, jakie nastąpiło między świecką a duchowną władzą było nieugiętą koniecznością, ale co innego dla ludzi żyjących stosunkowo na uboczu od tych spraw, które tam główną odegrały rolę. Toć przecież w tym czasie, w r. 1075, jedne za drugiemi toczyły się rokowania z całkiem pokojowym charakterem; sam papież Grzegorz VII ciągle się jeszcze błogą, lecz złudną kołysał nadzieją, że Henryk IV spełni te obietnice, jakich nie szczędził stolicy św., gdy utrapiony przez książąt i Sasów roztropnie zażegnywał wszelkie od strony Rzymu niebezpieczeństwa. Dopiero w liście Grzegorza do margrabiny Matyldy z 11 września (1075 r.) przebija się pierwszy głos nieufności ku skrytemu królowi niemieckiemu (1) i odtąd dopiero żwawo pomykają się naprzód wypadki ku wielkiéj katastrofie. W nocy na 25 grudnia 1075 następuje zamach Cenciusa w Rzymie na Grzegorza VII, 24 stycznia 1076 r. orzeka synod w Wormacyi detronizacyę papieża, 21 lutego odpowiada Grzegorz klątwą na Henryka i zwolnieniem poddanych od przysięgi wierności (2). Skądże zatém mówić o wrogim dla Niemiec charakterze kroku Bolesława Śmiałego z początkiem r. 1075, zwłaszcza gdy takie przypuszczenie żadnego nie znajduje uzasadnienia w odpowiedzi papieskiéj z d. 20 kwietnia?

Pozornie zdawał-by się sprzeciwiać mojemu zapatrywaniu a popierać przeciwne jeden wiadomy fakt, że mianowicie w miesiąc mniéj więcéj po tym liście Grzegorza śle Bolesław do Sasów swoich posłów, przyrzekając posiłki, bądź przeciw królowi niemieckiemu, bądź przeciw Duńczykom, albo innym ludom, które-by z podusz-

(1) Mansi XX reg. Greg. lib. III ep. V, str. 190 i n.

(2) Giesebrecht: Geschichte der deutschen Kaiserzeit t. III (wyd. IV) str. 319—368.

czenia Henryka IV niepokoiły ich i odrywały ich siły zbrojne od głównego pola walki (1). I może być, że w bitwie nad Unstrutą pod Homburgiem 9 czerwca 1075 r. walczyło wojsko polskie po stronie Sasów, jak czeskie po stronie Henryka IV. Wyciągać jednak stąd wniosek, że skoro Sasi są w czasie sporu o inwestyturę znani jako sprzymierzeńcy Grzegorza przeciw Henrykowi IV, więc prawdopodobnie w tym fakcie udzielenia im pomocy ze strony Bolesława Śmiałego była ukrytą chociaż-by w części ręka papieża, który właśnie niedawno wszedł w związki z naszym królem, najzupełniejszém byłoby złudzeniem. Sasi byli sprzymierzeńcami papiestwa, ale jeszcze nie wtedy, Grzegorz wszedł z nimi w sojusz dopiero w kilka miesięcy późniéj, kiedy przyszło do zerwania z Henrykiem. Przedtém zaś opierał się ciągle aż do ostatniéj chwili natarczywym Sasów naleganiom, aby za nimi się wyraźnie oświadczył. Co więcéj, w liście do Henryka IV wyraża radość i winszuje mu, że upokorzył (w bitwie 9 czerwca), z wolą bożą dumę Sasów, niesłusznie stawiających opór, jakkolwiek nie zaniedbuje dodać, że boleje nad krwi przelewem (2). Z tego można się przekonać, jak zupełnie niezależną od stosunków z Rzymem była polityka Bolesława Śmiałego. Jedynym i wyłącznym a decydującym dla niego powodem do związków z Sasami przeciw Henrykowi IV było to, że z tym ostatnim stał w przyjaźni i przymierzu Wratysław czeski, najzawziętszy Bolesława wróg. Więc kiedy tamten walczy z Henrykiem przeciw Sasom, to nasz król śle zaraz Sasom posiłki do walki przeciw Henrykowi, a czy-to było miłe, czy niemiłe dla papiestwa nie dbał o to Bolesław i z tego nie zdawał sobie z pewnością sprawy, gdyż inaczéj trzeba-by przypuścić, że był bardzo dokładnie wtajemniczony w całą grę dyplomatyczną r. 1075 między Grzegorzem a Henrykiem IV.

Ale przystąpmy do dalszego ważniejszego dla nas punktu tj. do zapowiedzi przybycia legatów papieskich do Polski. Ci, co w upadku Bolesława Śmiałego chcą widziéć starcie świeckiéj i duchownéj władzy na tle sporu o inwestyturę, przyjmując pojawienie się legatów w Polsce za fakt historyczny, na ich działalności głównie opierają swoje hipotezę, mówią o wielkich reformach, jakie mieli przeprowadzić w kościele, o tak rozwiniętém wskutek tego w duchowieństwie polskiem poczuciu samodzielności i wysokiego stanowiska, że się kusili przewodzić nad władzą królewską i wprządz ją w rydwan swych teokratycznych dążności. Lecz absolutny charakter naszego mo-

(1) Lamberti Annales pod r. 1075 Mon. Ger. Ss. V, str. 224 i 225.
(2) Mansi XX reg. Greg. lib. III. ep. VII, str. 192 i 193.

narchy nie znał żadnéj uległości. W starciu odniosła na razie zwycięstwo brutalna siła, lecz nakoniec przed duchową ustąpić musiała.

Tego rodzaju hipoteza ma jedną bardzo wielką zaletę, że nader śmiało i stanowczo chce stwierdzić i ogłosić tryumf ducha nad materyalną siłą—ale ma także jedną jeszcze większą wadę, że zamek swój na piasku buduje. Boć rodzi się najprzód naturalne pytanie i powątpiewanie, ażali zapowiedziani legaci istotnie się w Polsce zjawili? Byłby to dla ówczesnego społeczeństwa naszego fakt niezwykły i doniosły, najdonioślejszy szczególniej dla tego duchowieństwa, które nasze roczniki i kroniki pisało. Ztąd spodziewaćby się należało, że znalazłby się w nich jakikolwięk tego oddźwięk, gdy zaś nietylko tutaj żadnej wzmianki i najlżejszego nie spotykamy śladu o pobycie i działalności legatów papiezkich w Polsce, ale nadto nić dalszych stosunków Polski za Bolesława Śmiałego z Grzegorzem VII zupełnie się urywa, dzięki zapewne wypadkom, które niebawem całą uwagę papieża pochłonęły, więc można także przypuścić, że zaszły pewne okoliczności, które przeszkodziły przybyciu legatów. Gdy jednak przyczyny te nie są znane, nie można zatém z absolutną stanowczością utrzymywać, że było tak a nie inaczéj. Dlatego przyjmijmy, że równém jest prawdopodobieństwo, iż legaci do Polski przybyli jak że nie przybyli i naśladując sposób Galla, rzecz tę „w pośrodku zostawmy“ a przejdźmy do roztrząśnięcia drugiego pytania: jaką w danym razie mogła być ich działalność i w następstwie jaki wpływ mogła wywrzéć?

O ile się uwierzy w bytność legatów papiezkich w Polsce, trzeba będzie przypuścić, że spełniali oni przedewszystkiém te zadania, jakimi umotywował Grzegorz wyraźnie w swym liście ich wysłanie. Staraliby się zatem ugruntować metropolitalne stanowisko arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, ustalić stosunek zależności polskich biskupów od tej ich zwierzchniej bezpośredniej władzy kościelnej, a parafie od dyecezyalnych biskupów, obsadzić niektóre stolice wakujące, może jeszcze od czasu zawieruchy po śmierci Mieszka II, wprowadzić jedném słowem ład w organizacyą i administracyą kościelną, tchnąć więcéj życia i zapału w kler polski. To wszystko miałoby bez wątpienia dla rozwoju i historyi kościoła polskiego doniosłe w przyszłości znaczenie, przyczyniłby się mogło w następstwie do wzrostu jego powagi i wpływu; ale jest absolutnie nie możliwém, aby ich przybycie ni stąd ni z owąd wywołało rewolucyą w umysłach polskiego duchowieństwa, aby je uczyniło już w parę lat potém taką *polityczną* potęgą, iżby pod jéj ciosami zachwiały się i runęły posady królewskiéj władzy Bolesława Śmiałego. Trzebaby bowiem zarazem przyjąć, że działalność legatów wykroczyła poza te ramy ko-

ścielnych reform a zstąpiła także na pole tych idej i tendencyj, które rzeczywiście stanowiły jądro rzeczy w systemie politycznym Grzegorza VII i zdecydowały o starciu władzy świeckiéj z duchowną. A co więcéj, trzebaby koniecznie przypuścić, że posiew takich idej przez legatów papieskich rzucany, przyjął się szybko na polskim gruncie i bujny wydał plon.

Brak nam źródłowego materyału do odrysowania ówczesnych wewnętrznych stosunków polskich, aby na téj podstawie wytworzyć sobie przybliżone pojęcie, jak się zachowywało społeczeństwo nasze wobec współczesnych prądów zachodnio-europejskich, które złożyły się na konflikt świeckiéj i duchownéj władzy. To téż jako jedyny pomocny środek naukowy pozostaje analogia z lepiéj nam znanemi stosunkami, o jakie tutaj nam chodzi—w tych krajach, które warunkami swego bytu i rozwoju najwięcéj w téj epoce do nas były zbliżone. Możemy więc w tym razie tylko Węgry i Czechy mieć na względzie.

Cóż zatém widzimy w Węgrzech (1)? Z państwem św. Szczepana łączyły stolicę apostolską tradycye polityki Sylwestra II. I rzeczywiście do tego kraju przedewszystkiém mogło mieć papiestwo pretensye, z któremi téż nie zaniedbał wystąpić Grzegorz VII. Było to nawet decydującém dla jego stanowiska rozjemczego między Gejzą a wygnanym przez niego Salomonem. Że ten ostatni nie zgodził się na uroszczenia papiestwa nawet w swém nadzwyczaj przykrém położeniu, wynikało to z jego do Henryka IV stosunku. Ale z Gejzą inaczéj. On miał owszem wiele powodów, aby się stanowczo na stronę papiestwa przechylić. A jednak, jak tylko Grzegorz wystąpił w obec niego z teokratycznemi tendencyami, rwie się nić zawiązanéj przyjaźni i nie skutkują wcale nawoływania i listy papieskie. Gejza pozostaje neutralnym w obec toczącego się sporu o inwestyturę. Kiedy tron węgierski przeszedł (w 1077 r.) w ręce Władysława, polityka węgierska nie doznała zmiany. Dwór rzymski czyni zabiegi, żeby króla przyciągnąć do siebie, ale to wszystko nie czyni wrażenia na Władysławie a nie wywołuje ani nieprzyjaźni z papiestwem ani wewnętrznych starć, nawet kiedy ostrzychomski biskup Nehemiasz otrzymał polecenie wpływać na króla, aby się wyraźniéj oświadczył z uległością i powolnością dla stolicy św. (2). Nic nas więc na to nie naprowadza, żeby w Węgrzech owe religijno-kościelne prądy rozszerzyły się i zaaklimatyzowały. Nie było do tego

(1) Nie mogę tutaj wdawać się w szczegóły, znaleść je można w książce Büdingera: „Ein Buch ungarischer Geschichte,“ Leipzig 1866 str. 49—60, 64—73, 76—78.

(2) Mansi XX. reg. Greg. lib. IV. ep. 25, str. 231 i n.

gruntu w społeczeństwie. Owszem w prawodawstwie tak Władysława jak nawet jeszcze Kolomana oba pierwiastki, kościelny i świecki, o których rozdział i nawet przewagę na stronę pierwszego wre walka na zachodzie, nader silnie są z sobą splątane a książę swobodnie i głęboko wkracza w kwestye ściśle kościelne i religijne (1). A dzieje się to na wysoką skalę nawet w tych czasach, kiedy Węgry dzięki swemu geograficznemu położeniu zetknęły się bezpośrednio z ruchem religijnym, objawiającym się w krucyatach, które przez Węgry w znacznéj części drogę swoję obierały.

Przypatrzmyż się teraz z kolei Czechom. Tu cokolwiek więcéj mówić możemy o udziale w tym religijno-kościelnym ruchu drugiéj połowy XI w., bo kraj ten i wcześniéj i więcéj niż Polska był wystawiony na oddziaływanie wpływów obcych, niemieckich, têm bardziéj, skoro od wyłonienia się i częściowego skonsolidowania państwa polskiego, kiedy rywalizacya o pierwszeństwo w zachodniéj Słowiańszczyźnie dostatecznie się ujawniła i spotęgowała, Czechy oparły się o niemieckie państwo i musiały naturalnie otworzyć szersze wrota żywiołowi i kulturze stamtąd płynącym. Po téj ogólnéj uwadze poznajmy najprzód w zwięzłym szkicu fakta (2). Już kiążę Spitygniew II wszedł w przyjazne w stolicą apostolską stosunki ubiegając się o jaką z jéj strony odznakę i otrzymawszy ją w postaci biskupiéj mitry za roczną dań 100 grzywien srebra. Aleksander II zatwierdził i Wratysławowi II to odszczególnienie a niebawem nadarzyła się kuryi rzymskiéj sposobność okazania bezpośredniego wpływu swego na kościelne stosunki w Czechach. Wratysław kreował za zgodą biskupa praskiego Sewera nowe biskupstwo dla Moraw w Ołomuńcu i wyposażył je prócz dziesięcin nadto posiadłościami grodu Podiwin, wynagrodziwszy za to biskupa praskiego 12 najlepszemi

(1) Mansi XX str. 757—784 i Mansi XX str. 1165—1179; Büdinger str. 86—94 i Büd. str. 144—160.

(2) Posiadamy stosunkowo obfity materyał źródłowy w sprawie, o którą nam przedewszystkiém idzie, tj. spór między biskupem praskim a morawskim. Mianowicie należy tutaj: a) 7 listów Grzegorza VII do Wratysława II: Mansi XX lib. I. ep. 17 (str. 74) ep. 38 (str. 91 i n.), ep. 45 (str. 96 i n.), ep. 61 (str. 107 i n.), ep. 78 (str. 119 i n.); lib. II eo. 7 (str. 133), ep. 71 (str. 180 i n.); b) list arc. mogunck. Siegfrieda do Grzegorza VII (Mansi XX. str. 389 i n.) tudzież odpowiedź Grzegorza Siegfriedowi (Mansi XX. reg. Greg. lib I. ep. 60 (str. 106 i n.); c) list Grzegorza VII do braci Wratysławowych Ottona i Konrada (Mansi XX. reg. Greg. lib I. ep. 50 (str. 106); d) list Grzegorza VII do Gebeharda (Jaromira) praskiego lib. II. ep. 6 (str. 131 i n.) i do Jana bisk. morawskiego ep. 8 (str. 133 i n.)—wreszcie Cosmasa Chronicon ks. II w Fontes rerum bohemic. wyd. Palacky'ego t. II, str. 102—108 i 110. Palacky: Geschichte v. Boehmen. Prag 1836 t. I, str. 303—312 i odnośne ustępy w Giesebrechta: Geschichte der deutschen Kaiserzeit t. III.

włościami koronnemi i rocznym czynszem 100 grzywien ze skarbu książęcego. Sewer umarł z końcem 1067 a na opróżnioną stolicę pragnął książę wynieść kapelana swego, Niemca Lanzo, lecz ulegając opozycyi magnatów pod przewodem braci jego morawskich książąt Ottona i Konrada, oddał biskupstwo praskie najmłodszemu bratu swemu Jaromirowi, który przez dłuższy czas bawił w Polsce a przeznaczony był do stanu duchownego, chociaż nie miał do niego zamiłowania. Wkrótce jednak po otrzymaniu od króla niemieckiego inwestytury i święceń z rąk arcybiskupa mogunckiego, popadł Jaromir w zatarg z swym bratem Wratysławem, który się wzbraniał uiszczać przyrzeczone biskupstwu praskiemu 100 grzywien, wskutek czego Jaromir opanował z pomocą księcia Konrada zamek Podiwin. Wratysław odebrał mu go przemocą i zwrócił ołomunieckiemu biskupowi Janowi. Zemścił się za to Jaromir, czynnie biskupa Jana znieważywszy. Sprawa dostała się przed trybunał papieża Aleksandra II, który wysłał do Czech legata Rudolfa dla rozstrzygnięcia sporu. Legat wystąpił z nadzwyczajną energią i bezwzględnością, bo gdy na zwołany przez Wratysława synod Jaromir, dwukrotnie wezwany, się nie stawił, nie uznając kompetencyi legata, lecz tylko metropolity swego, arcybiskupa mogunckiego, obarczył go klątwą kościelną. To wszakże wywołało tak wielkie w ludzie i klerze czeskim niezadowolenie, że legat widział się zmuszonym cofnąć klątwę i tylko suspendować Jaromira w biskupiéj godności. W sprawę tę wdał się teraz arcybiskup moguncki Siegfried i zwrócił się do stolicy apostolskiéj, która właśnie 22 kwietnia 1073 r. przeszła tymczasem w ręce Grzegorza VII, uskarżając się na naruszanie praw swoich metropolitalnych przez pominięcie jego pierwszéj w takich razach instancyi. Bardzo mu szorstko odpowiedział na to Grzegorz VII i skarcił surowo jego pretensye, wysyłając zarazem nowych legatów, Burharda i Grzegorza, którzy skłonili wreszcie Jaromira do uległości, tak, że gotów był stawić się przed stolicą św., byle mu Wratysław dostarczył środków do podróży. W tym celu nakazał Grzegorz Wratysławowi przywrócić dochody biskupstwa praskiego i wezwał obie strony tj. Jaromira i Jana bisk. ołomunieckiego przed swój trybunał. Gdy się przed nim stawili, pozyskał Jaromir, za sprawą podobno margrabiny Matyldy kanosańskiéj, z nim spokrewnionéj, łaskę papieską, przywrócony został do biskupiéj godności a sporne dochody i posiadłości miały na razie pozostać w ręku biskupa ołomunieckiego aż do chwili następnego soboru rzymskiego, na którym mieli wystąpić z dokładniejszemi dowodami swych praw. Zaledwie jednak Jaromir pojednany tym sposobem z papieżem wrócił do kraju, opanował zamek Podiwin i począł ekskomunikami prześladować swych przeciwników.

Na następnym soborze rzymskim, który trwał od 22 lutego do 2 marca 1075 r. stawili się jednak obaj biskupi a papież nie widząc wobec niedostateczności dowodów innego sposobu wyjścia, roztrzygnął kwestyą o tyle, że strony miały się podzielić spornemi posiadłościami i dochodami, dopóki lepiéj nie zdołają uzasadnić swych pretensyj. Pojednani wrócili do kraju.

Wysłani do Czech legaci nie zaniedbali pracować zarazem nad zreformowaniem kościelnego i religijnego życia tutejszego duchowieństwa a między innemi tępić zwyczaj małżeństwa księży. Również sam Grzegorz VII wydał bullę do Czechów (ad Bohemos, 15º kwiet. 1075) (1), których wzywa, aby tak księża, jak świeccy przestrzegali czystości ciała, żyli w zgodzie i pokoju, uiszczali dziesięciny itp. Próżnoby tu atoli szukać tak energicznych kroków i słów ze strony Grzegorza VII, jak tego częste przykłady mamy w tym czasie przy przeprowadzaniu reformy na zachodzie. Papież zdawał sobie na tyle sprawę ze stosunków kościoła czeskiego, żeby czuć potrzebę większéj ostrożności i względności. A jednak mimo to widzieliśmy przecież, że legaci jego napotkali na tak silny opór, iż ustąpić przed nim byli zmuszeni. Co do samego księcia Wratyslawa, sprzymierzeńca cesarskiego, jest bardzo charakterystyczném, że się nie okazał bynajmniéj hardym w obec Rzymu, owszem czynił zadość wezwaniom i woli stolicy św., całkiem nie łamiąc równocześnie wierności swéj dla niemieckiego monarchy. Nic też innego nie wypada uczynić, jak tylko powtórzyć za Giesebrechtem (2), że przeciwieństwo interesów, jakie się wówczas między papiestwem a cesarstwem wytworzyło, mało jeszcze przez ogół było zrozumiane,—stosując to zdanie w większéj nawet mierze do Polski niż do Czech.

Wszędzie na zachodzie, we Francyi, we Włoszech, w Anglii i w Niemczech były owe prądy i czynniki, które wywołały tak zw. spór o inwestyturę, mniéj więcéj samorodnemi objawami, wynikły rzeczywiście z długiego historycznego rozwoju, który się tam na wspólnéj opierał podstawie romańsko-germańskiéj kultury i tylko w każdym z tych krajów i społeczeństw modyfikował odpowiednio pod wpływem miejscowych stosunków. Ale Czechy, Węgry, i Polska to były i odrębne swym charakterem i najmłodsze w gronie katolickich społeczeństw latorośle, w których taki ruch kościelno-religijny jak na zachodzie mogły wzbudzić jedynie zewnętrzne wpływy. Z tych państw, Czechy najstarsze i Węgry w najkorzystniejszém po-

(1) Mansi XX. lib. II. ep. 72 (str. 181).
(2) Geschichte d. deutschen Kaiserzeit, III str. 227 (wyd. IV).

łożeniu geograficznėm najwięcėj były wystawione na oddziaływanie zachodnio-południowėj kultury. A przecież żeby stolica apostolska znalazła sposobność wypróbowania i tego jaki okazała wpływ na stosunki czeskiego kościoła i państwa, potrzeba było dopiero tak wyjątkowych okoliczności, jakie się złożyły przez osadzenie na stolicy praskiėj brata książęcego. W Węgrzech nie na wiele przydały się papiestwu czy to tradycye przeszłości czy długie walki stronnictw o tron królewski, dopiero ruch krucyat obierając swą drogę w znacznėj części po przez Węgry, wstrząsnął silniėj społeczeństwem węgierskiém.

A Polska w swém najniekorzystniejszém geograficzném położeniu i stosunkowo najmniėj wystawiona na oddziaływanie zachodu nie dostarczala téż i tak wyjątkowych jak w Węgrzech i Czechach warunków umożebniających rozpostarcie się i to tylko do pewnego stopnia, z lekka i bardzo powierzchownie, zachodnio-europejskich prądów. Przeciwnie inne czynniki i okoliczności zasługują tu na uwzględnienie. Czyż dawne to czasy, kiedy po śmierci Mieszka II tak gwałtowna wybuchła reakcya pogańska, że społeczeństwo zwolna tylko z niėj dźwigać się mogło a chrześciaństwo na nowo dopiero do sił przychodziło. Anarchia kościelna w Polsce przewlekła się przecież aż w ostatnie prawie lata panowania Bolesława Śmiałego, jakto się o tém przekonaliśmy. Klasztory, o ile istniały wówczas w naszym kraju, odmienne pod wielu względami niż na zachodzie spełniały zadanie a w każdym razie podejrzywać je o tego rodzaju propagandę i agitacyą, jak to tam na zachodzie, zwłaszcza we Francyi, współcześnie działo się, nie ma najmniejszėj podstawy i najmniejszego w tym kierunku nie podobna się doszukać śladu. Jeżeli prąd ten szedł do nas z zewnątrz, wszystko jedno czy się mniėj czy więcėj rozgościł, to oczywiście głównie i przedewszystkiém wtargnął do nas z Niemiec. W obec tego miejmy i ten wzgląd na uwadze, że odliczając półwysep pirenejski, Niemcy najpóźniėj ze wszystkich zachodnio-europejskich społeczeństw ogarnięte zostały i porwane nowemi ideami i dążnościami kościelno-religijnemi w. XI, że ta fala powoli stosunkowo postępowała naprzód od zachodu ku wschodowi. Najenergiczniejsza propaganda ze strony hirschauskiėj kongregacyi przypada dopiero na dziewiąty dziesiątek XI-o stulecia. Czy w Polsce, nawet znacznie później przyjęła się kluniacka reforma benedyktyńskich klasztorów, rzecz to wątpliwa, lecz w każdym razie stać się to mogło nie wcześniėj jak w ciągu XII wieku (1). W ogóle o tych

---

(1) Zob. rozprawę T. Wojciechowskiego „O Kazimierzu mnichu“ str. 22 i dopisek 1.

klasztorach polskich można powiedzieć, że dla ekonomicznej kultury kraju ogromne miały znaczenie, ziarna oświaty szerzyły niezawodnie, ale nie zdolne były z fanatycznym zapałem krzewić kościelno-religijnych idej i tendencyj, zwłaszcza wśród społeczeństwa, które w tym czasie tak mało po temu dostarczało odpowiednich warunków. Skądże zatém myśléć i mówić o tém, żeby te religijno-kościelne prądy jeszcze w ciągu rządów Bolesławowych mogły się przedrzéć i przyjąć w Polsce, żeby co więcéj w ręku kleru naszego,— w ręku tego kleru, w którego łonie panującą anarchią parę lat temu wytknął Grzegorz VII, stały się nagle i niespodzianie polityczną potęgą, żeby zdolne były pchnąć go do walki z królewskim absolutyzmem i w jéj odmęcie zgotować tryumf siłom ducha!

Więc nie to z pewnością było sprężyną, nie to właściwą i rzeczywistą wielkiego kataklizmu przyczyną. Cała jego geneza zupełnie musi być inną. W każdém wielkiem zdarzeniu historycznem odegrały rolę główne przyczyny i uboczne, więcéj przypadkowe pobudki, a w studyum historycznem, jeżeli nie wyłącznem, to bądź cobądź najważniejszém, istotnem zadaniem jest wykryć i wyjaśnić te pierwsze. Wszystko inne może być pouczającém i pomocném, ale nie jest istotném i samo przez się nie wystarcza.

Niesłuszną byłoby rzeczą przypuszczać i twierdzić, jakoby ów potężny, religijno-kościelny ruch na zachodzie Europy przebrzmiał, nie znajdując najmniejszego echa w naszém społeczeństwie nawet już za Bolesława Śmiałego. Może ta i owa wybitniejsza wśród niego jednostka zaczerpnęła także coś z tego zdroju, który tam na zachodzie rwiącym prądem i szerokim płynął strumieniem. Ale to wszystko mogło być jedynie czynnikiem drugo- i trzeciorzędnym, jakich zapewne zbiegło się więcéj innych. One jednak jądra rzeczy nie dotykają i nie tłómaczą, a wtedy dopiero na swojem będą miejscu i ukażą się w odpowiedniém świetle, gdy się poprzednio na jaw wydobędzie i uwydatni to, co jest głównym i decydującym w sprawie upadku Bolesława Śmiałego motywem.

Jeżeli się zestawi pogląd Lelewela na upadek Bolesława Śmiałego z tém jego wytłómaczeniem, za którém się tak stanowczo oświadczają niektórzy adepci nowéj szkoły historycznéj, to zdaniem mojém nie podobna się ani jednym ani drugiem zadowolnić i uznać za zgodne z prawdą, ale o pierwszym trzeba powiedzićć, że usiłuje głębiej w rzecz wniknąć i na właściwszym stawia ją gruncie. A jeżeli nie jest wolnym od pewnéj tendencyi, to i w tém drugiem zapatrywaniu nie trudno ją wykazać. Jednę bowiem z ogólnych cech naszéj nowéj szkoły historycznéj upatruję w szczególném zamiłowaniu do śledzenia w dziejach naszych takich objawów, które nadają

się do uwydatnienia łączności naszéj cywilizacyi z cywilizacyą i życiem zachodnio-europejskich społeczeństw jakotéż w wynikającém stąd usiłowaniu i tendencyi, aby w świetle ich rozwoju widzićć nasze stosunki; zwraca się przytem uwagę na nadzwyczajną wrażliwość naszego charakteru. Czy jednak ten zapęd nie jest za silny? Czy zwłaszcza w odniesieniu do pierwszych wieków naszéj historyi nie byłaby pod tym względem niezbędną koniecznie jak największa ostrożność? W naszéj znacznie późniejszéj historyi należy zapewne nie jeden ważny fakt tłómaczyć przedewszystkiém prądami z zachodu przychodzącemi, ale jeżeli się zważy, że nawet w ostatnich wiekach naszéj historyi prawie każdy prąd zachodnio-europejski dostający się do nas traci wiele z swéj ostrości, napięcia i gwałtowności, to tylko utwierdzić się można w tém przekonaniu, że w początkach dziejów państwa polskiego, kiedy to oddziaływanie zachodu nie było ani tak silne ani tak długie, z innego rodzaju źródeł płynąć musiały te sprzeczności interesów i te namiętności, których walka rozegrała się z taką gwałtownością w katastrofie upadku Bolesława Śmiałego. Wreszcie wymownym, jak mi się zdaje, dowodem mylności owego poglądu najnowszych naszych historyków jest ta okoliczność, że zapomocą takiego tłómaczenia upadku Bolesława Śmiałego,—faktu w którym bezwątpienia mieści się klucz do zrozumienia całéj polityki i działalności króla,—nie zdołano zastąpić bynajmniéj pierwiastkiem przyczynowości dotychczasowego motywowania działalności Bolesława Śmiałego wojowniczym i awanturniczym jego duchem i nie zdolano konturom jego panowania nadać więcéj jednolitości i podobieństwa do prawdy.

Przegląd literatury i krytyczny rozbiór ostatniego poglądu ułatwi, jak sądzę, dokładniejsze wniknięcie w zawikłaną i stosunkowo trudną do rozjaśnienia kwestyą, stanowiącą oś niniejszéj rozprawy, i może się przyczynić do postawienia we właściwszém świetle innych szczegółów i faktów, które się łączą bliżéj i daléj z główną sprawą. W miejsce zaś dotychczasowych, naukowych poglądów na upadek Bolesława—głównie dwóch: Lelewela i najnowszego, które uważam za niemożliwe już obecnie, będę się starał rozwinąć i uzasadnić własne zapatrywanie, poddając najprzód dokładnemu rozbiorowi materyał źródłowy, aby następnie pochwyciwszy wątek naszych poprzednich dziejów usnuć na tych dwóch podstawach hipotezę dla odpowiedniego uzupełnienia i powiązania faktów stwierdzonych źródłami.

(*c. d. n.*) *Franciszek Stefczyk.*

ZADANIE HISTORYI LITERATURY POLSKIÉJ
W OBEC WARUNKÓW I CZYNNIKÓW JÉJ DZIEJOWEGO ROZWOJU.

(Znaczenie różnic terytoryalnych, etnograficznych i związanéj z niemi odrębności ekonomiczno - społecznych, politycznych i umysłowych stosunków dla naukowego badania dziejów literatury polskiéj).

I.

Rozpatrując dwuwiekowe niemal koleje pracy nad dziejami literatury polskiéj, dostrzegamy w niéj dwa peryody stanowiące, jak o tém świadczy historya nauk, konieczne stopnie w rozwoju każdéj umiejętności.

Zawiązkiem pracy naukowéj w danym zakresie jest wydzielenie istniejących, lecz niezwracających niczyjéj uwagi faktów, bądź ze związku z innemi grupami faktów, z jakiemi zwykle je łączono, bądź wprost z chaosu otaczających nas szczegółów.

Dla dziejów literatury polskiéj moment ten przypadł w początkach XVIII wieku.

Starowolski, najznakomitszy przedstawiciel polskiéj uczoności w wieku XVII, przyznaje znaczenie jedynie samym postaciom pisarzów i uczonych, uświetniających swemi zdolnościami i pracami epokę w któréj żyli i społeczeństwo, które ich wydało. Zbiera on starannie i ogłasza zarówno biografie zasłużonych mężów (*Hecatontas*) jak i same dokumenty biograficzne (*Monumenta*).

Dostrzeżenie w pomnikach literatury polskiéj zabytków odrębnéj natury, uznanie historycznéj, literackiéj i naukowéj wartości tych zabytków, troskliwe gromadzenie i opisywanie ich—zawdzięczamy grupie zbieraczów i pracowników, występujących śród świat-

łego i zamożnego mieszczaństwa pruskiego przez cały ciąg XVIII wieku.

Niszczone i rozpraszane ciągłemi burzami wojennemi, lekceważone przy obniżeniu poziomu umysłowego w zbiedniałem społeczeństwie, znalazły pomniki rozkwitu literatury wieku XVI bezpieczny przytułek w domach dostojników miejskich, pastorów, profesorów Gdańska, Elbląga, Torunia i wielkopolskiego Leszna. Prąd reformacyjnych i humanistycznych idei, odbijający się w literaturze złotego wieku, jednał jéj sympatye i szacunek protestanckiéj inteligencyi mieszczaństwa, o którego pojęciach i uczuciach obywatelskich świadczą liczne prace z zakresu historyi, literatury i prawa polskiego.

Pisma Hoppiusa (1707 r.), Brauna, Hofmana i całego zastępu bibliografów, historyków, prawników stwierdzają, jak gorliwie gromadzono i starannie porządkowano, już w pierwszéj połowie XVIII wieku, materyał historyczny i piśmienniczy. Współcześnie z tym ruchem rozszerza się po dworach magnackich dyletantyzm więcéj artystycznéj niż literackiéj lub naukowéj natury, płynący częściéj z naśladownictwa i próżności, niż z istotnych upodobań. Podczas gdy większość panów gromadzi meble kosztowne, bronzy, porcelany, marmury, obrazy, wydania illustrowane, organizuje orkiestry, trupy śpiewaków, aktorów, zakłada wspaniałe parki, inni, nieliczni naturalnie, zwracają się do zabytków narodowéj przeszłości, zbierają księgi, rękopisma, dokumenty.

Bibliofilstwo panów polskich musiało szukać oparcia w doświadczeniu i erudycyi pruskich zbieraczów i uczonych. Pierwsze pismo Załuskiego „Programma litterarium“ (1731 r.), będące odezwą o pomoc w zbieraniu i opisaniu całego literackiego spadku przeszłości, wyszło powtórnie w Gdańsku w r. 1743, w przekładzie łacińskim Jerzego Schulza prof. toruńskiego. Zasłużony bibliotekarz Załuskiego i znakomity bibliograf Janocki pochodził z kół tego niemiecko-polskiego mieszczaństwa. Uczony Mitzler de Kolof zostaje również w ścisłych stosunkach z Załuskim.

Przez cały wiek XVIII i pierwszą ćwierć XIX w. trwa ta podwójna i wzajemnie uzupełniająca się praca: zbieraczów i bibliografów. Gromadzą książki za przykładem Załuskiego nie tylko panowie ale i mieszczańscy bibliofile w Warszawie i Krakowie; nad bibliografią pracują przeważnie uczeni niemieckiego pochodzenia jak Linde, Bandtkie, Lelewel i wreszcie Bentkowski, który chociaż Polak urodzeniem, pod wpływem wychowania i pobytu w niemieckim otoczeniu, nabył wydatnych cech niemieckiego pedagoga i uczonego.

Praca Bentkowskiego (1814 r.) zamyka stuletni okres gromadzenia i katalogowania drukowanych i rękopiśmiennych zabytków. Streszcza ona i porządkuje rezultaty łacińskich, niemieckich i polskich opracowań pojedyńczych działów i całości materyału faktycznego. Panujące podówczas pojęcia o poezyi i literaturze, a przytém pierwotne przeznaczenie książki, mającéj stanowić podręcznik dla młodzieży szkolnéj, wskazały Bentkowskiemu, jako naturalną podstawę systematycznéj klasyfikacyi materyału, podziały prozaiki i poetyki.

Jako wychowaniec niemieckiego uniwersytetu, ma on dość trafne pojęcia o warunkach dziejowego rozwoju życia umysłowego. We wstępnéj części dzieła przedstawia on te czynniki polityczne, społeczne, umysłowe, które oddziaływały przyjaźnie na rozwój literatury polskiéj, a następnie wylicza i charakteryzuje szkodliwe dla niéj wpływy. Na kolejném występowaniu i przewadze takich pożytecznych i szkodliwych czynników, opiera swój podział na okresy. W saméj pracy przecie nie posiłkuje się w przedstawieniu i ocenie faktów, pojęciami, wyłożonemi we wstępie i nie dzieli materyału na podstawie proponowanych okresów.

Współcześnie prawie z ukazaniem się dzieła Bentkowskiego wielkie wstrząśnienia polityczne (wyprawa 1812 r. i upadek Napoleona), w połączeniu z rozkwitem wyższych studyów za sprawą uczonych i uzdolnionych profesorów uniwersytetu wileńskiego, wywołało w duszach młodego pokolenia nowe, bogate ugrupowanie pojęć, dostarczyło wyobraźni zasobu świeżych obrazów i spotęgowało siłę i śmiałość uczucia uszlachetnionego wyższemi pojęciami i wyegzaltowanego pod działaniem nowych, świetnych widoków wyobraźni. Widownią zarówno wielkiego dziejowego dramatu, jak i wspaniałego rozkwitu nowéj poezyi były obszary Rusi litewskiéj i Mazowsza, budzące się po raz pierwszy do bujniejszego życia duchowego.

Nowa poezya była tylko najświetniejszym i najwcześniejszym wyrazem rewolucyi umysłowéj, któréj prąd ogarnął stopniowo wszystkie ogniska życia duchowego i nadał nowy kierunek i nową cechę wszystkim gałęziom pracy umysłowéj.

Nowa krytyka i nowy pogląd na dziejowy rozwój literatury były nieuchronnemi wynikami tego przekształcenia. Brodziński, zostający pod wpływem niemieckiéj poezyi i filozofii, daje początek nowemu zwrotowi w pracy nad historyą literatury. Borowski w Wilnie, także pod wpływem niemieckich krytyków i estetyków, rozwija w swych wykładach poglądy, oparte na uwzględnieniu czasowych i lokalnych warunków, w jakich powstawały pomniki literatury,

II.

Podstawą nowego zapatrywania się na literaturę jest teraz pojęcie narodu jako całości ożywionéj jednym duchem (duch narodu), który stosownie do zmiennych warunków życia narodowego w różnych epokach występuje w odpowiedniéj im postaci (duch wieku) i odmienne okazuje dążenia i upodobania. Literatura jest odbiciem stanów tego ducha, a więc zarówno jego wzniesień jak i chwil opadania, szczęśliwych zwrotów jak i obłąkań. W obec takiéj zmienności stanów ducha, niemożna jego działalności krępować stałymi, jednakowymi dla wszystkich epok i krajów przepisami i formami, ale podstaw dla krytycznéj oceny i prawideł estetycznych szukać należy w prawach rozwoju tego ducha, w jego potrzebach i dążeniach.

Pogląd ten po raz pierwszy ustalał między różnorodnemi co do formy i treści zabytkami piśmiennictwa węzeł wspólności pochodzenia i dostarczał podstaw do racyonalniejszéj klasyfikacyi i krytycznéj oceny zabytków. Znaczenie i wartość estetyczna utworu polega teraz na stopniu wierności, piękności i siły, z jaką odtwarza on ducha narodu, w którym winien czerpać swe myśli i natchnienie każdy pisarz. „Świątynia Wenery“, ogłoszona niedawno za arcydzieło poezyi polskiéj przez mistrza krytyki klasycznéj, spadała w obec nowéj zasady do rzędu miernot, mających znaczenie jedynie jako wyraz chwilowego obłędu smaku. Wypadki 1831 r. wstrzymały naturalny bieg potężnego prądu nowych idei, zwracając głównych działaczów i całą masę idącéj za nimi inteligencyi, na obcą im widownią. Zamiast normalnego rozwoju musiała ta świetna falanga uledz prawu przystosowania się do nowych warunków i podlegać chorobliwym zboczeniom, nieodzownym wynikom gwałtownéj zmiany warunków bytu. Ten sam ciężki proces przystosowywania się do zmienionych warunków i stosunków, oddziałał przygnębiająco na pozostałych w kraju pracowników. Pozbawiony katedry i słuchaczów Brodziński, zostaje redaktorem obrazkowego „Magazynu powszechnego“.

Zarówno świetny rozkwit nowéj poezyi na emigracyi, jak i naturalne bardzo dążenie, w danych warunkach, do rozpatrywania lepszéj przeszłości i czerpania w niéj pociechy po świeżych zawodach, rozbudziło popęd do badań nad dziejami literatury. Najpoważniejszy rezultat tego zwrotu wystąpił tam, gdzie warunki otoczenia były najprzyjaźniejsze, stosunkowo, dla podobnéj pracy. W wolném mieście Krakowie, dawném ognisku rozkwitu literatury,

ukazała się w latach 1840—45 „Historya literatury“, obejmująca w pierwszych sześciu tomach właściwie dzieje rozwoju piśmiennictwa na obszarze dawnéj Małopolski, widowni rozkwitu, zwanego „złotym wiekiem“. Przy wielostronném wykształceniu i filozoficznym kierunku uzdolnień i studyów, Wiszniewski nie posiadał należytéj znajomości samego materyału i dziejowych stosunków, zbywało mu przytém na sile wyobraźni i zdolności odczuwania i odtwarzania życia przeszłości. Brodziński w pomnikach literatury szukał odbicia ducha narodowego i w ocenie ich opierał się na stopniu wierności i piękności tego odbicia. Choć przedstawianym postaciom podsuwa pojęcia i uczucia bliższe własnéj niż danéj epoki, nadaje im przez to życie i jedna sympatyą. Wiszniewski podaje czytelnikowi obfity materyał, uporządkowany mechanicznie, na podstawie czysto zewnętrznych cech, a myśl swoję wypowiada jedynie we wstępach do dzieła i dziejów epok pojedyńczych. Współczesny krytyk trafnie wyraził się, „że myśl jego nie objawia się dziełem, a dzieło nie stoi myślą“.

Myśl sama, choć nie rozwinięta należycie, zasługuje na uwagę, zarówno dla tego, że łączy pracę Wiszniewskiego ze współczesnym ruchem umysłowym jak i przez to, że w swém dalszém rozwinięciu występuje u Maciejowskiego, jako podstawa jego poglądu i układu i przez długi czas stanowi jednę z zasad krytyki literackiéj. Myślą tą jest przewodnia idea ówczesnéj inteligencyi polskiéj w kraju i na emigracyi: uznanie ludu za fundament narodu, źródło życia i ducha narodowego. Jak nowa poezya polska swą świetność i narodowość zawdzięczała w pewnéj części zwróceniu się do źródeł poezyi ludowéj, tak i dalszy społeczno - polityczny rozwój szukać winien w ludzie podstawy działania, a w jego dobru celów i wskazówek. Ztąd Wiszniewski twierdzi, iż „literatura polska obiegła już całe koło i zwróciła się na kolej, z któréj ją był wiek X wyruszył“.

Niepowodzenie Wiszniewskiego zachęciło Maciejowskiego do wystąpienia z pracą, do któréj czuł się o wiele lepiéj przygotowanym. W długoletnich badaniach nad rozwojem prawodawstwa polskiego miał on sposobność poznać stosunki społeczne, kulturę obyczajową i umysłową rozmaitych prowincyi rzeczypospolitéj. Zwiedziwszy wszystkie ważniejsze biblioteki, przejrzał olbrzymią ilość zabytków dawnego piśmiennictwa. Zamierzając swéj pracy dać charakter wielkiego anneksu do historyi prawodawstw, postanowił w obrazie piśmiennictwa odtworzyć wewnętrzne dzieje umysłowego procesu, odbijającego się w rozwoju zewnętrznych stosunków. Zarówno więc w klasyfikacyi, jak ocenie utworów musiał porzucić punkt widzenia literacki, obcy zresztą uczonemu prawnikowi a za-

jąć stanowisko filozoficzno-historyczne. Zamiast jednak pogląd swój wyprowadzić z rozbioru faktów i rozważenia samych kolei rozwoju literatury, stosuje do nich panującą podówczas ideę ludowości, jako skalę oceny i zasadę klasyfikacyi. W miejsce najdowolniéj tworzonych okresów, w których przy wyborze dat uwzględniano przedewszystkiem okrągłe cyfry — wprowadza Maciejowski *zwroty* i *obroty* tychże zwrotów. Przez zwroty rozumie on trzy stopniowo rozwijające się, a następnie współcześnie istniejące i wzajemnie na siebie oddziaływające, sfery umysłowe narodu i poniekąd warstwy społeczne: lud z odrębną ludową, niepiśmienną literaturą, średnie, oświeceńsze klasy, które dają początek piśmiennictwu i niém się głównie karmią i wreszcie warstwa inteligencyi, wśród któréj występują „jak świece wśród ciemności nocy“ pisarze, co „tém są w przybytku literatury, czém święci w katolickim kościele“.

Oni to wytwarzają „ludowo-narodową“ literaturę. Przeprowadzając ten podział w swéj pracy przedstawia w tomie pierwszym szereg wybranych według własnego uznania luminarzy z epoki 1500 do 1650, a dopiero w tomie trzecim mieści całą falangę drobniejszych autorów, porozdzielanych na grupy według czysto zewnętrznych, przypadkowych znamion. Tom drugi dzieła poświęcony jest *obrotom* zwrotów, przez co rozumie Maciejowski rozwój szkół, języka, stylu i form literackich. Wielki zasób erudycyi i pracy włożonéj w to dzieło tém jaskrawiéj uwydatnia całą niedorzeczność usystematyzowanego nieładu, w jakim przedstawia nam historyk rezultaty swych mozolnych poszukiwań.

Współcześnie z Maciejowskim podjęło i w drobnych rozmiarach urzeczywistniło odtworzenie dziejów literatury, za przewodnictwem filozoficznéj zasady, kilku z pomiędzy młodzieży należącéj do kółka inteligencyi, któréj organem był „Przegląd naukowy“, wydawany w Warszawie od 1842—48. Zadaniem tego grona było szerzenie zarówno filozofii, któréj zawdzięczało ono swe umysłowe rozwinięcie, jak i nowych pojęć, poglądów, metod, jakie pod wpływem systematu Hegla pojawiły się na polu historyi, literatury, prawoznawstwa. W r. 1845 ukazała się w „Przeglądzie“ praca Dominika Szulca: „Rozwój zasad umysłu polskiego w piśmiennictwie“, przedstawiająca dzieje literatury jako „walkę dwóch pierwiastków przeciwnych, z których jeden iść pragnie za głosem przyrody, drugi tłumi wszelkie uniesienia zbawienniejsze“. Pomysł ten rozwinął i z całą dowolnością przeprowadził przez dzieje literatury jeden z założycieli i redaktorów „Przeglądu“ Edward Dembowski w dziełku, wydaném w r. 1845.

Majorkiewicz dojrzalszy i głębszy myśliciel niż Szulc; sumienniejszy i lepiéj przygotowany niż Dembowski mógł-by w przyjaźniejszych dla pracy warunkach stać się godnym następcą Brodzińskiego.

Wie on, iż społeczeństwo jest organizmem, a historya jego rozwoju tak politycznego jak i umysłowego powinna przedstawiać organiczną całość i uwydatniać prawa jéj rozwoju. Jak geolog w układzie pokładów ziemnych dostrzega działanie niezmiennych koniecznych praw, tak historyk literatury winien odszukać prawa, tłómaczące koleje jéj koniecznego rozwoju.

Jak w duchu jednostki odbija się prawidłowość ducha powszechnego, tak znowu duch narodu, którego wyrazem jest literatura, rozwija się według praw procesu psychologicznego jednostki. Ztąd przeważa tu naprzód wiara, oparta na uczuciu i wyobraźni, z kolei dopiero występuje rozum i stacza walkę z wiarą i uczuciem, wreszcie ustala się pewien *modus vivendi* między tymi dwoma czynnikami życia duchowego i harmonijny ich rozwój odbija się w różnostronności wyobrażeń... Tym trzem stopniom rozwoju ducha odpowiadają trzy *zwroty* w dziejach piśmiennictwa, którego zarys podaje Majorkiewicz w swych „Pomysłach do dziejów piśmiennictwa krajowego“ (1847 r.).

III.

Bankructwo obu na wielką skalę podjętych przedsięwzięć i niepowodzenie usiłowań, mających na celu uzyskanie z pomocą filozofii zasady umiejętnego usystematyzowania i rozdzielenia materyału piśmienniczego, odstręczyły na czas dłuższy poważniejszych pracowników od nowych prób. Przypisując dotychczasowe niepowodzenia brakowi specyalnych opracowań, zabrano się do monograficznych studyów, których szereg rozpoczął prof. Przyborowski pracą o Janie Kochanowskim.

Monografie te stanowiły niejako przejście do trzeciego peryodu w rozwoju pracy nad dziejami literatury, peryodu umiejętnego badania odpowiadającego przekształceniu, jakie w pojęciach i potrzebach umysłowych społeczeństwa zaszło w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Na granicy obu peryodów stoi dzieło Bartoszewicza (1861 r.). Dzięki częściowemu zerwaniu z tradycyami poprzedników w układzie materyałów i charakteryzowaniu postaci, dzięki gruntownéj znajomości plemiennych, społecznych i politycznych stosunków na tle których rozwijała się literatura, uczony historyk po raz pierw-

szy ukazał nam w pisarzach nie prozaików i poetów, epików lub liryków jedynie, lecz przedstawicieli życia pewnéj epoki, a niekiedy pewnéj tylko prowincyi, pewnego terytoryum. Charakteryzuje on autorów i utwory nie znamionami formy i zaletami stylu, lecz wygłoszonemi pojęciami i nastrojem odbitych uczuć. Krytykując dotychczasowe podziały na okresy, powiada trafnie, iż nie panowanie, ale ludzie są przyczyną, iż jeden okres się kończy a drugi zaczyna. Po raz pierwszy na kartach dziejów literatury, ukazują się żywe postacie, które choć w sztuczne połączono grupy, oddychają przecie atmosferą właściwych terytoryów, myślą i czują pod działaniem prądów danéj epoki.

Praca Spasowicza, ogłoszona w r. 1865 i pomieszczona w zbiorowéj rosyjskiéj Historyi Słowiańskich literatur, stanowi pierwszy wybitny pojaw przekształcenia się naszych sądów o przeszłości, pod wpływem wypadków r. 1861—64. Pisana dla obcych, z widoczną myślą wyjaśnienia historycznego procesu pojęć i uczuć, który doprowadził do świeżego wybuchu, stanowi ona nie tyle historyą literatury, ile historyozoficzną charakterystykę jéj dziejów, za pomocą najwybitniejszych postaci i prądów. Ograniczone ramy nie pozwoliły autorowi, zarówno w pierwszém jak i drugiém rozszerzoném wydaniu, zastosować z całą ścisłością metody umiejętnego badania. Ztąd w przedstawieniu dawniejszéj literatury grzeszy pobieżnością i nieuzasadnionym wyborem punktów zwrotnych w podziale na okresy. Śmierć Zygmunta I, a nawet i rokosz Zebrzydowskiego nie mogą być uważane za wyraz tak głębokich przekształceń w ustroju pojęć i stosunków społecznych, by mogły służyć za granice złotego okresu. Za to po raz pierwszy Spasowicz umiejętnie uwydatnił i wyjaśnił ścisły związek warunków rozwoju dziejowego społeczeństwa, z odbijającą je literaturą, po raz pierwszy ugrupował pisarzów na podstawie wspólności pojęć i ideałów a charakterystykę utworów oparł na wykazaniu w nich prądów epoki i psychologicznego procesu twórców.

Trzeci peryód umiejętnego badania zaczyna się dopiero. Prace Bartoszewicza i Spasowicza, tudzież cały szereg późniejszych monografii i studyów wprowadziły nas nieznacznie na nowe stanowisko, które choć wprost przeciwne dawnemu, osiągniętém zostało drogą powolnéj ewolucyi. Zamiast ducha narodu, który przy swéj nieujętéj treści nie pozwalał pochwycić istoty i znamion zjawisk, jakie wywoływał, nie dawał stałéj podstawy dla uporządkowania i rozbioru faktów, występują teraz typowe połączenia pojęć właściwe każdéj epoce, każdéj grupie i każdemu prądowi, uwydatniają się charakterystyczne stany uczucia oddziaływujące na pojęcia lub pod-

legające ich wpływowi, zarysowują się ideały każdéj epoki i grupy jako wyraz pragnień i dążeń. Jest-to wprawdzie także duch narodu ale sprowadzony z obłoków na ziemię, ujęty w swéj realnéj treści, w swéj historycznéj rozmaitości.

Najważniejsze błędy i wady prac, należących do drugiego peryodu badań, pochodziły ztąd, iż jednolitość narodową, stanowiącą jeden z celów rozwoju dziejowego, przenoszono zwykle z przyszłości w przeszłość. Jeden duch ożywiać miał ludność całego obszaru piastowskiéj czy jagiellońskiéj Polski. Każdy zabytek piśmiennictwa, bez względu na to, czy powstał w Krakowie lub Gdańsku, na Mazowszu lub na Litwie, uważany był za objaw rozwoju jednego ducha, wcielonego w jeden, jednolity organizm narodowy i państwowy. Rzecz naturalna, iż przy takiém zapatrywaniu się na źródło i istotę zjawisk, jedyną zasadą ich klasyfikacyi mogło być czasowe następstwo zmiennych stanów tego ducha i różnice form, w jakich swą treść objawiał.

Jeżeli mamy przed sobą zbiór wyrobów z jednéj fabryki i jednego materyału, np. porcelany saskie, wtedy tylko czas utworzenia i forma wyrobu może nam dostarczyć podstaw do ich ugrupowania systematycznego.

Tam gdzie silna centralizacya nie skupiła w jednym punkcie życia politycznego i umysłowego państwa całego, gdzie nie wytworzyło się jedno główne ognisko, któreby przyciągało każdego wybitniejszego pracownika na polu literatury i nauki, i wprowadzając go w odrębną atmosferę i specyalne warunki życia wielkomiejskiego, zrywało lub osłabiało nici, wiążące jednostkę z przyrodą rodzinnych stron i lokalnemi wpływami, tam należy każdy fakt odnosić do terytoryum, na którém się pojawił, do specyalnych warunków fizycznych, społecznych, ekonomicznych i umysłowych, które się złożyły na jego wytworzenie.

Wybitną cechę naszych dziejów stanowi proces kolonizacyjny, na którym wspiera się znowu proces wytwarzania jedności narodowéj za pomocą rozszerzenia się i swobodnego oddziaływania kultury i literatury, powstających w wielkiéj liczbie drobnych i krótkotrwałych ognisk. Brak silnéj centralnéj władzy sprzyjał tym procesom, które nie mając charakteru politycznego, wolne od programów i prawodawczo-policyjnéj protekcyi, odbywały się siłą naturalnych stosunków i warunków i osiągnęły tak zdumiewające rezultaty na obszarach kilkakroć większych od pierwotnych kolebek.

Dzieje literatury polskiéj jeżeli mają objaśniać proces życia duchowego, uzewnętrzniający się zarówno w literaturze jak i piśmiennictwie, winny przedstawiać go z całą historyczną ścisłością,

wyróżniając wytwarzanie się i rozkwit życia umysłowego na pierwotnym obszarze życia dziejowego w Małopolsce i Wielkopolsce, od późniejszych rozkwitów na terytoryach zdobytych przez polski pług i polską kulturę.

Jeżeli rozłożymy przed sobą mapę dawnéj Polski i oznaczymy na niéj miejsca urodzenia i stałe widownie działalności pracowników na polu literatury i piśmiennictwa, spostrzeżemy, że każdy z obszarów terytoryalnych, mający swe odrębne fizyograficzne, etnograficzne, społeczne i historyczne warunki, posiada odrębne koleje rozwoju umysłowego i odrębne charakterystyczne cechy produkcyi literackiéj.

Terytoryami, na których występują u nas pierwsze zawiązki bytu państwowego i związanéj z nim kultury są: Kraina jezior między Wisłą a Wartą, przedstawiająca w wieku X prawdopodobnie dwa razy większy obszar wód niż obecnie; wyżyna olkusko-sandomierska, ciągnąca się wzdłuż lewego brzegu Wisły i kraina puszcz, zalegających obszary między Wisłą a Narwią. Do historyi politycznéj należy wyśledzenie niewątpliwego, choć nieuwzględnianego dotąd związku, jaki zachodzić musiał między tak wybitnie odrębnemi warunkami fizycznemi każdego z tych trzech obszarów, a stosunkami społecznemi, ekonomicznemi i kulturą zamieszkującéj je ludności.

Te najdawniejsze centra życia dziejowego i kolebki kultury nie stały sie przecie widownią rozkwitu ekonomicznego i umysłowego. Znaczenie ich polegało na przygotowaniu zastępu kolonistów, wśród których dopiero w dalszych pokoleniach, na zajętych przez nie terytoryach, występuje, wraz z utworzeniem się większéj własności, gospodarstw folwarcznych, przemysłowych i handlowych osad miejskich, rozbudzenie się życia umysłowego i rozkwit literatury w miastach i na dworach pańskich. Stara pierwotna kultura przeniesiona w nowe warunki, na świeżą, dziewiczą glebę, rozwija się z niezmierną szybkością, podczas gdy kolebka téj kultury, pozbawiona najlepszych sił przez emigracyą zdolnych jednostek, bierze słaby udział w życiu umysłowém.

Nim jednak przez powolny rozwój stosunków społecznych, ekonomicznych i kultury, wytworzą się wśród pierwotnych obszarów czynniki i warunki procesu kolonizacyjnego, nim dawna kultura przeniesiona w nowe otoczenie rozwinie się i wyda plony—interesy polityczne, religijne i umysłowe organizmu państwowego piastowskiéj Polski wymagać będą pomocy obcych sił umysłowych, dostarczanych pierwotnie przez odleglejsze kraje Europy, a następ-

nie przez współplemienną, a wyższą pod względem kultury ludność Czech, Morawii, Szlązka.

IV.

Jakkolwiek wogóle dzieje słowiańszczyzny z epoki przed przyjęciem chrześciaństwa są pokryte mrokiem niewiadomości, pochodzącym z braku dokumentów historycznych i stosunkowego ubóstwa literackich i archeologicznych zabytków, jednakże najbiedniejszemi pod względem tego rodzaju świadectw są obszary, zajęte przez lechicko-polskie plemiona. Najspokojniejszą niewątpliwie była ich dola, ale ten spokój, wynik wielowiekowego odosobnienia, opóźnił ich rozwój umysłowy i polityczny.

Wiadomości, jakie o Słowianach podają bizantyjscy historycy, odnoszą się do południowych plemion i Rusinów; niemieccy kronikarze przechowali ciekawe szczegóły o życiu i kulturze Słowian zachodnich i nadbaltyckich. Zarówno u wschodnich jak południowych i zachodnich Słowian, stosunki i walki z wyżéj rozwiniętymi sąsiadami, zniewalały do postępu i rozbudzały życie duchowe przez wprowadzanie nowych pojęć, podniecanie uczuć narodowych. Nie mamy jednak prawa twierdzić, by taki sam stopień kultury, jaki znajdujemy na Rugii, Pomorzu, w Czechach, a nawet na Rusi, istniał jednocześnie i u mieszkańców obszaru między Wisłą a Wartą.

Obszar ten nie uległ wynarodowieniu, dotąd zajmują go potomkowie pokoleń współczesnych Piastowi, a jednakże czyż w pieśniach, tradycyach, zabytkach archeologicznych przechowały się świadectwa wyższego stopnia kultury pierwotnéj, pamiątki przedwiekowych faktów dziejowych, echa wyższych pojęć i uczuć praojców? Duchowy dorobek zostaje się i trwa nawet wtedy, gdy znikną bez śladu społeczeństwa, które go wytworzyły. Czyż można więc przypuszczać, by naród cały, niezmieniwszy ani siedzib, ani języka, nie uległszy przekształcającym go domieszkom obco-plemiennym, zatracił pamięć wielkich czynów dziejowych i owoce duchowéj twórczości przodków? Podczas gdy Serbowie, Rusini, w daleko trudniejszych warunkach, przechowali tak liczne i piękne pomniki narodowego piśmiennictwa odległych wieków, czemuż by jedni Polacy mieli je zatracić? Szybkość i świetność późniejszego rozkwitu pozwala nam tém łatwiéj przyznać się do ubóstwa naszéj pierwotnéj kultury z przedchrześciańskiéj epoki dziejów. Społeczeństwo, które ideał władcy widziało w gościnnym kmieciu - kołodzieju, mogło mieć wiele cnót i zalet, ale nie żywiło z pewnością ambitnych dążeń, nie miało na karku groźnych sąsiadów i nie wytworzyło wyż-

szego stopnia kultury, możliwego jedynie przy rozwoju stosunków społecznych i ekonomicznych. W usypiającéj martwocie jednostajnie wlokącego się żywota, nie potrzebowało ono pomocy bogów ni bohaterów, nie znało heroizmu ni fanatyzmu religijnego, nie miało sposobności do odczuwania wstrząsających radości ni wielkich, powszechnych boleści. Jak w dziejach rozwoju dzisiejszéj cywilizacyi, tak i w kolejach rozwoju umysłowego każdego ze społeczeństw europejskich, religia stanowi pierwotną i przez wiele wieków wyłączną formę życia duchowego, która z czasem dopiero wydziela z siebie nowe formy, wyzwalające się, w miarę dojrzewania, z zależności od wspólnéj matki broniącéj żarliwie swéj supremacyi. Rozwój religii wywołuje zawsze, na pewnym stopniu, pojawienie się literatury, sztuki i nauki.

Ubóstwo pojęć religijnych i form kultu widoczne zarówno z nielicznych wzmianek, jakie spotykamy po świadectwach historycznych, słabych śladów, jakie przechowały pieśni i zwyczaje ludowe jak i zubogiéj pozostałości w posągach bóstw i gruzach świątyń, daje nam miarę nizkiego stopnia rozwoju umysłowego pierwotnych Polan i tłómaczy dla czego nie wytworzyli oni literatury i sztuki rodziméj. Brak oporu przy wprowadzeniu chrześciaństwa nie przynosi im wcale zaszczytu i nie świadczy bynajmniéj, jak to nieraz twierdzono, o wysokim stopniu uobyczajenia, pozwalającym z łatwością przyswoić pojęcia nowéj religii. Bierna postawa, w obec tak ważnéj dla każdego ludu zmiany, dowodzi ciemnoty, niedopuszczającéj silniejszych i jasno określonych przekonań i gorętszych uczuć. Późniejsza znacznie reakcya ludowa miała niewątpliwie swe główne źródło w społecznych i plemiennych nienawiściach ku cudzoziemskim władcom („księdzom“), co uzyskawszy przewagę w radzie książęcéj, narzucili jarzmo całemu krajowi i traktowali pogardliwie ludność obłożoną nowemi ciężarami na ich utrzymanie.

Biskup-cudzoziemiec, imponujący ludowi zarówno przepychem stroju, jak licznym orszakiem, obcą mową, jak i szacunkiem, okazywanym mu przez księcia samego, przedstawiał się masom jako polityczny władca, narzucający ze swoim panowaniem i swoje bogi.

Ażeby obudzić zaufanie do tych nowych bogów i umożebnić choć formalne uczestnictwo ludu w obrzędach kościelnych, trzeba było pomocy ludzi władających jego językiem, blizkich mu pojęciami i obyczajami. Czechy i Szlązk przez dwa wieki prawie dostarczają kościołowi polskiemu pracowników. Po Włochach, Niemcach, Francuzach, zajmujących katedry biskupie w ciągu pierwszego stulecia, wstępują na nie szlązacy, a obok nich niewątpliwie i liczni potomkowie osiadłych w Polsce cudzoziemców. Utrzymu-

jące się jeszcze w wieku XII małżeństwa wśród świeckiego duchowieństwa, ułatwiały zespolanie się przybyszów z miejscową ludnością i utrwalały wpływ przynoszonéj przez nich kultury. Trudno przypuścić, by przy braku szkół, przy trudnościach jakie spotykał krajowiec w pobieraniu nauk po klasztorach zapełnionych przez cudzoziemców, nieznających jego języka, w przyswojeniu nieprzystępnych dla jego umysłu pojęć, mogła miejscowa ludność dostarczać w pierwszych wiekach dostateczną ilość księży. Naturalna bardzo solidarność wśród cudzoziemskiéj większości kapituł niedopuszczała nawet uzdolnionych krajowców na wyższe godności. Jeszcze w wieku XIII beneficya otrzymują przybysze, nie znający często języka, tak, że uchwały synodów i rozporządzenia arcybiskupa muszą kłaść tamę takiemu stanowi i żądają od proboszczów, by parafian swych wyuczali „Ojcze nasz“, „Zdrowaś Marya“, „Wierzę“ i modlitwy „Kaję się“ po polsku.

Z przechowanych po kronikach i dokumentach imion dostojników kościelnych, z pierwszych wieków naszych dziejów, trudno domyśléć się ich pochodzenia, jeżeli nie mamy zkądinąd o tém wiadomości. Gdy zwrócimy uwagę, że każdy taki cudzoziemiec przybywał już w wieku dojrzałym, z zasobem pojęć i wiadomości, z obyczajami i zwyczajami, odpowiedniemi stopniowi kultury w jego ojczyźnie, to kwestya pochodzenia ludzi, którzy dzięki władzy, znaczeniu i materyalnym zasobom, mogli wywierać rozlegle i różnostronne wpływy, przekształci się w kwestyą prądów cywilizacyjnych, pod wpływem których wytwarzały się zawiązki naszego życia umysłowego. Jeżeli zwrócimy uwagę na znaczną ilość klasztorów, na ogromne obszary dóbr biskupich i klasztornych, na władzę świecką i wpływy polityczne duchowieństwa, na materyalną zależność od niego tak znacznéj liczby kmieci, osadników, oficyalistów i dzierżawców dóbr kościelnych, wtedy doniosłość wpływu, jaki po za obrębem religii, wywierała hierarchia na pojęcia, obyczaje, tryb życia, rolnictwo, rzemiosła, stosunki handlowe, przedstawi się we właściwém świetle. Najświetniejszemi pomnikami kultury tych czasów są okazałe ruiny klasztorów benedyktyńskich i cystersów. Podczas gdy po drewnianych grodach książęcych nie zostało śladu, prócz wałów ziemnych i rozrzuconych kamieni, gdy późniejsze okazalsze bo kamienne lub ceglane zamki małopolskich panów rozsypały się w gruzy, wspaniałe opactwa cystersów (w Sulejowie, Koprzywnicy) budzą, w swoich ruinach jeszcze, słuszny podziw dla piękności architektonicznéj kamiennych świątyń i okazałości klasztornych budowli.

Życie umysłowe i działalność piśmiennicza, tego przeważnie cudzoziemskiego duchowieństwa, nie odpowiada wcale jego mate-

ryalnéj i politycznéj potędze, jego trosce o dobrobyt i dbałości o wygodne i okazałe siedziby. Odcięci od życia umysłowego zachodu, wśród którego wyrośli, benedyktyni i cystersi zapominają w Polsce o swéj roli: krzewicieli oświaty i nie wywdzięczają się barbarzyńskiemu krajowi za dostatki, jakiemi ich osypuje, ni pracami uczonemi, ni instytucyami szerzącemi oświatę.

Pierwszy zabytek piśmienniczy jaki się dotąd dochował, „Żywot św. Wojciecha" (*Passio S. Adalberti*) skreślony został prawdopodobnie przez zakonnika klasztoru międzyrzeckiego nad Obrą (w Wielkopolsce), wkrótce po śmierci żarliwego misyonarza. Wskazówki, z których Kętrzyński wnosi o polskości autora, pozwalają, ze względu na miejscowość i pochodzenie świętego, domyślać się w nim raczéj czecha lub szlązaka. Dziwna rzecz, że w szeregu licznych przypuszczeń co do narodowości kronikarza, znanego pod nazwą Gallusa, pominięto najprawdopodobniejszą słowiańskość jego krwi (z Czech lub z nad Elby), wyjaśniającą nam zarówno widoczną wszędzie znajomość języka i pieśni ludowych, jak i gorące uwielbienie dla Chrobrego i Krzywoustego.

W „mistrzu" Wincentym, znanym pod nazwą Kadłubka, trudno uznać polaka, małopolanina, jakkolwiek urodził się pod Opatowem. Sympatye dla niemieckich Cystersów, wśród których spędza ostatnie lata życia, szerokie oczytanie w klasycznych i kościelnych autorach, brak śladów związku jego pojęć i uczuć z małopolskiém otoczeniem, przedstawiającém wówczas szeroko rozrodzone i ścisłemi węzłami związane rody — pozwala nam upatrywać w Kadłubku kosmopolitycznego sługę kościoła i księcia, obcego stosunkom i interesom ówczesnego polskiego społeczeństwa. Przejęty wielkością kościoła i cesarstwa, stara się przedstawieniem stosunków z Aleksandrem W. i Rzymianami uświetnić ubóstwo tronu, na którym siedział sławiony przez niego książę (Kazimierz Sprawiedliwy). Ta sama niewątpliwie pobudka była powodem, iż opowiadanym w kronice sprawom sądowym nadaje formy z rzymskiego prawa wzięte. Retorycznéj formie opowiadania, rozwlekłym moralizowaniom, rozszerzeniu pierwotnych dziejów, przez posunięcie ich aż do przedchrześciańskich czasów, zawdzięczał Kadłubek swe niezwykłe powodzenie i sławę, jakiéj nie osięgnął prawdomówny, lecz prostaczy Gallus.

Kontynuator Wincentego, Dzierzwa, postać nieznana zupełnie pod względem pochodzenia, stanowiska i kolei życia, posuwa dzieje pierwotne daléj jeszcze bo do Wandala potomka Jafeta. Za czasów Ahaswera (męża Estery) nastąpiło według niego najście Gallów na Polskę, opowiedziane już przez Kadłubka.

Dwuwiekowe oddziaływanie nietyle samej idei religijnej, niedostępnej dla większości umysłów ówczesnych, ile form obrzędowych a nadewszystko materyalnego dobrobytu i znaczenia społecznego będącego udziałem duchownych, zwróciło zdolniejsze i ambitniejsze jednostki ku temu zawodowi, otwierającemu przystęp do wszystkich źródeł wiedzy ówczesnej i wszystkich wyższych stanowisk społecznych. Napady tatarskie znowu, niwecząc gwałtownie materyalne warunki bytu i przerzucając ludność w okolice odległe od spustoszonych siedzib, budziły w bezsilnych i zrozpaczonych uczucia religijne, podniecały i rozpowszechniały popęd do stanu duchownego, którego wyrazem jest tak szybkie rozszerzenie się w XIII w. dwóch nowych zakonów: Dominikanów i Franciszkanów i cała grupa świętych. Ten ruch religijny ogranicza się jednak na obszarach Małopolski i Szlązka i polega na procesie przeciskania się idei religijnych do umysłów i serc nie wywołując życia umysłowego. Żywot św. Stanisława napisany, z okoliczności jego kanonizacyi, przez Wincentego dominikana około połowy XIII wieku, jest jedynym przechowanym dotąd pomnikiem spowodowanym przez życie religijne epoki.

Przy końcu XIII wieku pojawia się nowy kronikarz, pochodzący prawdopodobnie z Małopolski (z pod Zawichosta) ale przebywający i piszący w Wielkopolsce, gdzie zajmuje stanowisko kustosza poznańskiego. Jest-to Baszko (Paszko—od Paweł?). Kronika jego pisana (w Gnieznie?) w 1295 roku a doprowadzona do 1271 r. przedstawia i ocenia wypadki ze stanowiska interesów kościoła i książąt Wielkopolskich (Przemysława ojca i syna). Opiera się w niej po części na Kadłubku a w części może zapewne korzystał z pracy Bogufała biskupa poznańskiego zmarłego w 1253 r. O tym ostatnim powiada kronika: „Dzień i noc zagłębiał się namiętnie w czytaniu książek religijnych; posiadał ich niemałą ilość i lubił je namiętnie jakby coś droższego nad kosztowne skarby.“

Jeżeli Bogufałowi przyznamy polskie pochodzenie, to tém łatwiej pojmiemy stan egzaltacyi, jaki budziło w prostaczych duszach praojców naszych z XIII w. zetknięcie się ze światem nadziemskim i osiągnięcie godności przedstawiciela tego świata i pośrednika między nim a świeckimi. Bóg dający syna swego w ofierze dla zbawienia ludzi, zastępy świętych i męczenników którzy życie całe poświęcili na usługi Chrystusa i krzewienie jego nauki, papieże władnący tronami cesarzów i królów i duszami wszystkich ludzi, biskupi otoczeni książęcym majestatem, cały szereg wielkich idei, obrazów, postaci, oddziaływał zarówno na gubiącą się śród nich myśl, jak na olśnioną wyobraźnią i wzruszone do głębi uczucia, absorbował na rzecz idei religijnej i interesów kościoła gorące i wrażliwe dusze od-

rywając je z łatwością od życia i stosunków, które nie pociągały ni serca, ni wyobraźni, nie dostarczały rozkoszy mogących iść w porównanie ze szczęściem oddania się na usługi Bogu i karmienia umysłu wielkimi prawdami, myślami świętych i proroków.

Jak w jednostce tak i w całych społeczeństwach, pierwsze rozbudzenie się umysłu i serca, przez zetknięcie się z wielką ideą religijną, społeczną lub polityczną, wywołuje obok nieograniczonéj wiary w nieomylność téj idei, jéj trwałość i skuteczność, uczucie szczęścia i podniesienia wewnętrznego, wynik zetknięcia się z nieznanym dotąd światem. Im więcéj pojęć przeniknęło do umysłu jednostki czy społeczeństwa, im więcéj uczuć potrąciło struny serca, tém bardziéj słabnie nasza wrażliwość i tém mniéj skłonni jesteśmy do ślepego oddania się jednéj tylko idei.

V.

Panowanie Kazimierza W. otwierając nowe i liczne pola dla działalności społecznéj i jednostkowéj, popierając napływ różnoplemiennych przybyszów a jednocześnie ruch kolonizacyjny i przemysłowy wewnątrz państwa, sprowadziło przewrot w pojęciach i uczuciach nielicznéj ówczesnéj inteligencyi, ukazując jéj nowe świeckie ideały i budząc światowéj natury upodobania.

Rozwój stosunków społecznych, wytworzenie się możnowładztwa, średniéj posiadłości i nowych klas ludności rolniczéj, na świeżo osiedlonych obszarach, ściśle związane z tém postępy rolnictwa, handlu i przemysłu, znajdujących dla siebie dogodne ogniska w rozwijających się pomyślnie miastach, wywołać koniecznie musiały rozbudzenie sił i uzdolnień umysłowych i skierowanie ich ku różnorodnym celom tego nowego życia. Wyrazem umysłowych potrzeb Kazimierzowskiéj epoki było założenie Szkoły głównéj krakowskiéj.

Kronika Janka z Czarnkowa archidyakona gnieźnieńskiego podaje ciekawe odbicie przekształcenia jakiemu uległo duchowieństwo, jedyny dotąd przedstawiciel życia umysłowego, w ciągu stulecia dzielącego nas od czasów Kadłubka i Bogufała. Hierarchia kościelna staje się teraz polską zarówno pochodzeniem jak i pojęciami, a biorąc żywy udział w życiu społeczném i sprawach politycznych, traci z oczu cele religijne i ogólne interesa kościoła i występuje jako odrębny stan, wywierający swą materyalną potęgą i umysłową przewagą, doniosły wpływ na bieg spraw publicznych. Ztąd czysto świecki, polityczny punkt widzenia cechuje opowieść Janka, występującego przed nami w charakterze przedstawiciela życia politycznego

Wielkopolski i interesów stronnictwa (Nałęczów) z którym go łączyły węzły rodowe.

Szybki upadek założonéj przez Kazimierza W. szkoły krakowskiéj świadczy jak słabemi stosunkowo siłami umysłowemi rozporządzało ówczesne społeczeństwo. Znaczna ilość Szlązaków jaką przez cały 15 i 16 wiek spotykamy na katedrach akademii jagielońskiéj pozwala przypuszczać, że i w poprzednich wiekach zajmowali oni większą część stanowisk wymagających wyższego uzdolnienia umysłowego. Wspólność języka i pochodzenia plemiennego ułatwiała im spełnianie obowiązków i pozyskanie sympatyi i szacunku otoczenia. Emigracya taka sprzyjała szybkiemu niemczeniu Szlązka pozbawiając go najlepszych sił.

Szlązacy niewątpliwie odegrali także ważną rolę w rozwoju rodzimego polskiego piśmiennictwa przez dostarczanie przekładów czeskich pieśni, modlitw, ważniejszych części biblii a zapewne i wielu świeckich utworów. Sąsiedztwo z Czechami ułatwiając znajomość obu języków, czyniło Szlązaków naturalnymi pośrednikami między obu narodami. Wiadomo, iż wszystkie prawie, nieliczne zresztą, zabytki językowe polskie z przed XVI w. są przekładami z czeskiego, że nawet jeszcze w XVI w. wychodzi cały przekład biblii oparty na czeskim pierwowzorze. Reformator pisowni polskiéj Parkosz, zostaje w stosunkach ze Szlązkiem, wspomina w swém piśmie o Nissie i Cieszynie.

Intensywność rozwoju społecznego, ekonomicznego i politycznego, wzmaga się w Polsce od połowy XIV wieku przez współdziałanie coraz to liczniejszych i silniejszych bodźców i czynników. Przyłączenie Rusi i Litwy otwiera szerokie pole dla działalności kolonizacyjnéj i cywilizacyjnéj, zarówno duchowieństwa jak i szlachty, zarówno mieszczaństwa jak i wieśniactwa. Walka dyplomatyczna i orężna z zakonem krzyżackim, wymaga udziału licznych sił umysłowych w kampanii politycznéj i gorącego poparcia całego społeczeństwa w wielkich wyprawach wojennych.

Wprowadzenie Jagiellonów na trony Czech i Węgier, rozszerzyło zakres interesów politycznych i działalności dyplomatycznéj dworu polskiego a zarazem otworzyło nowe drogi dla wpływów kultury włoskiéj i zachodniéj. Rozwój stosunków politycznych wymagał obok rozległéj korespondencyi, częstych poselstw i zjazdów, dla których dwór musiał posiadać liczne grono uzdolnionych agentów i urzędników kancelaryjnych.

Umysłowe wykształcenie staje się koniecznym warunkiem dla osięgnięcia wyższego stanowiska. Synowie panów i zamożnych mieszczan kształcą się na zagranicznych uniwersytetach. Sprawy ko-

ścielne i pobudki religijne skłaniają duchownych do częstych podróży do Rzymu, Jerozolimy, lub na sobory zajmujące się wtedy wielkiéj wagi kwestyami. Biedniejsza młodzież wędruje pieszo od jednéj do drugiéj szkoły. Łacina ułatwia stosunki międzynarodowe, wymianę pojęć i oddziaływanie kultur. Długosz narzeka, iż za jego czasów to tylko ceniono co posiadało „włoski polor.“

Kraków w XV wieku staje się kosmopolityczném ogniskiem życia umysłowego, stosunków politycznych i handlowych, gromadzącém różnoplemiennych uczonych i uczniów, artystów, rzemieślników i kupców. Polacy, czesi, rusini, szlązacy, niemcy, węgrzy, włosi składają się na tę mieszaną ludność, śród któréj ścieranie się rozlicznych pojęć, języków, temperamentów i obyczajów działa pobudzająco na rozwój życia umysłowego i przygotowuje grunt pod rozkwit piśmiennictwa narodowego w XVI w. (1).

Pomniki piśmiennicze w XV w. noszą przeważnie kosmopolityczny charakter. Akademia krakowska jest wtedy wielką wszechnicą dla północno-wschodniéj Europy, a grupa znakomitych mężów uświetniających i akademią i dwór Jagielloński nosi przeważnie kosmopolityczne piętno. Kosmopolityzm ten ma źródło zarówno w humanizmie, jakiemu hołdują ci mężowie, jak również w ich mieszczańskiem pochodzeniu i przeważnie cudzoziemskiem otoczeniu.

Zarówno Kopernik jak Grzegorz z Sanoka choć są polskimi obywatelami z urodzenia i temu nigdy nie zaprzeczają, nie przywiązują przecie do tego faktu znaczenia jakie mu nadaje rozbudzenie uczuć i świadomości narodowéj u przedstawicieli umysłowych XVI wieku. Chociaż więc obaj ci mężowie kształcą się w akademii krakowskiéj i spełniają rozmaite funkcye publiczne, należą przecie pojęciami i sympatyami do téj kosmopolitycznéj republiki humanistów i uczonych, dla któréj narodowe różnice i sympatye równie jak i narodowe piśmiennictwo nie miały znaczenia. Nieliczni polscy humaniści lgnęli naturalnie do kół cudzoziemskich, które ich łączyły z życiem umysłowem Europy. Najświetniejszym tych kół przedstawicielem był Kallimach. Koresponduje on z Wawrzyńcem Medyceuszem, Marsyliuszem Ficinem, Angelo Polizianem, posiada wpływowe stanowisko na dworze, jako nauczyciel królewiczów i doradca Olbrachta po wstąpieniu na tron. Stosunki przyjaźni łączą go z trzema wybit-

---

(1) Charakterystycznym faktem co do stosunków plemiennych w gronie profesorów Akademii jest skład komisyi układającéj memoryał dla soboru bazylejskiego. Wchodzą do niéj: Jan Elgot morawianin (Wieniawita, krewny Długosza), Wawrzyniec z Raciborza szlązak, Benedykt Hesse krakowianin niemieckiego pochodzenia i Jakób z Paradyżu (z Wielkopolski) prawdopodobnie szlązak. Jan Kanty jest także szlązakiem.

nymi przedstawicielami życia umysłowego w Wielkopolsce: Janem Ostrorogiem, Piotrem z Bnina i Maciejem Drzewickim.

Wpływ humanizmu szerzy się wraz z wzrostem możnowładztwa, w którém znajduje on żarliwych protektorów i propagatorów. Ideał humanistyczny jest ideałem arystokratycznym. Humanista z pogardą patrzy na pospólstwo, jego życie, język, pojęcia, gardzi biblią dla jéj demokratycznego charakteru i formy tak dalekiéj od wzorów klasycznych, a dostojność człowieka zasadza na obcowaniu duchowém z wielkimi mężami i mędrcami starożytności, na kierownictwie spraw publicznych według wzorów i rad tych mężów, na swobodném używaniu rozkoszy życia podniesionych do wyższego stopnia przez nadanie im wykwintnych form, a wreszcie na najwyższym przywileju, jaki daje rozum i talent, rozdawnictwie sławy i nieśmiertelności przez upamiętnianie wydatnych postaci i wypadków—przez biografie, historyczne opowieści, mowy, listy i ody pochwalne, epigramaty i napisy nagrobkowe. Humaniści potrzebują opieki możnych, ażeby zapewnić sobie wygodne życie, wpływowe stanowisko, środki do pracy i nakładców na utwory; panowie zaś poszukują w nich zręcznych sekretarzów, nauczycieli, agentów politycznych, publicystów i panegirystów. Związek humanizmu z ideami arystokratycznymi występuje wybitnie w „Monumentum“ Ostroroga tudzież w sądzie Piotra z Bnina o kronice Kadłubka (1).

W przeciwstawieniu do tych z zewnątrz wprowadzonych pojęć i ideałów, występuje w Długoszu świetny przedstawiciel idei i uczuć na rodzimym gruncie rozwiniętych i pomimo oddziaływania wpływów humanistycznych (na zewnętrzne strony) utrzymujących swą samoistność. Długosz jest pierwszą postacią w dziejach naszéj literatury uwydatniającą w całéj tak rozległéj działalności jedność myśli narodowéj i uczucia, którego niezwykła siła, tłómaczy nam zarówno niezmordowaną pracowitość tego Lelewela XV wieku jak i niepospolitą wartość naukową i literacką jego dzieł.

Stoi on na przełomie między średniowieczną a nowożytną epoką życia dziejowego Małopolski i Wielkopolski, ztąd jego patryotyzm mimo swych nowożytnych rysów, ma swe główne źródło w religijno-kościelnych ideach i uczuciach. W Polsce kocha on przedewszystkiém wierną córkę kościoła, opatrującą tak hojnie jego potrzeby i dostarczającą całego zastępu świętych. Troskliwość o materyalne interesa kościoła przywodzi go do zapoznania się z rozległym obszarem dyecezyi krakowskiéj, do zetknięcia się zarówno z przyrodą kra-

(1) Por. Zeissberg: Dziejopisarstwo polskie wieków średnich“ T. II 253.

ju, w którym rozsiane są tak liczne posiadłości kościelne, w którym każda wioska prawie świadczy o gorliwości religijnéj poprzednich wieków, nadaniami na rzecz klasztorów i kościołów, jak i z licznymi dokumentami dostarczającymi, tak dla dziejów kościoła jak i ściśle z nim związanéj przeszłości dziejowéj narodu, bogatych materyałów. Gorąca wiara i uczucie religijne przywiązywały go do kościoła a zarazem i do widowni wielowiekowéj jego działalności religijnéj i cywilizacyjnéj, któréj owoce i ślady na każdym spotykał kroku. Jako potomek rodziny morawskiéj, nie złączony ważnymi tak podówczas węzłami wspólności krwi i interesów z wielkimi rodami Małopolski i Wielkopolski, stoi on, na swém stanowisku kapłańskiem, po za obrębem stanowych i prowincyonalnych dążeń. Służąc kościołowi i królowi pracuje dla kraju całego.

Podstawą jego historyozofii jest stosunek świeckiego społeczeństwa do kościoła. Niepowodzenia i klęski dziejowe są zawsze wynikiem nieposłuszeństwa względem kościoła lub krzywd uczynionych jego przedstawicielom. Rozpadnięcie państwa polskiego w epoce podziałowéj jest karą za śmierć Ś-go Stanisława i porąbanie jego ciała.

Podniosły ideał religijny pozwala historykowi zająć stanowisko niezależne od politycznych roszczeń i świeckich interesów hierarchii kościelnéj. Gromi on śmiało papieżów i biskupów ilekroć zapominają o swém wysokiem posłannictwie. Mając na celu moralne zbudowanie słuchaczów, widząc pod wpływem biblii w faktach dziejowych wyroki Opatrzności, stwierdzenie prawd objawienia, nie waha się dla lepszego uwydatnienia swéj historyozofii, dla przeprowadzenia swéj religijno-narodowéj tendencyi, poświęcać prawdy historycznéj przez opuszczanie wielu ważnych a sprzecznych z jego celem szczegółów, lub dowolne przekształcenia opisywanych faktów.

Prąd nowych idei humanistycznych i reformacyjnych, przeciw któremu daremnie walczy Oleśnicki i Długosz, szerzy się zwycięsko śród świeckich kół społeczeństwa, usuwających się coraz śmieléj z pod władzy i wpływu hierarchii. Emancypacyą tę ułatwia upadek życia umysłowego i ducha religijnego śród duchowieństwa, oddającego się przeważnie materyalnym zabiegom i interesom politycznym i nurtowanego przytém, na równi ze świeckimi, przez współczesne prądy umysłowe.

VI.

Rozkwit literatury i życia narodowego w wieku XVI, przenosi nas na nową przeważnie widownię i śród nowych ludzi. Życie umy-

słowe porzuciło klasztory i katedry a przeniosło się do świeckich kół społeczeństwa, rozwija się śród obfitego w zdolne umysły grona sekretarzy i dworzan królewskich, śród inteligentnéj młodzieży zapełniającéj dwory dygnitarzy koronnych, w podmiejskich willach i pałacach bogatych mieszczan krakowskich.

Zgodnie z zaznaczonem już prawem, cechującem cały rozwój dziejowy naszego życia duchowego, widownią, dostarczającą działaczów tego rozkwitu, jest świeżo zaludniony obszar zawarty między Wisłą, Sanem, Karpatami i Szlązkiem a szczególniéj wschodnia część tego obszaru. Podczas gdy prastare małopolskie grody: Wiślica, Sandomirz, Stopnica, Korczyn, Olkusz a wreszcie sam Kraków dostarczają nielicznych i zwykle drugorzędnych pracowników—to młode stosunkowo osady: Sambor, Sanok, Jarosław, Przeworsk, Przemyśl, Tarnów, Krosno, Pilzno, Biecz, szczycą się całym zastępem humanistów, poetów, teologów, lekarzów. Dawne małopolskie rody które w pierwotnych, przeludnionych siedzibach, nie miały pola do zdobycia dla siebie mienia i stanowiska, zużytkowania sił i zdolności, przeniosły się po za Wisłę, na obszary doliny Sanu i Dunajca i zajaśniały tam rycerskimi przymiotami, zdolnościami gospodarskimi, ogładą obyczajową i upodobaniem do umysłowéj kultury. Zebranych dostatków używały hojnie dla popierania literatury i życia umysłowego. Któryż z wybitniejszych pisarzów i uczonych wieku XVI nie miał stosunków z domem Tarnowskich lub Kmitów, Tęczyńskich lub Herburtów, nie zawdzięczał im bądź pomocy materjalnéj na studya we Włoszech i Niemczech, wydania prac, bądź protekcyi przy uzyskaniu urzędu lub beneficyum, bądź wreszcie gościnnego podejmowania na dworach, stanowiących ogniska, skupiające najznakomitszych przedstawicieli życia umysłowego i politycznego.

Najświetniejszym przykładem wybujania gieniuszu małopolskiego i uczuć narodowych, wskutek przesadzenia na świeżą glebę i pod wpływem domieszki obcéj krwi, są dwaj Okszycowie: Rej i Orzechowski, małopolanie z pochodzenia lecz urodzeni na Rusi z matek Rusinek.

Kochanowski, Janicki, Szarzyński choć nie małopolanie z rodu, rozwijają się przecie pod wpływem małopolskiéj kultury i w pismach swych odbijają pojęcia, uczucia i przyrodę małopolskiego otoczenia.

Otoczenie to wyciska swe piętno pojęciowe i językowe zarówno na Bielskich (z ziemi sieradzkiéj stanowiącéj ogniwo pośrednie między Małopolską a Wielkopolską) jak i na mazurskiéj grupie złożonéj z Paprockiego, Stryjkowskiego, Górskich, Krasińskiego, Grzebkiego.

Szybkie posuwanie się kolonizacyi i kultury polskiéj na obszarach Rusi Czerwonéj, sprowadziło tu nowy rozkwit życia umysłowego i poezyi, występujący przy końcu XVI i w pierwszéj połowie XVII w. Ogniskami tego życia były dwory możnych panów: Zamojskich, Firlejów, Leszczyńskich, Herburtów, Wiszniowieckich i zamożnéj szlachty: Pszonków, Górajskich, tudzież bogate miasta z różnoplemiennėm zaludnieniem: Lwów i Lublin. Sielankowa poezya polska i łacińska, akademia w Zamościu, studya filologiczne i przekłady klasyków, popierane przez Zamojskiego, rzeczpospolita babińska, rozrost kalwinizmu i socynianizmu, drukarnie nadworne zakładane w celach progadandy religijnéj, lecz służące także interesom oświaty i literatury (Dobromil, Baranow, Łaszczów)—oto różnorodne rysy krótkotrwałego, lecz bogatego życia umysłowego, któremu socyalny wybuch osłoniony mianem „wojen kozackich" położył koniec tém łatwiéj, iż kultura, na któréj się wspierało to życie, nie miała trwałych podstaw w stosunkach społecznych i warunkach ekonomicznych. Czy-to zwrócimy uwagę na świetną grupę poetów, złożoną z Klonowicza, Szymonowicza, Twardowskiego (Legacya, Daphnis) i Zimorowiczów, czy na grono profesorów akademii zamojskiéj, czy wreszcie na kaznodziejów i drukarzów nadwornych—wszędzie spotykamy przybyszów ze Szlązka, Prus, Wielkopolski, Mazowsza, popieranych przez panów i szlachtę również małopolskiego lub wielkopolskiego pochodzenia, Życie umysłowe miejscowej rusińskiéj ludności dość ubogo reprezentują: Wereszczyński, Jerlicz i Baranowicz. Ludność ta występuje przecie na kartach utworów wspomnianéj grupy poetów w sympatycznėm i zarazem dość wiernėm odtworzeniu. Zarówno w Roksolanii, jak Sielankach Szymonowicza i Zimorowicza, a nawet poniekąd i w Daphnis poeci ukazują nam różne strony życia ludu rusińskiego, na tle téj pięknéj przyrody, któréj zawdzięczają oni rozwój swych talentów.

Grupa małopolskich poetów z XVII wieku przedstawia przeciwnie tę charakterystyczną cechę, iż składający ją są małopolanami czystéj krwi i rozwijają swe zdolności w tém fizycznėm i społecznėm otoczeniu, wśród którego przyszli na świat. Na ich życie duchowe i naturę talentów wielki niewątpliwie wpływ wywierała górska przyroda, któréj piękność żywo odczuwają, ale nie mają sposobności, a nadewszystko zdolności, do odtwarzania roztaczających się przed ich okiem krajobrazów. Już Jan Kochanowski, który prawdopodobnie w młodych latach przebywał dość długo wśród karpackiego Podgórza, wspomina z tęsknotą „Wysokie góry i odziane lasy". Nieznane nam bliżéj koleje życia Piotra Kochanowskiego nie pozwalają wskazać jego miejsca pobytu stałego, lecz stosunki

z Tęczyńskiemi i stałe podstawianie w miejsce Apeninów — Tatr. Krępaku i obrazów tatrzańskiej przyrody w przekładach „Orlanda“ i „Jerozolimy“, upoważniają do zaliczenia go do związanej z podgórzem karpackim grupy poetów małopolskich. Zarówno położenie rodzinnego gniazda Zbylitowskich (Zbylitowska góra nad Dunajcem, koło Wojnicza), jak i piękne obrazy górskiej przyrody w „Wieśniaku“ i „Żywocie ziemianina“ wskazują niewątpliwy wpływ otoczenia fizycznego na rozwój talentu. Potocki Wacław życie swe spędza w Łużnéj, w pobliżu Grybowa i Biecza, mając przed sobą wspaniały krajobraz górski, uwieńczony pasmem „bystrych Tatr bodących niebo“, jak się sam wyraża. Kochowski Wespazyan znowu przychodzi na świat w sandomierskim Gaju, na stoku gór Świętokrzyskich, z których szczytów ogarnia okiem cały obszar Małopolski aż po same Tatry. Gawiński i Morsztyn Andrzej pochodzą z okolic Krakowa. Ten ostatni wprawdzie, w licznych podróżach po Europie i w ciągu długoletniego pobytu na dworze królewskim w Warszawie, miał czas zatrzeć wrażenia młodości, mimo to łączy się on ściśle z grupą poetów małopolskich językiem, uczuciami, pojęciami (z wyjątkiem politycznych) i upodobaniami literackiemi.

Wewnętrzna jedność grupy małopolskich poetów polega nietylko na zależności od wspólnego im otoczenia towarzyskiego, społecznego i fizycznego, ale i na wspólnych wzorach, któremi są przedewszystkiem poezye Jana i przekłady Piotra Kochanowskiego i na wspólnych upodobaniach, pojęciach i ideałach. Pokrewieństwo to występuje najwybitniéj, z jednéj strony w drobnych poezyach (figliki, fraszki, dworzanki, Jovialitates), odbijających tak wiernie zewnętrzną stronę życia, właściwości temperamentu, stopień uobyczajenia — z drugiéj znowu w poezyach religijnych wynurzających, w naiwnéj i nieudolnéj nieraz formie, najgłębsze uczucia tych dusz, ich moralne cierpienia i pragnienia, ich filozofią i historyozofią. Różnorodnym formą i treścią utworom przyświecają trzy ideały, stanowiące gwiazdy przewodnie życia duchowego Małopolski, a zarazem skalę do oceny faktów i źródło reformatorskich planów—Ideał moralny człowieka, szukającego szczęścia w życiu rodzinném i towarzyskiém, w pracy i miernym dobrobycie, w spokoju sumienia i szacunku współbraci, zasadzającego religią na wewnętrzném doskonaleniu się, panowaniu nad namiętnościami i ufności w dobroci i sprawiedliwości Bożéj —i ztąd zachowującego nawet przy wysokiéj egzaltacyi uczuć religijnych, przy najżarliwszéj dewocyi, niezależność od hierarchii kościelnéj, poddawanéj ostréj krytyce— Ideał społeczny szlachcica-ziemianina, oddanego pracy rolnéj, posługom obywatelskim, dbałego o kulturę umysłową i uobyczajenie, zajmującego

względem kmiecia stanowisko ojcowskie, a w stosunkach z mieszczanami dopuszczającego równouprawnienie towarzyskie, oparte na równym stopniu wykształcenia i oglądy obyczajowéj. — Wreszcie ideał polityczny, rzeczypospolitéj ziemiańskiéj, opartéj na moralnéj dojrzałości i politycznéj żarliwości obywateli, którzy swe umysłowe i materyalne zasoby gotowi są poświęcić dla dobra publicznego, a wzamian za złotą wolność, najwyższe dobro polityczne, podejmować najcięższe obowiązki i przodować innym stanom cnotą, poświęceniem i mądrością.

Tym podniosłym ideałom, wytworzonym pod wpływem prądów humanizmu i reformacyi, ale z pierwiastków rodzimego życia, zawdzięcza małopolska literatura i kultura swą trwałą piękność i siłę przyciągającą, dzięki którym działała ona tak skutecznie na rozbudzenie życia umysłowego i uobyczajenie jednostek na całym obszarze Rzeczypospolitéj. Promieniami swego złotego blasku ideały małopolskie oświecały i ogrzewały ciemne i ubogie dusze synów puszcz nadnarwiańskich i nadniemeńskich i stepów zadnieprzańskich, budziły żywe sympatye obcoplemiennéj ludności miast pruskich i Inflant.

(*d. n.*) *Bronisław Chlebowski.*

EMIGRACYA W NIEMCZECH.

Pomiędzy objawami życia społecznego w Niemczech, które w kraju i za granicą równie ciekawe obudzić zdołały zajęcie, kolosalna emigracya zamorska niepoślednie dzisiaj zajmuje miejsce. Że bowiem przechodzi ona rozmiary zdrowego odpływu naturalnego przyrostu ludności, o tém, choćby nam inne nie świadczyły symptomy, przekona nas łatwo nawet już pobieżny rzut oka na olbrzymie cyfry wychodźców, jakie znajdujemy w zapiskach cesarsko-niemieckiego urzędu statystycznego. Chwyciło bowiem, według podań urzędowych niemieckich, za kij wędrowczy:

w r. 1871	ogółem	75912	osób		w r. 1878	ogółem	24217	osób
„ 1872	„	125650	„		„ 1879	„	33327	„
„ 1873	„	103638	„		„ 1880	„	106190	„
„ 1874	„	45112	„		„ 1881	„	210547	„
„ 1875	„	30773	„		„ 1882	„	193687	„
„ 1876	„	28368	„		„ 1883	„	166119	„
„ 1877	„	21964	„					

Ogółem tedy wywędrowało z Niemiec w przeciągu lat 13, ubiegłych od założenia cesarstwa niemieckiego, podług statystycznych wykazów niemieckich nie mniej jak 1165504 ludzi. Te cyfry wszakże obejmują tych tylko wychodźców, którzy udali się na obczyznę przez porty stojące pod kontrolą oddzielnego komisarza emigracyjnego, a zatém Bremen, Hamburg i Antwerpią, do których w latach ostatnich przyłączył się Szczecin. Prócz tego zdołano skonstatować, iż przez Havre wyszło z Niemiec w latach 1881—1882 co najmniéj 50.335 niemców, podczas gdy o innych portach, prowadzących ekspedycyą wychodźców niemieckich nie mniéj rozległy interes, jak np. o Rotterdamie, nic nie wiadomo. Podług urzędowych zapisków

wszakże, jakie nas dochodzą ze Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki, gdzie nad imigracyą bardzo dokładna i bardzo staranna rozciągnięta jest kontrola, ilość wychodźców, przybywających z Niemiec do saméj tylko północnéj Ameryki, już byłaby znacznie wyższą, niż ogólna cyfra wychodźców, podana przez źródła niemieckie. Przywędrować bowiem tamże miało:

w r. 1871	ogółem	107201	w r. 1878	ogółem	31958
„ 1872	„	155595	„ 1879	„	43531
„ 1873	„	133141	„ 1880	„	134040
„ 1874	„	56927	„ 1881	„	249572
„ 1875	„	36565	„ 1882	„	232269
„ 1876	„	31323	„ 1883	„	180812
„ 1877	„	27419			

poddanych niemieckich, a zatém 254.667 głów więcéj niż ich znajdujemy w podaniach urzędowych niemieckich. Na téj tedy podstawie śmiało przypuścićbyśmy mogli, iż rzeczywista liczba wychodźców wynosiła co najmniéj po chwilę obecną z jakie półtora miljona ludzi. Zgadzałoby się to zresztą mniéj więcéj z przypuszczeniem „Norddeutsche Allgem. Ztg," która w jednym z pierwszych numerów r. 1883 omawiając sprawę wychodźtwa w przydłuższym artykule, już wówczas jako faktyczną liczbę emigrantów przyjmowała 1 ¼ miliona. Ale nie wdając się w żadne dalsze domysły i kombinacye wolimy na podstawą naszych obserwacyj wziąć cyfry, podawane przez statystyczne wykazy niemieckie jako takie, z których dokładniejszą posiadamy specyalizacyą.

Z tych tedy cyfr wynika najpierw jasno i dobitnie, iż w całym ruchu emigracyjnym trzy nam należy rozróżniać peryody: lata od r. 1871—1873 z cyfrą przeciętną 101.733, lata od r. 1874—1879 z cyfrą przeciętną 30.620 i lata 1880—1883 z cyfrą przeciętną 169.136 głów rocznie. Fakt to wielce uderzający pod względem swego wewnętrznego znaczenia, bo świadczy wymownie, jak mylném jest zdanie tych, którzy w biedzie widzą jedyne źródło wzmagającego się prądu emigracyjnego (1). Gdyby bowiem bieda była w Niemczech jedynym i wyłącznym bodźcem do emigracyi, doba względnego dobrobytu musiałaby zarazem być dobą najmniejszego ruchu emigracyjnego i odwrotnie. Tymczasem jak nas przekonywa pobieżny rzut oka na powyższe zestawienie, dzieje się tu wręcz przeciwnie. Dopóki bowiem pieniądz był łatwy i społeczeństwo niemieckie pod względem materyalnym świetnego zażywać się zdawało bytu, popęd emi-

(1) O biedzie jako współczynniku emigracyi pomówimy niżéj.

gracyjny był nadzwyczaj natężony. Krachy z roku 1873 i 1874 położyły nagły koniec tej mniemanej świetności i ta katastrofa ekonomiczna od razu studzi gorączkę emigracyjną, która i następnie, w mierze stopniowego upadku powszechnego dobrobytu, opadając stale, z chwilą najsmutniejszéj doli materyalnéj, z rokiem 1877. osięga punkt swéj najniższéj depresyi. Rok 1879 przyniósł społeczeństwu niemieckiemu nową politykę celną, a z nią na krótką chwilę niezwykle ożywienie ruchu na wszelkich polach działalności ludzkiéj. Od razu też w dwóch następnych latach ruch emigracyjny wzrasta do niebywałych rozmiarów i opadać znów dopiero poczyna, gdy zgubne następstwa wywołanéj przez tęż politykę celną hyperprodukcyi występować poczynają widoczniéj. Z tego wszystkiego wynika zatém, iż chęć do emigracyi, podsycana okolicznościami, o których pomówimy późniéj, tkwi w społeczeństwie niemieckiem w dobréj i złéj doli i że wybucha ona jasnym płomieniem, ilekroć otworzy się kanał, ułatwiający dostęp świeżego powietrza do tlejącego żarzewia. Każdorazowe polepszenie bytu materyalnego szerszych klas społeczeństwa, nie tylko nie wpływa na uśmierzenie popędu emigracyjnego, ale właśnie przeciwnie, coraz nowsze tłumy ochotników zniewala do chwycenia za kij podróżny.

Mimo to wszystko, przypatrzywszy się baczniéj odnośnym objawom, pomiędzy ruchem emigracyjnym dwóch pierwszych peryodów a ruchem ostatniego peryodu dostrzeżemy pod wielu względami zasadniczą różnicę. I tak, obejmuje obecny ruch emigracyjny, territorium o wiele większe niż ruchy poprzedzające. Gdy bowiem dawniéjszemi laty pewne tylko okolice Niemiec dostarczały zazwyczaj niezadowolnionych, którzy za morzem szukali lepszego szczęścia, to w obecnym peryodzie, ten popęd emigracyjny rozszerza się na cały obszar cesarstwa niemieckiego i pogłębia w okolicach, które dawniéj ledwie ze słuchu go znały. Odgłos skarg gorzkich na rzucanie siedzib i zagród ojczystych dochodzi nas też w tym peryodzie zarówno z północy, z Kiel, Husum, Szlezwigu i wyspy Fehmarn, jak z południa z Wirtembergii, Badenii i Palatynatu, zarówno ze wschodu, z Poznańskiego i Prus zachodnich, jak z zachodu, z Hessyi i prowincyi nadreńskich, z gór Hundsrück, Eifel i Schwarzwald. Rzecz wszakże naturalna, iż i teraz ta choroba, mimo swego powszechnego charakteru, nie wszędzie występuje z tą samą zjadliwością. Jak wszelkie choroby endemiczne ma i ona swe miejsca uprzywilejowane, które pod względem ilości emigrantów prym trzymają. I tak: oddzieliwszy Prusy od reszty państw niemieckich, znajdujemy fakt widoczny, iż w Prusiech popęd emigracyjny w ogólności był nieco silniejszy niż przeciętnie w reszcie Niemiec. Gdy bowiem ludność Prus

podług spisu z d. 1 grudnia 1880 r. wynosiła 27.279.111 głów, czyli 60,29% ludności całych Niemiec, to liczba wychodców pruskich w latach 1880—1883 wynosiła 447.419 głów, czyli 66,70% emigracyi niemieckiéj (1). Wziąwszy mniejsze obszary z rozmaitych stron Niemiec na uwagę, znajdziemy, iż popęd emigracyjny najsilniejszym był w obecnym peryodzie na Pomorzu. Po nim następowały: Prusy Zachodnie, Szlezwig-Holsztyn, Poznańskie, księstwo Meklemburgsko-Skwierzyńskie, księstwo Meklemburgsko - Strzeleckie, Hanowerya, Wirtembergia, prowincya Heska, księstwo Hessen - Darmstadt, Badenia, Bawarya i Saksonia. Porównane z ruchem lat poprzednich i zredukowane do cyfr ogólnych ludności, co najgłówniejsze kraje niemieckie przedstawiają pod względem emigracyi następujący obraz:

NAZWA KRAJU	Ilość przeciętna rocznych emigrantów w latach:		Ilość rocznych emigracyj na 1000 głów przeciętnie ludności w lat. (2):		Przyrost emigracyi na 1000 głów prz. ludn. w lat.
	1871—1879	1880—1883	1871—1879	1880—1883	1880—1884
a) Pomorze	5966	19667	4,13	12.76	8,63
b) Prusy Zachodnie (3).	—	16714	—	11,89	—
c) Szlezwig-Holsztyn	3120	10210	2.96	9,06	6,10
d) Poznańskie	4960	15065	3,11	8,84	5,73
e) Hanowerya.	4541	12548	2,29	5,92	2,63
f) Hesya	1948	6800	1,37	4,38	3,01
g) Brandeburgia z Berlinem	2399	8947	0,82	2,64	1,82
h) Westfalia	1218	5128	0,67	2,51	1,84
i) Prowincya nadreńska	1484	6851	0,41	1,68	1,27
k) Saksonia.	980	3089	0,47	1,34	0,87
l) Szlązk	1701	4778	0,46	1,19	0,73
m) Prusy Wschodnie.	—	1752	—	0,91	—
1. Monarchia Pruska	34698	111855	1,38	4,11	2,73
2. Bawarya.	4937	15715	1,00	2,97	1.97
3. Królestwo Saskie.	3300	6731	1,27	2,27	1,00
4. Wirtembergia	2601	9976	1,43	5,06	3,63
5. Księstwo Badeńskie	2493	5436	1,69	3,51	1,82
4. Hessen-Darmstadt.	1455	3556	1,69	3,80	2,11
6. Meklemburg. Schwer.	2615	4021	4,67	6,97	2,30
Niemcy w ogóle	54289	169181	1,31	3,74	2,43

(1) Do r. 1879 ilość pruskich emigrantów wynosiła 312.279 głów, czyli 63,87% emigracyi niemieckiéj.

(2) W kolumnie 3-éj przeciętna ludność krajów niemieckich obliczona jest podług wyników spisów ludności z 1871 i 1880 r.; w kolumnie 4-éj za podstawę obliczeń wzięta jest ludność z d. 1 grudnia 1882 r.

(3) Prusy Zachodnie dopiero w r. 1877 uorganizowane zostały jako osobna prowincya. Do onego czasu tworzyły one jednę całość administracyjną z Prusami Wschodniemi. W spisach też, jakie mam pod ręką, emigracya z obu tych prowincyj po r. 1877 podana jest razem.

Z pomiędzy większych państw zatém, wchodzących w skład cesarstwa niemieckiego, najwięcej ucierpiała od emigracyi w obecnym peryodzie Wirtembergia, gdzie ilość wychodzców wynosiła 5,06 na 1.000 głów ludności, a przyrost emigracyi, w porównaniu do ilości przeciętnéj dwóch pierwszych peryodów 3,63 głów na 1.000 ludności. Najmniéj dotkniętemi były tą klęską Alzacya i Lotaryngia, gdzie w dwóch pierwszych peryodach wychodziło przecięciowo 311 osób z kraju, tj. 0,20, a w obecnym peryodzie 633 osób, tj. 0,40 na 1.000 ludności, a zatém przyrost wynosił tutaj tylko 0,20 osób na 1.000 przeciętnéj ludności. Prawdopodobnie jednakże daty te nie są dokładne, gdyż, jak słychać, wielu emigrantów tak z tych stron, jak wogóle z zachodnich i południowych części Niemiec, udawało się na obczyznę przez porty francuskie. Ta sama okoliczność jest może w części powodem, dla czego z pomiędzy prowincyj państwa pruskiego Westfalia i Prowincya nadreńska w sumie ogólnéj emigrantów tak małym tylko uczestniczą procentem. Bądź jak bądź, z pomiędzy wszystkich ziem, wchodzących w skład cesarstwa niemieckiego, najwięcéj dotkniętemi zostały klęską emigracyjną w obecnym peryodzie cztery prowincye monarchii pruskiéj, tj. Pomorze, Prusy Zachodnie, Szlezwig-Holstyn i księstwo Poznańskie. Ubytek w ludziach przez emigracyą wynosi tutaj w czterech ostatnich latach 246.630 głów, czyli 55,11% emigracyi pruskiéj, a 36,44% całéj emigracyi niemieckiéj w ostatnim peryodzie.

Drugim znamieniem, wyróżniającém obecny ruch emigracyjny od ruchu lat poprzednich, jest jakość wychodzących elementów. Gdy bowiem w dawniejszych latach rzesze emigrantów składały się niemal wyłącznie z ludzi, którzy w ojczyznie nic lub niewiele mieli do stracenia, a awanturnik i „*glücksritter*“ stanowił w nich procent bardzo poważny, to dzisiaj tłumy emigrantów, oblegające kantory ekspedycyjne miast portowych niemieckich, składają się prawie wyłącznie z ludzi najzdrowszych i najsilniejszych, a zarazem do pracy najchętniejszych. A co najgłówniejsza, ludzie obecnie wychodzący nie są to bynajmniéj proletaryusze, których emigracya tylko krajowi na pożytek wyjść by mogła, uwalniając kasy publiczne od ciężaru ich utrzymywania, ale ludzie, będący w posiadaniu pewnego fundusiku, chłopi i rzemieślnicy, którzy sprzedawszy za cobądź swe mienie, z żonami i dziećmi wynoszą się tłumnie za morze. Posłuchajmy np. bardzo charakterystycznych skarg, jakie w jednym z dzienników berlińskich „Berliner Tageblatt“ zawodzi na wzmagającą się gorączkę emigracyjną w początkach r. 1882 korespondent z Kilu. „Emigracya do Ameryki, mówi on, doszła w ubiegłym roku do niebywałéj dotychczas wysokości, a w tym roku (1882), są-

dząc ze wszystkich pozorów, będzie jeszcze silniejsza (1). Z najrozmaitszych stron kraju dochodzą nas wieści, iż już nie jednostki, ale całe gromady wybierają się za ocean. Głównie w stronach zachodnich, w północnym Szlezwigu i na wyspie Fehmarn widać ruch wielki. Że ruch ten przechodzi o wiele rozmiary naturalnego przyrostu ludności, o tém wątpić nie można. Z Husum wywędruje w najbliższym czasie około 20 osób, a jak słychać w marcu i kwietniu 70—80 osób, pomiędzy niemi zaś wiele rodzin (2). Z północnego Szlezwigu obsadzonych już jest na kilka następujących tygodni i miesięcy wiele miejsc na odchodzących z Hamburga okrętach. W Schwansen, gdzie emigracya bywała dotychczas bardzo nieznaczną, gotują się w kilku wsiach całe rodziny do wędrówki na miesiąc marzec. Miasto Szlezwig dostawi podobnie jak w przeszłym roku znaczniejszéj liczby wychodców. W obydwóch Diethmarsch'ach można mówić dosłownie o epidemii emigracyjnéj. Skutkiem olbrzymiéj podaży mniejszych i średnich posiadłości ziemskich zagraża tam nawet niesłychane obniżenie cen ziemi". Takie same zaś mniéj więcej skargi zawodzą w tym samym dzienniku korespondenci z Badenii, Palatynatu, Wirtembergii, gór Hundsrück i Eifel, których tu jednakże powtarzać nie będziemy.

To charakterystyczne znamię tegoczesnego ruchu emigracyjnego, znikanie elementów co najzdrowszych i do pracy najzdolniejszych, dostrzegalne w wielu stronach już i dla prostéj obserwacyi, stwierdzone w części znajdujemy w zapiskach statystycznych. Wedle podań bowiem niemieckiego urzędu statystycznego z lat 1880 i 1881 wyemigrowało z Niemiec na sumę ogólną 316.737 ludzi: mężczyzn 185.764, czyli 58,64% i 130.973, czyli 41,36% kobiet. Z tych zaś było:

	mężczyzn		kobiet		razem	
1) niżéj lat 10,—	42403	czyli 13,38% —	38956	cz. 12,29% —	81359	cz. 25,67%
2) od lat 10—20,—	33170	„ 10,47% —	23099	„ 7,29% —	56269	„ 17,76%
3) od lat 20—30,—	63182	„ 19,95% —	36393	„ 11,49% —	99575	„ 31,44%
4) od lat 30—40,—	27929	„ 8,84% —	15798	„ 4,98% —	43727	„ 13,80%
5) od lat 40—50,—	11529	„ 3,64% —	7583	„ 2,39% —	19112	„ 6,03%
6) od lat 50—60,—	4996	„ 1,58% —	4563	„ 1,44% —	9559	„ 3,02
7) nad lat 60,—	2411	„ 0,76% —	2380	„ 0,75% —	4791	„ 1,51%

Oprócz tego było nieoznaczonego wieku mężczyzn i kobiet razem 269. Te zatém liczby wykazują jasno, iż emigracya lat ostat-

(1) Przewidywania korespondenta po części się ziściły, gdyż emigracya ze Szlezwigu i Holstynu wynosiła 12.269 w r. 1881, a 12.729 głów w r. 1882.

(2) Husum, miasteczko Szlezwigu, o 6.260 mieszkańcach.

nich składała się przeważnie z mężczyzn. Bo gdy wedle spisu z d. 1 grudnia 1880 r. ludność męzka stoi w Niemczech do żeńskiéj w stosunku jak 1 : 1,04, to tu odwrotnie, ilość emigrantów męskich ma się do ilości emigrantów żeńskich, jak 1,45 : 1. W liczbie mężczyzn procent jednostek, będących w wieku od 20 — 40 lat, jest dość wysoki, bo przedstawia cyfrę poważną 49,06% wszystkich mężczyzn. Nie mniéj wielką była wśród kobiet liczba jednostek téjże kategoryi, gdyż wynosiła ona 39,87%. Ogółem wynosiła liczba emigrantów płci obojéj w téj kategoryi 45,24% całéj emigracyi. Żałować wielce należy, iż spisy, jakie mamy pod ręką, nie podają liczby emigrantów w wieku od 15--20 lat. Tabele ludności wszakże z r. 1880 podają stosunek osób w wieku lat 10—15 do osób w wieku lat 15—20 jak 103 : 93. Przypuścić na pewne można, iż wśród emigracyi stosunek ostatnich do pierwszych pozostał co najmniéj ten sam, gdyż wielkie jest prawdopodobieństwo, iż dzieci od lat 10—15 podejmowały daleką podróż tylko w rodzinach, podczas gdy z pomiędzy młodzieży w wieku lat 15—20, prócz tych, którzy wychodzili w rodzinach, wielu na własną puszczało się rękę. Tym sposobem otrzymalibyśmy wśród kategoryi drugiéj liczbę osób, stojących w wieku od lat 15—20, co najmniéj 27.320 głów, czyli 8,62% całéj emigracyi. Doliczywszy i tych do sumy ogólnéj kategoryi 3 i 4, otrzymujemy ilość emigrantów, stojących w wieku od lat 15—40—170.622 głów, czyli 53,86% (1). Przeszło połowa emigrantów składała się zatém z osobników, bądących w wieku do pracy i rozpłodu najodpowiedniejszym. Większa zresztą część emigrantów puszczała się za morze w rodzinach. W trzech ostatnich przynajmniéj latach na sumę ogólną 570,535 wychodców wywędrowało 351.636, czyli 61,63% w 94,460 rodzinach na obczyznę. Porównane we względzie wieku z cyframi ogólnemi ludności, cyfry emigrantów z r. 1880 i 1884 następujące przedstawiają stosunki:

	na 1.000 ludności przypada:	na 1.000 emigrantów przypada:
ludzi w wieku od 1—15 lat.	354,1.	348,3
„ „ 15—40 „	382,6.	539,0
„ wyżéj niż 40 „	263,3.	112,7.

Słusznie też przeto „Norddeutsche Allgem. Ztg." w jednym z pierwszych numerów 1883 r. zwróciła na to uwagę, iż wychodzą bezustannie z kraju elementa świeże i zdolne do pracy, a zostają na

(1) Do téj liczby dodać by nadto trzeba młodzież, która uchodząc przed wojskowością, bez kontroli opuściła kraj ojczysty. Takiéj młodzieży było przez ciąg lat od 1880—1882 ogółem 39.084 głów.

glebie ojczystéj przeważnie niedołęgi, starce i dzieci. Cała ta olbrzymia fala wychodców toczy się zresztą przeważnie ku Stanom Zjednoczonym północnéj Ameryki, dokąd od r. 1871—1883 wylądowało wogóle 1,111,598 głów, czyli 95,36% całéj masy emigrantów.

Z obrazu, jakiśmy na podstawie cyfrowego materyału przedstawili oczom czytelnika, widoczna, iż to, co korespondent z Kielu mówił specyalnie o swéj okolicy, jakoby ją ogarnęła prawdziwa epidemia emigracyjna, bez wielkiéj przesady zastosować dziś można do całego cesarstwa niemieckiego. Popęd wędrowny ogarnia z niebywałą gwałtownością lud niemiecki od jeziora Konstancyańskiego do Baltyku i morza północnego i od Niemna do Renu, pchając tłumy wędrowców, mimo wszelkiéj grozy więcéj niż tysiącmilowéj podróży, w kraje, które nieraz ledwie instynktem zgadują. Rzecz jasna, iż ruch tak olbrzymi nie mógł być wywołany sztucznie i nigdyby go stworzyć nie zdołały machinacye ajentów rozmaitych amerykańskich kompanij przewozowych i eksploatacyjnych, którym tu w Niemczech w ogólności zanadto wiele przypisują wpływu, gdyby w narodzie samym, w jego usposobieniach, a zwłaszcza w jego stosunkach społecznych i ekonomicznych nie tkwiły pewne dane, stanowiące dla wzmagającego się popędu emigracyjnego warunki pomyślne. I dla tego ścieśnianie konstutycyjnéj wolności przesiedlania się na drodze ubocznych szykan ze strony władz policyjnych, dla tego nawoływania o pomoc państwową przeciwko dowolnemu zrywaniu kontraktów przez emigrujących, jakich pełno po dziennikach agraryuszów i reakcyonistów, nie na wiele się przydadzą, dopóki te przyczyny głębsze nie zostaną usunięte. Natura tych przyczyn jest, wedle rozmaitości stosunków poszczególnych okolic, wielce rozmaitą i jedne z nich działają bezpośrednio, inne dopiero w dalszém następstwie. Że bowiem np. pomiędzy powodami do gwałtownego ocknięcia ruchu emigracyjnego w kolosalnych rozmiarach powody politycznéj natury grały po części bardzo ważną rolę, na to najlepszym dowodem ta okoliczność, iż właśnie w tych prowincyach, gdzie duch nowéj ery, duch prześladowania i szykan, w imię szablonowego unitaryzmu państwowego, dał się najpotężniéj we znaki, księstwo Poznańskie, Prusy Zachodnie i duńsko - niemiecka prowincya Szlezwicko-Holsztyńska, tudzież Hanowerya, gdzie 18 lat panowania pruskiego nie zdołały czasów dawniejszych ludowi wygładzić z pamięci, dostarczyły bardzo silnych kontyngensów emigracyjnych. Że wszelako samo niezadowolenie polityczne, jakkolwiek ważnym, nie było wszakże bynajmniéj jedynym motorem tak kolosalnéj wędrówki, o tém przekonywa nas dowodnie niezdobyta warownia tyle modnego dzisiaj konserwatyzmu, ziemia obiecana jun-

rów i pastorów, niemieckie na wskroś i ewangielickie Pomorze, gdzie mimo tych wszystkich, wielce pomyślnych w chwili obecnéj warunków politycznych, mimo wspólności plemiennéj i więcéj niż półtorawiekowéj wspólności historycznéj z monarchią Hohenzoler'ów wychodztwo za morze było najsilniejszém w obrębie całego cesarstwa niemieckiego. Wpływ niezadowolenia politycznego zstępował též tutaj na drugą linię, a na pierwszym planie występowały na jaw czynniki ekonomiczne. Pomiędzy nimi zaś najważniejszą pono grała rolę wadliwość w rozdziale własności ziemskiéj, która tutaj, więcéj niż gdzieindziéj, koncentruje się niemal wyłącznie w ręku niewielkiéj liczby właścicieli większych, junkrów i wielkiéj szlachty, podczas gdy ludność wiejska przy swém uwłaszczeniu bardzo niedostatecznie tylko ziemią została uposażoną (1).

Ale obok tych przyczyn lokalnych, które emigracyi poszczególnych okolic nadają jéj typ właściwy istnieją przyczyny ogólne, które téj gorączce emigracyjnéj, wybuchającéj tutaj z większą gwałtownością niż gdzieindziéj i ogarniającéj w jednem miejscu te a ówdzie inne warstwy ludowe, nadają charakter epidemii ogólno-niemieckiéj. Charakterystyka tych przyczyn ogólnych zawrzeć się daje w dwóch słowach fatalnego dźwięku dla tych, którzy bliżéj się z niemi zaznajomić mieli sposobność: są niemi bowiem owa bieda, któréjśmy na początku naszych uwag o ruchu emigracyjnym niemieckim odmówili godności jedynéj i wyłącznéj przyczyny emigracyi, a którą niniejszém rehabilitujemy jako jedną z najgłówniejszych i militaryzm. O wzrastającém zubożeniu społeczeństwa niemieckiego świadczy najwymówniéj wzrastająca z szybkością lawinową armia łazęgów, których siłę poseł Strosser w głośnéj swéj interpelacyi już w r. 1882 obliczał na 200.000 głów. Ludzie ci, pozbawieni dachu i chleba, przebiegają już-to w pojedynkę, już téż w oddziałkach od 3—5 i więcéj osób kraj z końca do końca i zdołali sobie w niektórych okolicach, zwłaszcza u ludzi zamieszkujących odludne zagrody z powodu gwałtów, jakich się często dopuszczają, niemałą wyrobić estymę. Stanowią oni w życiu społecznem cesarstwa nie-

---

(1) I tak np. na Pomorzu grunta właściwie chłopskie do 30 mg. magd. (= 13,63 mg. polskich) wynosiły tylko 4,59% całego uprawnego obszaru. Grunta bogato-chłopskie do 100 mg. magd. (= 45,60 mg. polskich) wynosiły 27,31%, podczas gdy własność wielka nad 600 mg. magd. (= 273,6 mg. polskich) wynosiła 62,65%. Te same stosunki przyczyniły się niewątpliwie także do wzmożenia ruchu emigracyjnego w Poznańskiém i Prusiech Zachodnich. W Prusiech bowiem własność chłopska wynosiła tylko 3,82%, własność bogato-chłopska natomiast 43,95%, a własność dominialna 43,93%. W księstwie było własności chłopskiéj 5,74%, własności bogato-chłopskiéj 32,54%, a dominialnéj 67,33% całego uprawnego obszaru.

mieckiego bardzo poważny czynnik; a szacowany wielce w kołach konserwatywnych ekonomista i socyalny polityk, bawarski baron v. Fechenbach - Laudenbach, uczcił ich nawet osobną nazwą piątego stanu. W ostatnich latach wzięto się też za inicyatywą pastora westfalskiego v. Bodelschwingh do energiczniejszego zwalczania téj plagi za pomocą tak zwanych kolonij roboczych. Naturalnie, iż instytucye takie, jakkolwiek chwalebne i poparcia godne ze względu na swój cel humanitarny, mogą co najwięcéj sprowadzić chwilową ulgę i dla tego dziwić się nie powinniśmy, iż mimo istniejących we wszystkich niemal prowincyach kolonij roboczych, skargi na zagrażające bezpieczeństwu publicznemu wzmaganie się łazęgostwa w wielu stronach stają się nawet głośniejszemi (1). Najnowsza polityka celna Niemiec także się niewątpliwie do tego niemało przyłożyła, utrudniając przedewszystkiém warunki założenia własnéj ekzystencyi. Co do skutków bowiem nowéj taryfy celnéj z r. 1879 zdania wedle stanowiska mówiących wielce są podzielone. Twórcy jéj, ze stronictwa konserwatywnego i katolickiego, nie mają dosyć słów uwielbienia na przedstawianie jéj błogich owoców, podczas gdy krytycy liberalni nieledwie wszystkie nieszczęścia, jakie na kraj spadły w latach ostatnich, radziby z tego wydedukować źródła. Prawda, jak w wielu razach, tak i tutaj leży pono w pośrodku. Że bowiem nowsze prawodawstwo celne, o ile nie wywołało hyper-spekulacyi, do ożywienia pewnych gałęzi przemysłu przyczyniło się bardzo wyraźnie, o tém nie może być wątpliwości.

Z drugiéj wszakże strony nie ziściło ono dla ogółu społeczeństwa ani w setnéj części owych nadziei, jakie, wotując nową taryfę celna, pewne odłamy partyi konserwatywnych i katolickiego centrum do niéj przywiązywały. Przedewszystkiém, onego błogiego stanu szczęścia i pomyślności, jaki nowa taryfa celna sprowadzić miała dla klas pracujących, dotychczas jakoś nie widać. Wprawdzieć bowiem ogólnéj statystyki zarobkowości klas pracujących w Niemczech do dziś dnia nie posiadamy; ale z chaosu głosów pojedyńczych i dat, zebranych staraniem prywatnych towarzystw, zdaje się ta jedyna wynikać prawda, iż płaca robótnika przez to ożywienie ruchu przemysłowego albo nie podniosła się wcale albo podniosła tylko tak

(1) Fakt wzmagania się a przynajmniéj niezmniejszania się łazęgostwa przyznany został urzędownie ze strony najwyższych dygnitarzy autonomicznych władz prowincyalnych, tak zwanych „Landesdirectoren,“ na konferencyi, odbytéj w Berlinie w listopadzie 1883 r. W Wirtembergii zaś z tego powodu zwiększony został w r. b. korpus „landjägrów,“ podczas gdy w Prusiech z tych samych pobudek korpus żandarmeryi już dawniéj wzmocniony został.

nieznacznie, iż to podniesienie równoczesnego podrożenia głównych artykułów życia ani w przybliżeniu zrównoważyć nie zdolne. Téj prawdy nie śmiała zaprzéć nawet wolno konserwatywna a z kołami wpływowemi, jak wiadomo, w bliskiéj stojąca styczności „Post“, gdy w artykule poglądowym na rok ubiegły w jednym z pierwszych numerów roku 1883 przyznała otwarcie, iż lepszy byt robotnika polegał raczéj na pomnożeniu miejsc roboczych i zupełniejszém jego zatrudnieniu niż na podwyższeniu jego płacy. Równie pouczającemi w tym względzie są daty, zebrane z 514 miejscowości cesarstwa niemieckiego przez stowarzyszenie ku popieraniu dobra „robotników“ i ogłoszone w organie jego „Concordia“ w kwietniu 1883 r. Wynikałoby z nich bowiem, iż płaca robotnika powiększyła się dziennie o 4 fenygi, podczas gdy cena chleba i mąki pozostała tą samą co w latach poprzednich, cena mięsa wieprzowego podniosła się o 2 fenygi na kilogramie, cena słoniny o 1 fen., cena kartofli także o cokolwiek, a zmniejszyła się tylko cena nafty o 2 fen. na litrze. Zgadzałoby się to zresztą z tém, co „Norddeutsche Allgem. Ztg.“, czerpiąca, jak wiadomo, swe natchnienie częstokroć bezpośrednio z gabinetu kanclerza, replikując swéj koleżance „Post“ na jéj twierdzenie, jakoby niska cena zboża w ciągu r. 1883 ułatwiła przynajmniéj rodzinom robotniczym tanie nabycie chleba, powiada o cenach chleba w Berlinie, gdzie w ciągu r. 1882, jak wynika z przytoczonego przez organ kanclerski zestawienia statystycznego, pomimo obniżenia cen zboża o 27,3% cena chleba obniżyła się tylko zaledwie o 1,84%.

A nie zapominajmy, iż były to dopiero pierwsze lata po reformie taryfy celnéj, kiedy, zgubne następstwa wywołanéj przez nią na wielu polach przemysłowości nadprodukcyi, nie dawały się jeszcze odczuwać w tym stopniu co dzisiaj. Obecnie położenie klas pracujących jest o wiele smutniejsze i nawet te drobne korzyści, jakie odniosły one przez pomnożenie sposobności zarobku i zupełniejsze zatrudnienie, poczynają wobec zbliżającego się ponownie przesilenia ekonomicznego stawać coraz wątpliwszemi. Jako jedyna korzyść pozostałoby przeto dla nich uwolnienie dwóch najniższych klas podatkowych, z dochodem rocznym nie przechodzącym 900 marek, od bezpośrednich podatków państwowych. Jakoż dzienniki konserwatywne, ilekroć o tym fakcie przyjdzie im wspomnieć, nastrajają swe harfy i cytry i piszczałki i cymbały do najwyższego tonu radośnego halleluja i uwolnienie 2.718.659 podatkujących w klasie I a 1.022.959 podatkujących w klasie drugiéj, stawiają niemal na równi ze zwycięstwem pod Sedanem jako największe zdarzenie w dziejach naszego wieku. Jakoż liczba to w rzeczy saméj na pozór wielka, tylko nie

stety opuszczenie 3 marek rocznéj dani w pierwszéj, a 6 marek w drugiéj klasie (a zatém 25 resp. 50 fen. miesięcznie) nie wiele zaważy w budżecie robotniczéj rodziny, zwłaszcza że opuszczenie podatku państwowego nie uwalnia bynajmniéj od obowiązku płacenia podatków komunalnych. A ta właśnie kategorya podatków, zwłaszcza po miastach, jest najuciążliwszą dla składających i najwięcéj téż budzi skarg na przeciążenie ciężarami publicznemi. Wedle artykułu bowiem, pomieszczonego w pierwszych dniach czerwca r. z. w ministeryalnéj „Provinzial-Correspondenz“ p. t. „Die finanziele Lage der Gemeinden“, wynoszą podatki komunalne przecięciowo w miastach 299,3, a na wsiach nawet 585% podatku klasowego i dochodowego, a od r. 1876 powiększyły się w miastach o 1,88 mrk. na wsiach zaś o 0,32 mrk. (1). Jeżeli zaś przypomnimy sobie, iż w niektórych gminach miejskich mieszkańcy, płacący podatki w któréjkolwiek z 18 klas podatku klasowego i dochodowego, musieli na cele komunalne płacić 600—800% podatków bezpośrednich rządowych, natenczas wyobrazić sobie będziemy mogli, jak drobną ulgą jest dla klas pracujących opuszczenie 3 lub 6 mrk. rocznéj dani. Ale nawet i ta drobna ulga stała się w wielu razach złudną, skutkiem niesumienności komisyj podatkowych, nieulegających w swych czynnościach prawie żadnéj kontroli publicznéj i rządzących się zbyt niestety często w traktowaniu majątkowego stanu pojedyńczych członków gminy więcéj względami ubocznemi interesu, pokrewieństwa lub przyjaźni niż rzeczywistém poczuciem sprawiedliwości. Przynajmniéj „Germania“, w jednym z czerwcowych numerów r. 1883, przyniosła wiadomość o wzburzeniu, jakie zapanowało pomiędzy robotnikami w Essen, z tego powodu, iż wielu zpomiędzy nich, którzy do owego czasu płacili podatki w dwóch pierwszych klasach, po onem opuszczeniu podatków wpakowanych zostało przez komisyą szacunkową do klasy trzeciéj i czwartéj. A że tego rodzaju przypadki nietylko w Essen się wydarzają, o tém tu w Niemczech przekonać może się każdy, kto w swojém otoczeniu pilniéj się rozejrzy.

Pominąwszy jednakże te przypadki specyalne, opuszczenie 3 resp. 6 mrk. rocznie, jako dostateczny ekwiwalent za nałożone na klasy pracujące w formie ceł nowe podatki w żadnym razie uważaném być nie może. Jeżeli bowiem czasu swego, przy polecaniu planów celnych kanclerza parlamentowi niemieckiemu, powoływano się na przykład Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki, gdzie ogromne bogactwo narodowe rzekomo miało być także przeważnie rezultatem wysokich ceł ochronnych, to analogia ta nie ze wszystkiém

---

(1) W gminach miejskich podatki kom. wynosiły przeciętnie 11,46 mk. na głowę.

się stosuje. Powołując się bowiem na przykład Ameryki i zalecając jéj instytucye jako wzór godzien naśladowania, zapomniano lub przemilczano dwie rzeczy: 1) iż Ameryka tak pod względem rozległości jak pod względem bogactwa skarbów naturalnych, potrzebujących tylko rąk do ich podniesienia, jest sama w sobie światem i bez obszernego importu łatwiéj obyć się może niż ubogie pod względem wielkości i rozmaitości płodów a do tego gęsto zaludnione Niemcy; 2) zaś, co wiele ważniejsza, iż cła amerykańskie nie są cłami finansowemi, ale rzeczywiście ochronnemi i dotykają prawie wyłącznie rzeczy zbytkownych. Artykuły żywności natomiast i fabrykaty, jakich robotnik potrzebuje, są prawie bez wyjątku pochodzenia amerykańskiego i przeto ceł nie potrzebują, a choć towary korzenne bywają przez import wprowadzane, co najważniejsze z nich i najwięcéj rozpowszechnione, jak np. kawa i herbata, cłu nie ulegają, a inne tylko miernie są oclone. W Niemczech natomiast rzeczy się mają przeciwnie. Najpierw bowiem są Niemcy krajem, który podług wykazów statystyki handlowéj od r. 1880—1882 w samém bydle, mięsie i zbożu (1) za 1.123.337.000 mk. czyli za 374.446.000 mk. rocznie więcéj kupił niż sprzedał towaru. Choćby więc dla tego tylko, iż Niemcy najelementarniejszych artykułów żywności nie produkują na pokrycie własnych potrzeb, egzystencya tutaj więcéj musi być utrudnioną niż w Ameryce. A gdy nadto te najelementarniejsze artykuły żywności, importowane z konieczności w olbrzymich masach z zagranicy, uległy stosunkowo wyższemu ocleniu niż artykuły wygody i zbytku (2), klasy uboższe odczuć musiały ciężar wtłoczony na ich barki bardzo dotkliwie, tém dotkliwiéj, iż wedle obliczeń głośnego ekonomisty partyi konserwatywnéj, a zagorzałego wielbiciela obecnego kierunku polityki wewnętrznéj w Niemczech, prof. Wagnera, w rodzinach robotniczych te najelementarniejsze potrzeby pochłaniają z jakie 80% ich dochodów. To téż drożyzna, jaka obecnie w Niemczech się wzmaga, przeważnie klasom żyjącym z pracy rąk własnych uczuwać się daje. Wprawdzie datuje się ona nie dopiero od zaprowadzenia nowéj taryfy celnéj, poczęła ona się bowiem już w pierwszych latach po szczęśliwém ukończeniu wojny francuskiéj, kiedy to skutkiem napływu kolosalnych sum kontrybucyjnych war-

---

(1) Z włączeniem słodu, strąkowiu i kartofli.

(2) Tak np. wszelkie gatunki świeżych południowych owoców oclone są porówno z solą i mięsem po 12 mk. od centnara, a tylko 2 mki więcéj niż smalec; kasztany i makarony porówno z ryżem (4 mki) ostrygi, homary, wino, figi, karyntki, rodzynki o 14 mk. na cetnarze metrycznym taniéj niż kawa (cło od kawy 40 mk.), świeże ryby porówno z śledziami (3 mk.) itd.

tość pieniędzy nagle się obniżyła. Ale że i nowe prawodawstwo celne także ze swéj strony niemało się do tego przyczyniło, czują to najlepiéj w budżecie domowym mieszkańcy miast położonych przy granicy rosyjskiéj. Od czasu bowiem gdy ze strony pruskiéj granica dla importu artykułów żywności przez władze celne szczelnie została zamkniętą, ceny mięsa, chleba, jaj, drobiu, masła itp. podskoczyły bardzo widocznie i życie stało się od tego czasu o wiele trudniejszém niż było przedtem.

Ale nie mówiąc już o tych stosunkach lokalnych, do wniosku, iż nowe prawodawstwo celne społeczeństwu niemieckiemu a zwłaszcza jego klasom biedniejszym nałożyło ciężkie ofiary, doprowadzić nas musi z logiczną koniecznością zestawienie dochodów celnych za lata 1880—1882, z tych jedynie artykułów pierwszych potrzeb życia, które się wogóle tylko za granicą produkują lub przy których import znacznie przewyższa eksport, z jednéj strony, z sumą dochodów, jakieby podług dawniejszych taks taryfowych mniéj więcéj wypaść musiały, z drugiéj strony. Miało zatém cesarstwo niemieckie w latach 1880—1882 dochodu:

1) z ceł:					
a) od zboża (1)	41209000	mk. cz.	+ 41209000	mk.	niż dawniéj
b) od bydła (2)	11795000	„ „	+ 11795000	„	„
c) od smalcu	11904000	„ „	+ 11904000	„	„
d) od mięsa	6538000	„ „	+ 5154000	„	„
e) od jaj	1452000	„ „	+ 1452000	„	„
f) od olejów jad.	1618000	„ „	+ 1011000	„	„
g) od kawy	122297000	„ „	+ 15287000	„	„
h) od ryżu (3)	9163000	„ „	+ 3876000	„	„
i) od nafty	58438000	„ „	+ 58438000	„	„
k) od korzeni	6751000	„ „	+ 1485000	„	„
l) od śledzi	7400000	„ „	+ 0	„	„
2) z cła i podatku od soli (4)	124478000	„ „	+ 0	„	„

---

(1) Po wyłączeniu owsa, kukurydzy i słodu, natomiast z dołączeniem cła od mąki.

(2) Z wyłączeniem koni, osłów i mułów.

(3) Plus podług nowéj taryfy przy tym artykule tylko w przybliżeniu obliczyć się dało.

(4) Z cła od soli dochody były nieco większe niż wedle dawniejszéj taryfy, gdyż cło od soli wchodzącéj do Niemiec drogą lądową podniesiono z 12, na 12,89 mk. Różnica to jednakże przy artykule tak olbrzymiego zapotrzebowania zbyt nieznaczna, (w tych trzech latach wynosiła około 250000 mk.), abyśmy ją w ogóle za podwyższenie cła poczytać mogli.

Wynosiły zatém podatki, składane przez społeczeństwo niemieckie w formie ceł od tych 12 najpierwszych artykułów życia, w trzech latach od 1880—1882 r. 403043000 mk. czyli 134348000 mk. w przecięciu roczném, a w téj sumie więcéj o 151.611.000 mk. czyli w przecięciu roczném 50.537.000 mk. tj. o 37,62% więcéj niż podług dawniejszéj taryfy. Na głowę tedy przypadało, podług spisu ludności z 1880 r. już z tych 12 artykułów 2,97 mk. rocznego podatku czyli 1,12 mk. wedle dawniejszéj taryfy. A że dochód ogólny cesarstwa niemieckiego z ceł i podatku od soli wynosił w tychże trzech latach ogółem 712.842.000 mk. czyli rocznie w przecięciu 237.614.000 mk., przeto podatki z tych 12 artykułów wynosiły ilość kolosalną 56,54%. Przypuściwszy zgodność tego rachunku, miałaby zatém rodzina robotnicza, składająca się z 5 głów, w miejsce opuszczonych jéj 3 mk. podatków, już z tych 12 artykułów niezbędnych do płacenia 5,25 mk. nowych podatków. W rzeczywistości płaci ona bez porównania więcéj, gdyż po pierwsze spożywa ona z pewnością bez porównania więcéj chleba, smalcu, ryżu, kawy, mięsiwa i więcéj wypala nafty niż równie liczna rodzina wielkomiejskiego milionera, którego stać na kawior, trufle, homary, pomarańcze i ostrygi i który pałace swoje oświeca gazem; po drugie zaś prócz podatków, płynących w formie ceł do kas państwowych, płaci ona nie mniéj uciążliwy podatek pośrednikom, stającym między producentem a konsumentem, jak kupcom, młynarzom, piekarzom, handlarzom bydła itd. Oni to bowiem zanim jeszcze cła weszły w życie, za pomocą oddanéj sobie prasy, podnieśli w kraju całym o wiele większe larum niż tego wymagały rzeczywiste stosunki i napędziwszy tym sposobem konsumentowi strachu, zyskali pozór do stworzenia cen sztucznych zboża, mąki, chleba, ryżu, mięsa, nafty itd. w handlu wewnętrznym, detalicznym, które, raz wprowadzone w życie, po większéj części utrzymać się zdołały mimo wszelkich oscyllacyj cen w handlu międzynarodowym. Mianowicie niektóre artykuły, jak ryż, kawa, nafta, korzenie, w handlu drobnym, częściowym, podrożały od razu i mimo wszelkich konjunktur handlowych na dawniejszy poziom cen swych już nigdy nie zeszły. A gdyby taryfa celna, jak się na to mianowicie we względzie zboża i produktów rolnych rzeczywiście zanosi, miała znowu uledz jakiéj ważnéj zmianie, moglibyśmy się z góry przysposobić na powtórzenie tego samego widoku w powiększonym i poprawnym nakładzie. Czyby zresztą taka zmiana dla rolnictwa przyniosła oczekiwane korzyści, to wielkie jeszcze pytanie. Przy zmianie przynajmniéj taryfy w r. 1879, od któréj dla siebie oczekiwało ono zbawienia, doznało rolnictwo najfatalniejszego zawodu. Albowiem z powodu kolosalnéj konkurencyi innych części świata w pro-

dukcyi zbożowéj i pastewnéj, ceny zboża, mimo wszelkich ceł ochronnych, się nie podniosły, a natomiast wzmogła się trudność zbytu i, z powodu podrożenia ogólnego wszelkich artykułów handlu i przemysłu, zwiększyły się znacznie koszta produkcyi. Mimo to w ostatnich czasach poczęły, zwłaszcza z południowych niemiec, z kół badeńskich i wirtembergskich właścicieli ziemskich, dochodzić nas znowu coraz natarczywiéj głosy, domagające się podwyższenia ceł na zboże, z jednéj na trzy marki od centnara metrycznego. Byłaby to, po zakazie dowozu słoniny i mięsa wieprzowego amerykańskiego pochodzenia, który klasom biedniejszym na korzyść krajowych hodowców trzody chlewnéj dał się uczuć bardzo dotkliwie, nowa koncesya dla niemieckiego rolnictwa kosztem konsumentów i z pewnością, do umilenia pobytu w kraju niezliczonym tłumom czekających tylko na pierwszą lepszą sposobność ochotników emigracyi, wcale a wcale by się nie przyczyniła. Na korzyść rolnictwa zaś to potrojenie cła na pierwszy warunek ludzkiego bytu prawdopodobnie by także nie wyszło. Owe nowe miliony bowiem, jakieby z kieszeni konsumentów napłynęły do kas państwowych, poszły by prawdopodobnie, zamiast na podniesienie handlu, przemysłu i rolnictwa, tam, gdzie dotychczas utonęły wszystkie inne, tj. do kas wojskowych, które dziś w Europie cały niemal owoc pracy narodowéj coraz wyraźniéj pochłaniają. Ale tu dotykamy onego drugiego czynnika, który, zdaniem naszém, obecnéj emigracyi niemieckiéj tak natężony nadaje charakter.

Że wzorowo uzbrojona i wyćwiczona, a do tego niezwiędłymi wawrzynami okryta armia niemiecka stanowi, i to w swoim rodzaju zupełnie słusznie, największą chlubę każdego prawdziwego niemca, o tém wiadomo po całym świecie. Że utrzymanie téj olbrzymiéj armii każdego czasu na stopie gotowości wojennéj narodowi niemieckiemu nakłada niezmierne ofiary, o tém, zdaje się, także nikt dzisiaj w Europie i po za Europą nie wątpi. O wielkości tych ofiar wszakże, jakie rok rocznie dla sławy i potęgi kraju zmuszone są w Niemczech ponosić jednostki i społeczeństwo, ten tylko powziąć zdoła wyobrażenie, kto się téj sprawie nieco bliżéj przypatrzy. Najmniejszą stosunkowo rolę gra przy tém strona finansowa, jakkolwiek sumy wyrzucane na ten cel corocznie etatem wojennym cesarstwa niemieckiego dochodzą przerażającéj wysokości. Wynosiły bowiem wydatki zwyczajne na utrzymanie i uzbrojenie armii i marynarki, administracyą wojskową, utrzymanie inwalidów, budowę koszar, fortec itd. itd. w dwunastoleciu, ubiegłém od r. 1872—$18^{83}/_{84}$ (1) olbrzymią sumę 5.287.514.784 mk. czyli 58,52% wszystkich

(1) Od r. 1876 rok etatowy w Niemczech zaczyna się 1 kwietnia.

jego wydatków, a 59,01% wszystkich jego dochodów w tymże samym czasie. Do téj sumy doliczywszy 2.601.435.292 mk., wydanych z kontrybucyi wojennéj na nowe uzbrojenie armii i marynarki, dotacye dla generałów, budowę fortec, założenie kasy inwalidów, funduszu wojennego itd., otrzymamy ilość ogólną sum wydanych na potrzeby armii w tym czasie 7.888.950.076 mk. czyli rocznie 657.412.506 mk., a więc na głowę 14,53 marki. Jest-to zatém suma dla tak średnio zamożnego społeczeństwa, za jakie w rzędzie narodów ucywilizowanego świata poczytać należy naród niemiecki, iście olbrzymia i prawie przechodząca rzeczywiste siły podatkujących. Ale, jakeśmy rzekli, nie jest to jeszcze w całéj kwestyi niemieckiego militaryzmu złem największém. Również nie będziemy się wdawali w obliczenie tego, co przez utrzymanie 449.239 ludzi (1) i 81.598 koni w armii lądowéj i 12,004 ludzi w marynarce kraj traci corocznie na owocach pracy narodowéj, gdyż tego rodzaju obliczania w chwili, kiedy setki tysięcy rąk próżnuje z powodu braku zajęcia, uważamy za fikcyjne. Gorzéj wszakże o wiele, iż armia swojemi urządzeniami wrzyna się głęboko we wszelkie stosunki prywatne i publiczne i że tysiące ekzystencyj rujnuje ona zwolna swojemi wymaganiami. Nigdzie bowiem pono społeczeństwo nie istnieje w tym stopniu wyłącznie dla armii jak w dzisiejszych Niemczech. Tworzy ona tutaj, rzec śmiało można, naród w narodzie i to naród opatrzony wielkiém mnóstwem prerogatyw, przywilejów i praw eksempcyjnych, stawiających go po za obrębem rowności konstytucyjnéj i tworzących z niego klasę, która, jako uprzywilejowana, z pewnym rodzajem lekceważenia, jeżeli nie czegoś więcéj; patrzy na resztę społeczeństwa. Dostać się do tego stanu uprzywilejowanego, choć-by tylko w charakterze oficera rezerwowego, jest szczytem najwyższym, do jakiego wspiąć się w ogóle zdoła najbujniejsza fantazya niemieckiego młodzieńca. Sędzia téż, właściciel dóbr, uczony lub artysta, jeżeli tylko ma szczęście należéć do korpusu oficerów rezerwy lub landwery, nie zapomni z pewnością do tytułu, oznaczającego jego skromny zawód cywilny, dodać nieodzowne „*und Lieutenant der Reserve beim x-ten Regiment*“, a ubrać się w mundur swego pułku, z okazyi jakowéjś urzędowéj uroczystości, jest ideałem jego rozkoszy. Od téj manii mundurowéj nie są niekiedy wolni nawet ludzie tak poważnego stanowiska jak prezydent parlamentu niemieckiego poseł v. Levetzow, który zaproszony wraz z innymi członkami prezydyum parlamentarnego do wzięcia urzędowego udziału w uroczystości odsłonięcia pomnika na Niederwald i po raz wtóry

(1) Oprócz jednorocznych ochotników, których liczba wynosi około 50.000.

w uroczystości położenia kamienia węgielnego pod gmach parlamentu niemieckiego, za każdym razem, jako-by się wstydził swego dostojeństwa cywilnego, wolał wystąpić w mundurze majora piechoty. Zresztą posiadanie tego zaszczytu właśnie z tego powodu, iż armia, zwłaszcza zaś korpus oficerski w Prusiech, opatrzony jest niepośledonią sumą ważnych przywilejów, nietylko pod tym idealnym względem ma swoję wielką wartość. Najpierw bowiem oficer, bez względu na to, czy on jest oficerem liniowym, czy też tylko oficerem rezerwy, wyjęty jest we wszystkich sprawach z pod jurysdykcyi sądów cywilnych i oddany pod jurysdykcyą własnych sądów wojskowych resp. oficerskich. Jakiéj zaś wagi bywa niekiedy w stanowisku cywilném tego rodzaju przywiléj, to okazało się czasu swego w głośnym na całe Niemcy procesie dziennika „Der Unabhängige", założonego w Berlinie przez konsorcyum największych łotrów, jakich stolica Niemiec posiadała, w tym jedynie celu, aby potwarczemi artykułami lub zagrożeniem onemi z ludzi zamożnych wyciskać znaczne sumy pieniężne. Gdy bowiem pod koniec r. 1882 rzecz cała się wykryła i policya kryminalna zajęła się tą sprawą, zdołała ona odrazu uwięzić całą bandę winowajców i oddać ją w ręce sprawiedliwości. Jeden tylko naczelnik, kapitan pozasłużbowy, v. Schleinitz, powoławszy się na swój patent oficerski, był dla niéj nietykalnym i pobujawszy jeszcze kilka dni po uwięzieniu swych kolegów swobodnie po Berlinie, umknął w świat daleki, zanim policya wyjednać sobie mogła od komendantury pozwolenie uwięzienia go. O podobnym-że przypadku donosiły dzienniki z gór Olbrzymich, gdzie redaktor dzienniczka lokalnego „Post aus dem Riesengebirge" za obrazę i potwarz, rzuconą na dwóch lekarzy z Hirschbergu na Szląsku, w tym samym czasie, kiedy jego koledzy z redakcyi skazani zostali każdy na 200 mk. grzywien, tylko dla tego nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności, iż jako major pozasłużbowy należał pod jurysdykcyą sądów oficerskich. Dla oficerów w czynnéj służbie będących, nie mniéj ważnym jest przywilejem uwolnienie od wszelkich podatków komunalnych. Oficer tego rodzaju może mieć z prywatnego majątku miliony rocznych dochodów, a mimo to nie potrzebuje, jeżeli tylko majątek jego nie składa się z nieruchomości w téjże mieście położonych, na potrzeby gminy płacić ani feniga, podczas gdy mu po równo z innemi posługuje prawo korzystania ze wszystkich dogodności, jakie miasto nastręcza.

Ale pominąwszy te przywileje stanu oficerskiego, które są w pewnéj mierze pogwałceniem równości konstytucyjnéj i jako takie obrażają uczucie wolnomyślnych niemców, ogólna służba wojskowa, konsekwentnie przeprowadzona, mimo wszystkiego, co się

przeciwko temu mówi, osobliwie na stanie drobnych rolników i rzemieślników ciąży brzemieniem okropnèm. Trzy lata, spędzone w służbie wojskowéj przez młodych ludzi w wieku od lat 20—26 są jeszcze najmniejszym podatkiem, jaki w tym razie na ołtarzu wspólnych celów składa jednostka, jakkolwiek, z mnożącéj się w sposób zastraszający liczby samobójstw w szeregach armii niemieckiéj, wywieść by poniekąd można wniosek, iż i w militarnych z ducha i usposobienia ludności Niemczech służba wojskowa dzisiaj i młodzieży coraz mniéj w smak iść poczyna. Natomiast ściąganie rezerwistów i landwerzystów na ćwiczenia dwu, cztero, sześcio i dwunastotygodniowe, do ukończenia mniéj więcéj 36 lat życia o wiele większą jest już ofiarą, gdyż odrywa człowieka, skazanego na życie z pracy rąk swoich, od domu i rodziny, roli i warsztatu, bardzo często w tym czasie, kiedy tamże jest najwięcéj potrzebnym i kiedy mu się może najlepiéj powodzić poczyna. To téż może nowela wojskowa z roku 1880, pomnażająca armią stałą o 25.516 głów (nie licząc oficerów), a zwłaszcza ta jéj część, która prócz tego powołuje na ćwiczenia w elementach sztuki wojennéj 40.000 rezerw kompletowych (*Ersatz-reserve*) I klasy, była, w połączeniu z prawodawstwem celnèm z roku 1879, jedną z najwalniejszych przyczyn tak nagłego wzrostu emigracyi w latach następnych. Po ową chwilę bowiem powoływani byli dla nieutracenia wprawy we władaniu bronią tylko ci, którzy rzeczywiście wojskowo służyli, podczas gdy wszyscy inni, którzy z powodu już-to drobnych wad cielesnych, już téż z powodu zapełnienia szeregów armii w wysokości etatem oznaczonéj, przekazywani bywali rezerwie kompletowéj I klasy, tylko w razie mobilizacyi armii ściągani byli pod broń, by, otrzymawszy w garnizonach co najkonieczniejsze wykształcenie wojskowe, zapełnić w danym razie szczerby, powstałe w szeregach pułków, będących na linii bojowéj. Ten sposób wykształcenia rezerw uznany został przez sfery wojskowe za niedostateczny i w r. 1880 powzięta została uchwała, aby odtąd kształcenie rezerwy kompletowéj I klasy w elementach sztuki wojennéj odbywało się już w czasie pokoju w trzech po sobie następujących latach i to za pomocą ćwiczenia cztero - tygodniowego w pierwszym, dziesięcio - tygodniowego w drugim i dwu - tygodniowego w trzecim roku (1). Przez to urządzenie powoływanych więc

---

(1) Każdy niemiec zobowiązany jest do służby pod bronią od skończenia 17 do ukończenia 42 lat życia. Obowiązek ten dzieli się na służenie w armii i służenie w landszturmie. Służba w armii obejmuje służbę w linii, w rezerwie i w landwerze; prócz tego zaliczają się do armii rezerwy kompletowe, powoływane pod broń, jak bywało do roku 1880, tylko w razie mobilizacyi armii. Rozróżniać zatem bardzo ściśle należy pomiędzy

bywa rok w rok pod broń 40.000 ludzi, którzy o wojskowości dotychczas nic nie wiedzieli, i to powoływani bywają w czasie osobliwie dla rolnika najniedogodniejszym, gdyż wedle ustawy kończą się ćwiczenia rezezwy z dniem dostawienia świeżego rekruta do wojska, tj. z dniem 1 października, a zatém obejmują, zwłaszcza dziesięciotygodniowe ćwiczenia czas dla gospodarza najkosztowniejszy, tj. drugą połowę lipca, sierpień i wrzesień. Rzecz jasna, iż ofiary tak ciężkie uprzykrzają pobyt na ziemi rodzinnéj ludziom, którzy rozkoszy i bez tego w niéj nie zaznają, i że niejeden, uchodząc finansowéj ruinie, sprzedaje, co jeszcze ma i idzie na obczyznę. Z wielu zresztą stanowisk w służbie publicznéj, które dawniéj drobnemu człowiekowi skromne dawały utrzymanie, element cywilny coraz więcéj wypieranym bywa przez wojsko. Wedle niemieckiego bowiem prawa o pensyonowaniu i opatrzeniu osób wojskowych z r. 1871 i 1874, uzupełnionego instrukcyą rady związkowéj, wiele miejsc w niższéj służbie cywilnéj, państwowéj i komunalnéj, tj. przy kancelaryach władz administracyjnych i sądowych miejsca woźnych, kasztelanów, sekretarzy, dozorców więzień, inspektorów i pomocników lazaretowych, policyantów itd. itd., w ogóle około 100 miejsc w służbie cywilnéj wszelkiego rodzaju, 88 miejsc w administracyi wojskowéj, 44 miejsca w zarządzie marynarki, 19 miejsc przy poczcie i służbie telegraficznéj, 28 miejsc przy kolejach, 5 miejsc przy banku cesarskim, całkiem lub częściowo zarezerwowanem zostało dla tych z pomiędzy wysłużonych podoficerów, którzy odsłużywszy lat 12 bez kary,

---

rezerwami właściwemi, gotowemi każdéj chwili do boju i tylko poniekąd bawiącemi na urlopie, a rezerwami kompletowemi. Ostatnie dzielą się na rezerwy — dwóch klas. I klasa przeznaczona jest do zapełnienia w czasie wojny ubytków w szeregach pułków będących na linii bojowéj, rezerwa II klasy pełni w kraju służbę garnizonową: Pierwsza klasa podlega w czasie pokoju ściśléj kontroli wojskowéj i od r. 1880 ćwiczy się we władaniu bronią w trzech po sobie następujących latach; druga klasa od wszelkich obowiązków wojskowych w czasie pokoju jest wolna. Służba w regularnéj armii dzieli się na służbę czynną, służbę w rezerwie i w landwerze. Służba czynna trwa 3 lata, w rezerwie 4 lata, a służba w landwerze 5 lat. Służba czynna i w rezerwie uważa się jako służba w armii stojącéj, i rezerwiści są tylko urlopnikami. Dla tego mogą oni być wedle potrzeby i uznania władz wojskowych powołani każdego czasu na ćwiczenia dwu-tygodniowe do trzech-miesięcznych. Landwera natomiast powołaną bywa zazwyczaj na dwutygodniowe ćwiczenia, rzadko tylko, jak np. przy nowém uzbrojeniu lub znacznych zmianach regulaminu mustry, na cztery-tygodniowe. Obowiązek służenia w linii rozpoczyna się 1 stycznia tego roku kalendarzowego, w którym młodzieniec kończy rok 20. Czasami jednakże władze kantonowe odstawiają rekruta na lat 2—3, tak, iż dopiero w 23 roku życia ściąganym bywa do wojska. Przed rokiem 20 i po wyjściu z landwery należy każdy do landszturmu. W rezerwach kompletowych już po ukończeniu 31 roku życia przechodzi się do landszturmu.

MYŚL DO LIBRETA OPERY

Z POWIEŚCI SIENKIEWICZA.

Nie tak dawno składaliśmy hołd jubileuszowy istotnemu twórcy powieści u nas (1). Dziś mamy do czynienia z beletrystą, który swą działalność liczy dopiero na pięcioletnie lustra rzymskie, którego nie tak znowu dawno widzieliśmy na ławach Szkoły Głównéj, a późniéj znaliśmy jako autora *Na marne* w „Wieńcu“, studyów z literatury krajowéj w „Tygodniku Illustrowanym“. Późniéj był spółwłaścicielem „Niwy“ w r. 1873, pierwszego jéj, pozytywistycznego zakroju; z czasem felietonistą „Gazety polskiéj“. Wszyscy uznawali talent niezaprzeczony, ale indywidualność młodego autora stanowczo i oryginalnie zarysowała się dopiero w *Szkicach węglem* i w całym szeregu drobnych z formy, a głębokich z dążności utworów. Niebawem podróż za Atlantyk nowéj treści dostarczyła socyologowi powiastkowemu i z śmiesznie małego, w porównaniu z listą dzieł Kraszewskiego, wydania pism *Litwosa* wyziera sylwetka nowelisty wytwornego, realnego, a przytém filozofującego, bardzo poważnie, bez wiedzy czytelnika.

Powiedzieliśmy, że Sienkiewicz jest nowelistą, a mieliśmy tu na myśli formę prozy, prawie tak przed nim w naszéj literaturze nieznaną, jak przed Szajnochą nikt o szkicach historycznych niesłyszał, a o mazurkach, walcach (polonezach) przed Szopenem w liczbie ideałów muzycznych niewiedział. Nowelę chyba u nas dopiero Litwos stworzył; nietylko stworzył, ale i powołał do pracy na tém świéżo odkrytém przez się polu cały zastęp pisarzy; nietylko stwo-

---

(1) *Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych*, przez E. Swieżawskiego, wydanie Biblioteki Warszawskiéj, patrz dedykacyą I. J. K.

rzył, ale tak wysunął nowelę na czoło beletrystyki, jak na czoło literatury polskiéj wogóle, powieść została wyprowadzoną przez Kraszewskiego.

I naraz autor, który jak Musset mógł twierdzić, że posiada małą szklankę, ale własną, i że umié z niéj ogółowi podawać wdzięczny nektar świeżych uczuć, prawdziwych obrazów, filozoficznych między wierszami spostrzeżeń, poglądów obywatelskich; autor ten, powtarzamy, pisze naraz dzieło, rozmiarami niemal przewyższające cały zbiór dotychczasowych prac swoich. Co do znaczenia, krytycy nie mogą się zgodzić na sąd o powieści z lat dawnych: *Ogniem i Mieczem*.

Wziąwszy za słowo profesora wszechnicy krakowskiéj i ślepo powtarzając zdanie hr. Tarnowskiego, mielibyśmy w ostatniéj powieści Sienkiewicza coś innego niż *Pan Tadeusz* i *Wallenrod* Adama, niż bohaterzy *Nieboskiéj* i *Irydyona* Zygmunta, lub *Beniowskiego* Juliusza; coś innego niż utwory tych koryfeuszy romantyzmu i niż płody muzy kontuszowéj: Koźmiana, Rzewuskiego..... Entuzyastyczny krytyk oświadcza w *Niwie* b. r. (1): „Dla literatury naszéj z *Ogniem i Mieczem* nietylko nabytek i ozdoba świetna przybywa, ale uzupełnienie jednym pierwiastkiem ważnym, koniecznym, którego dotąd było brak...., To nietylko ozdoba i chluba dla literatury, nietylko arcydzieło sztuki, nietylko nauka historyi każdemu przystępna a—*niesfałszowana* (sic). ale kordyał zdrowia dla społeczeństwa, a przez to dobry i, powiedzmy otwarcie, obywatelski czyn". W końcu zaś określeń szczegółowych, tak przemawia, w ostatecznym wyroku, krytyk.

„Omdlewającym na puszczy ukazywał Mojżesz miedzianego węża, a kto się w ten znak wpatrywał, temu przybywało sił i życia. Wysoki ideał męstwa, honoru, poświęcenia, stałości, miłości kraju, to także znak, w który patrzéć jest zdrowo, bo od takiego zapatrzenia się krzepi się duch. Dobrze robi, kto taki pokazuje; szczęśliwy, kto go dobrze umie pokazać".

Taki sąd o Litwosie wydany po dziesięcio-letniéj zaledwo produkcyi jego literackiéj; taka ocena arystarchów krytycznych, wynosząca skromnego, choć wysoce uzdolnionego nowelistę w pierwsze szeregi przedstawicieli i nauczycieli ducha narodowego i to na zasadzie jednego dzieła: wygląda w porównaniu do długiéj karyery i tych samych, a niedawnych owacyj, oraz hołdów dla 50-letniego jubilata, na obraz z przebrzmiałéj mitologii.

Na wyniosłym Olimpie—siedzi Zeus, jeszcze gromowładny, ale siwiejący i spętany. Na Osę-noweli, stawia Pelion—*Ogniem i Mie-*

(1) XXV, str. 759, 765.

czem nowy tytan - Litwos, i wieczorna zorza zachodzącego słońca ginie w blaskach nowéj, pierwszorzędnéj, może jaśniejszéj jeszcze gwiazdy.

Po dobie romantyków, oglądający się krytycy za nowym koryfeuszem; historyozofi na grobie Szujskiego, w braku dziedzica, prawie że kruszący kopią i tarcz z jego hasłami — mówią teraz z zachwytem i ulgą o Litwosie: *ecce homo.*

Jedna, jedyna wielka powieść historyczna Sienkiewicza została postawioną obok całego cyklu takichże powieści Kraszewskiego i porównaną między wierszami pod względem wartości pedagogicznéj, jako podręcznik cnót i czynów obywatelskich dla całych mas, dla całego społeczeństwa. Cóż to za pochwała, ale jak straszne niebezpieczeństwo z jednéj pracy uczynić nie ironiczną, ale rzetelną wieżę Babel, po któréj stopniowo idąc ludzie, wygnani z raju, dostać-by się mogli z powrotem do swéj niebiańskiéj ojczyzny, wyśnionéj w łzach wygnania!?

Takiego-to złożonego wrażenia doznajemy, czytając głośny poswark przeciwników i w niebo idące hosanna wielbicieli *Ogniem i Mieczem.* Takież samo mniéj więcéj wrażenie prześwieca i ze słów redaktora Ateneum, który, hamując zapał prof. Tarnowskiego, wskazuje jego niebezpieczeństwa. Przyznaje blask słońcu, ale liczy też jego plamy. Zaznaczył jak my niezwykłość ruchu, towarzyszącego pojawieniu się ostatniéj pracy Sienkiewicza, ale porównał go z owacyami dla Deotymy i Kaczkowskiego, odniósł fakt do ciaśniejszego tła, choć i tu niezwykłość i zalety pracy wysoko podniósł.

Nie można powiedzieć, by opinia dra Chmielowskiego brzmiała jako skrajna opozycya poglądów prof. Tarnowskiego; objawia jednak tak dosadną różnicę w tonie i miarze pochwał, że mimowoli czytelnik pyta się:

— Byłoż-by to tylko przesadą, co głoszą, piszą i mówią dodatniego o cztero-tomowéj powieści Sienkiewicza z lat dawnych? Mielibyśmy jeden więcéj przykład téj tragikomedyi przed oczyma, która gdzieindziéj reklamą i blagą się zowie, a u nas jest pogonią za wielkimi ludźmi, jest chęcią błyśnięcia w sztuce, literaturze, nauce, gdy niedano żyć i znaczyć inaczéj? Jest-że Sienkiewicz gwiazdą o własném świetle i wielkości, czy też odblaskiem innych ogni i małostek; jest-że *Ogniem i Mieczem* faktem rzetelnym, czy też bańką mydlaną, którą my sami stroim w barwy tęczy, my sami złocim pragnieniem i wyobraźnią?

Byłoby dobrze dla autora i dla ogółu, gdyby wątpliwość owa ustala corychléj. Niepodejmujemy się jednakże rozstrzygnąć tych pytań, ani usunąć z niemi połączonych wątpliwości. Chcieliśmy je-

dynie zaznaczyć, że powieść Sienkiewicza ma w sobie, sztucznie lub prawdziwie, dane, czy pozory: *wypadku literackiego*, bogdaj czy nie politycznego *sui generis*. Z tego tytułu skorzystano już z *Ogniem i mieczem* w Krakowie, urządzając z wybitniejszych ustępów powieści obrazy żywe. W Warszawie pan Rzepko podkłada muzykę pod wierszowe ułomki pracy Litwosa. Niewchodzimy w rozbiór kwestyi, czy i tu nie było reklamy? My w niniejszém chcieliśmy inaczéj zużytkować *Ogniem i Mieczem*. Sądzimy mianowicie, że w téj powieści tkwi dużo motywów dramatycznych, dużo téż jest materyału zdolnego podniecić kompozytora, aby swą wyobraźnią zwrócił do odtworzenia w muzyce tych motywów i symboli, które Sienkiewicz rozsypał w swéj powieści.

Z góry dość pono powiedziawszy, aby nie być posądzonym, że nie z „bałwochwalstwa“ i „koleżeńskiéj adoracyi“ oddajemy, co się należy talentowi Sienkiewicza w ostatniéj jego powieści, chcemy zeszkicować tutaj plan do libreta operowego, wyjęty z *Ogniem i Mieczem*. Przedewszystkiem zaś do podobnego opracowania ciągnie nas symbolika, gęsto rozsiana w powieści symbolika nieświadomie zapewne przez autora pomyślana, a przynajmniéj naszém zdaniem, wielekroć szczęśliwa. Zgadzamy się nawet na to zdanie, że my tylko oną symbolikę widzimy. Atoli widzimy ją, i to taką, że ona najsilniéj wytyka błędy powieściopisarza, a nawet i krytyków; i to taką, że właśnie gwoli onéj symbolice, *Ogniem i Mieczem* kwalifikuje się zająć miejsce w poczcie libret opery naszéj, coś znaczących, filozoficzniejszych.

Ma to znamię historyozoficzne *Ogniem i Mieczem*, ma téż je niejedno z libret polskich.

Przypomnijmy sobie pierwsze reprezentacye *Halki* Moniuszki i Wolskiego, jeszcze w obsadzie Rivoli i Dobrskiego, i pamiętne słowa *Cześnikiewicza* (Miniszewskiego), który téj sztuce odmówił znaczenia opery narodowéj; obok istnienia motywów, ukraińskich prędzéj niż koronnych, wytknął charakter dramatu: raczéj społeczny, czy skandaliczny wogóle, niż specyalno-krajowy. Wolski istotnie należał do téj grupy pisarzy ś. p. romantyzmu, którzy poruszali w swych utworach literackich kwestye społeczne, niezałatwione przez sejm cztero-letni i spółczesność, poruszali,... jak tlejące zarzewie pod popiołem,.... podniecali w ogień odwetów: zemstę, kał. Zapewne szkoła mazowiecka i ukraińska romantyków, któréj ostatnim odzewem *Mulik*, *Słoboda*, *z burzliwéj chwili* (i w. i. utworów Jeża, jeśli nie z treści, to z dążenia) i *Ogniem i Mieczem* być się zdają, spełniały swoje konieczne zadanie... ale to była tylko część zadania. I Wolski, wystawiający ślub lekkomyślnego panicza z osobą swojego stanu,

po zelżeniu wieśniaczki, niemógł przypuszczać, że w tym fakcie jedynym reasumuje stosunek klas społecznych w Polsce, że w tym fakcie, lub dodatkowych jego akcesoryach, jak tańce, stroje, itp. zawiera się symbol naszéj narodowości. Jeśli tak przypuszczali Wolski i publiczność, słusznie ich zganił Cześnikiewicz.

Jakkolwiekbądź zresztą rzecz się ma, po czyjéj bądź stronie jest racya; widzimy z tego przykładu *Halki* i *Cześnikiewicza* jaką miarę przykładano do tekstów operowych u nas; jak proste libreto bywało sądzone u nas ze stanowiska kwestyi bardzo ogólnéj.

Przyjmujemy fakt sądu takiego, jako zgodny z naszym celem specyalnym i spostrzegamy, że teksty: *Widm*, *Hrabiny*, *Strasznego Dworu*, *Paryi* Moniuszki, zasady takiego sądzenia libret naszych nieobalają. *Widma*, jako druga część *Dziadów* niesą pozbawione głębszéj myśli, poważnéj tendencyi, nietylko ze względu na libreto, ale i na znakomite oddanie „chóru ptaków,“ który dziwnym trafem zaciemnił wszystkie inne numery pod względem energii, prawdy i piękności muzycznéj. *Hrabina*, podobnie jak *Wąsy i Peruka*, jak *Pan Jowialski*, jak *Pani Podkomorzyna*, malują starcie dwu epok, dwu prądów. To *Dwaj Sieciechowie*, to *Powrót posła* w innéj obsadzie. O *Strasznym dworze*, który przykrojono z gawędy K. Wł. Wójcickiego tegoż samego nazwiska (1) można chyba tylko powiedzieć, że libreto i muzyka najsympatyczniejsze i najcharakterystyczniejsze motywa i szczegóły zawierają, nadają szczególniéj—téj operze miano narodowéj.

Zwróćmy teraz uwagę na treść opery *Wallenrod*, którą zarówno Dobrzyński, jak dziś Żeleński opracowali, i już na tych przykładach spostrzeżemy, że szkic literacki wielu naszych oper i kantat przekracza dążnością lub formą miarę zwykłych libret. Jestto niejako (powiedzielibyśmy) cechą naszéj poważnéj opery. Z. Noskowski niedał nam jeszcze żadnéj opery w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Ale już wybór *Boruty*, jak dotychczasowe melodramaty wskazują, że nastrój tego pierwszorzędnego kompozytora skłania go i do krytyki literackiéj w wyborze libret.

Te to przykłady, i takie antecedensa usprawiedliwić mogą myśl naszą, aby powieść *Ogniem i Mieczem* doczekała się opracowania poetyczno muzycznego.

Stojemy na progu takiéj reformy w sferze opery, jakiéj w XVI wieku dokonał Jan Sante rodem z Palestry, zwalczając metodę Josquina de Prés lub naszego Gomołki, którzy gwoli różnicom te-

---

(1) *Stare gawędy i obrazy* II, str. 169; Złota Przędza II str. 634 Halka z Góralki str. 189.

kstu i muzyki swych utworów mogli jedną sztuką kościół i karczmę obsłużyć. Zmierzamy do reformy, której domagał się w Polsce spółcześnik Palestryny a tegoroczny przez swą śmierć jubilat Jan (Korwin) Kochanowski i Bartochowicz (z 1619 r.) której żądał Wagner.

Dla tego *Ogniem i Mieczem* może być rozważane i sądzone tutaj w swym charakterze malowidła pewnéj epoki, symboliki pewnych uczuć i idei; może być i nawet musi—nie przez grzeczność dla Sienkiewicza, ale z racyi, już przez Kochanowskiego, Palestrynę, Bogusławskiego (1) i dzisiejszych muzyków wypowiadanych nieraz, być rozpatrywane jako materyał historyozoficzny do libretowego obrobienia.

Przypuśćmy więc na chwilę, że batuta kompozytora, jak dotąd jeszcze tylko rojonéj opery *Ogniem i Mieczem*, dała sygnał uświęcony rozpoczęcia uwertury.

Trzy suche uderzenia w pulpit...

Po nich, jakby echo głosów stepowych zaczynają szemrzeć po cichu instrumenta smyczkowe i dęte drewniane.

I tu pozwólcie na maleńki nawias, a raczéj kilkuwierszowe zestawienie. *Ogniem i Mieczem* dzieje się głównie na stepach Ukrainy,—Sienkiewicz stworzył to jabłko dzisiejszéj niezgody po powrocie z preryj Amerykańskich.

Są osobistości, którym najlepiéj żyć i tworzyć w pyle archiwów, pod nizkiém sklepieniem gotyckich skarbców, wśród setek ksiąg i rękopisów. Skrzydłom ich ducha nieciasno w czterech ścian niewoli, bo taki rodzaj ich tworzenia. Są osobistości inne, którym z przestrzenią fizyczną przybywa duchowéj. Zdawałoby się, że w głębi ich indywiduum drzemie jakiś pierwiastek rozprężliwy, który w danéj chwili, w pomyślnych warunkach, jakby balon składany staje gotów do użytku i pozwala malarzowi cząstek stać się twórcą ogółów.

To rozszerzenie ducha możnaby zauważyć w Kościuszce. Może że jeszcze więcéj, jako radykalna zmiana, uderza w Węgierskim.

Był dworakiem, sceptykiem; na sukni haftowanéj nosił klucz do błota i żółci. Ameryka dała mu klucz do pragnień, jeśli nie czynów, obywatela.

Żądając dla uwertury *Ogniem i Mieczem* charakteru stepowego, jak to mamy np. w stosunku do sielanki wiejskiéj w *Pastoralnéj* Beethowena, w *Pustyni* Dawida, jak fizyognomią widoków tatrzań-

---

(1) Por. uwagi nad operą Genowefa *Dzieła Dramatyczne* 1821 IV, str. 301—302.

skich słyszymy w *Morskiem Oku* Noskowskiego;—widząc do malowania natury dane w przeszłości muzycznéj wogóle, wskazujemy też na ich byt objektywny w saméj powieści Sienkiewicza.

Zarzuca Jeż Litwosowi omyłki w charakterze przyrodniczym stepu ukraińskiego, Chmielowski nawet konwencyonalność, a dla przygód Zagłoby i innych poszukiwaczy Heleny Kurcewiczówny, znajduje prawie wzór w metodzie Aleksandra Dumasa ojca.

My niczemu nieprzecząc, sądzimy, że zwrot do *dzikich pól* na skraju dawnéj Rpltéj, nagłe i ze szkodą prawdy dziejowéj za wielkie zamiłowania Sienkiewicza do *szerokich natur* kozackich, stoi w związku z zaznaczonym powyżéj wpływem Ameryki. Na amerykańskim *Far-Weście*, na kolei *Pacyfiku*, w zetknięciu z tamtejszemi preryami, odżyły w duszy Litwosa cudne obrazy tych miejsc, mówiącemu znane tylko z powieści Coopera. Na widowni rzeczywistéj *Mohikana*, *Źródeł Suskehany* odżyły czasy Mohikanow, skwaterów i skalpujących czerwonoskórych. W bezmiarach Ameryki północnéj z nowelisty wylenił się malarz Ukrainy stepowéj, kozackiéj, wojennéj; przybył do szkoły ukraińskiéj romantyków nowy reprezentant. Jak powtarzamy: przygody Zagłoby i innych, prócz Walterscottowskiego Jaru Czartowego, Horpyny i karła, cudowny pochód Wiśniowieckiego z Nadnieprza, dzieje Skrzetuskiego i Podbipięty pod Zbarażem—dla czytelników Coopera są starą znajomością,—dla Sienkiewicza są podobno rozprężeniem się przestrzeniowém na stepach Ameryki Północnéj.

Więc słusznie chcemy stepu w uwerturze do *Ogniem i Mieczem*.

Skarży się tedy oraz huczy szeroki dech stepu po traw i burzanów oceanie Ukrainy; wtórzą mu w orkiestrze wiolonczele i skrzypce. Orkiestra stroi dziwy, jakby wiatr w jary zapadał, o wonne sady futorów zawadzał; to zakotłuje z piskiem i wyciem w oczeretach, w gnieździe wilków i tatarów, to przyniesie na swych skrzydłach klekot młyna samotnego, skrzyp mazi z solą czumackiéj, głos śpiewaka Matki Boskiéj, lub szybujących pod niebem w kluczu żórawi (zwiastunów nieszczęścia, nie pracy). A z tém echem natury wiąże się pieśń tęskniącéj za lubym dziewczyny, nuta rolnika co wesoło porze swobodny grunt swéj słobody, duma dawnych czasów lirnika z kurhanu, z szumem skrzydeł husarskich zmięszana *Bogu Rodzica*, groźnie jéj wtórzące tatarskie Ałłahu, Ułłuha.

To tło lub wstęp. Z kolei, z odmętu różnych motywów, które żyły na powierzchni Ukrainy, wyłania się potężna, historyozoficzna pieśń. Czy miłosna Heleny, czy drżąca w niepewności śmiertelnéj jéj brata stryjecznego Wasila Kurcewicza? To mniejsza, w każdym razie

jedna z nich, bo są spółrzędne, bo są punktem wyjścia i dla libreta i dla powieści.

Pytanie ukrainki lub ukraińca brzmi jednakowo: kto mnie weźmie? W dwu objawach życiowych i muzycznych jest osią i dźwignią czy to operowego czy beletrystycznego utworu: decydująca w wieku XVII kwestya dla Polski: czyją i na jakiéj drodze będzie Ukraina?

W odpowiedzi na głos serca i polityki odpowiada motyw koronny szlachcica i motyw ukraiński kozaka; z dwu typowych, prowincyonalnych tematów wiąże się duet muzyczny w orkiestrze jak niegdy istniał w dziejach. Walczą te tematy z sobą i ścierają w kontrapunktycznych ramach, jak przed wieki szły z sobą o lepsze na stepach Ukrainy ziemiańskość i wojowniczość, monopol obywatelstwa i równouprawnienie. Chwilami w rozhowor wpadają tony poważne Jeremijaszowego przewidzenia czasów, trwożne głosy Hijobowe. Dysonanse wzmagają się, burza tonów jak dziejów zrywa się i huczy. Butna nuta kozaka przechodzi coraz jaskrawiéj w pieśń mętną dymu, krwi i palenicy. Rygor polityczny, rozumny Batorego, przez szalone zapędy Jeremijego Wiśniowieckiego tonie w krwawéj kąpieli Stępkowskiego. Z obu stron bije pod niebo jęk ofiar, dzwon świątyń zelżonych...

Góruje ryk trąby lackiéj, już słychać w dali głos muezzina po barkach Doroszeńka wchodzącego na katedrę kamieniecką, łączy się z tém rodzimie polifoniczny, kwartetujący się instynktownie, temat od „białokamiennéj macierzy.“ Jęknie jeszcze czasem nuta zgody. Przeważa jednak groza wywołana „ogniem i mieczem.“

Teraz pytanie zachodzi jak urojony kompozytor skończy swą uwerturę? Czy jak Litwos zabrzmi pieśnią weselną, czy zawiedzie bolesną nutą zniszczenia lub płonnych rozmyślań?

Już raz Słowacki w *Srebrnym śnie Salomei* i *Księdzu Marku*, na posłaniu z trupów ofiar lub skazańców, do snu ślubnego ułożył żydówkę i kającego się szlachcica, księżniczkę i kozaka.. Tam poetyczny duch Ukrainy, Wernyhora, odnajduje dla kozaka w ziemi krwią jego zlanéj dyplom szlachecki, obywatelski. W *Ogniem i Mieczem*, *ksiądz* Cieciszowski błogosławi ślubom Korony i Ukrainy, a Beresteczko swojem *Te Deum* zastępuje *Veni Creator.* Wyłączność z jednéj strony, samotnik na zgliszczach szczęścia w Rozłogach z drugiéj—to odpowiedź Sienkiewicza i... historyi.

My po autorze nowel, po gościu przybranéj ojczyzny Kościuszki i Pułaskiego, spodziewaliśmy się rozszerzenia duchowego. Łudziliśmy się nadzieją, że serce, bijące dla nędz dzisiejszych uciśnionych, użyje najcenniejszego przywileju artysty; że choć w utworze fantazyi na temat historyczny,—położy w końcu dzieła fakt, zadość czy-

niący historycznie współczuciu dla uciśnionych historycznych. Godziliśmy się na pieśń weselną ale z motywów Hadziacza, z wesela nowych obywateli. Wierzyliśmy, że choć dziś zrozumiano słuszne urazy, przyznano prawa.

Sienkiewicz na wykrzyk ludu, usymbolizowany w chórze ptaków II części *Dziadów*: „niemiałeś panie litości... szarpajmy ciało na sztuki,“—odpowiedział nie uściskiem wynagradzającym bratniéj dłoni, lecz głosem wieku XVII:—„na pal!“

Osnowa powieści p. t. *Ogniem i Mieczem* jest tego rodzaju, że przyszły librecista, bez trudu, może z niéj wyjąć swą własność.

Występując tu niejako w jego roli i prawach, musimy przestrzedz z góry, że mimo uszanowania dla dzieła, które, jak domyślać się należy, powstało i urobiło się według pewnéj loiki, rozłożyło się na części organicznie związane z sobą, przecie tu i owdzie musieliśmy porobić zmiany przy wykrojeniu libreta z powieści..

Jedne zmiany tłómaczą się różnicą sceny od opowiadania.

Drugie bierzemy choćby za winy swoje, ale dokonać ich mieliśmy takie prawo, jak Litwos. On, jako artysta uidealizował Jeremiego i jego politykę wyrżnięcia kozaczczyzny, poniżył za prędko Chmielnickiego, poniżył za lekceważąco stronnictwo teoretyków; za nadto myśli o *ryzuniach*, za mało o *rycerzach* na Ukranie. Skoro Sienkiewicz, jako artysta, mógł cytatami ze źródeł udawadniać swoje pojęcia powieściowe o Jeremim, więc ze szkodą estetyczną utworu, działać za jego pośrednictwem jako wyznawca pewnych idej socyalno-historycznych, to i my do podobnego działania literackiego mamy prawo, jeśli nie jako historyk, to jako taki sam członek naszéj społeczności, w któréj niemal wszystko dzieje się przez i w literaturze. Zresztą Sienkiewicz sam zanegował Jeremiego w dziejach Skrzetuskiego.

Więc nietylko usunięcia jednych scen i osób, oraz kondensacyi drugich w mniejszéj przestrzeni i czasie, należy spodziewać się w librecie, ale nadto doprowadzenia intrygi czyli bajki, zgodnie ze wskazówkami samego Sienkiewicza, do innéj konkluzyi, aniżeli ją w Jeremim ma powieść *Ogniem i Mieczem*. A niech nikogo nie dziwi, że w naszém przystosowaniu powieści do warunków scenicznych. prawie wszystkie operacye chirurgiczne osłaniamy powagą autora. Już krytycy z powołania wskazali przed nami, że prawdziwa akcya, dotycząca bohaterów powieści: Skrzetuskiego i Heleny Kurcewiczówny, kończy się tam, gdzie następuje nagły przełom w charakterze Zagłoby, gwoli któremu ten i inni towarzysze dotychczasowego bo-

hatera występują w jego roli. Tego przełomu psychologicznego w Zagłobie autor nieusprawiedliwił, a mimo to z nim połączył i inne zmiany w wątku swéj powieści.

Zmiany są tak wielkie. a przecie tak organiczną całość tworzą ze sceny u kurhanu, na Omelniku, wyjaśnionéj przez opowieść o pobycie Skrzetuskiego w Czechrynie, i z wypadków dokonywających się w Rozłogach, że nawet sam autor (nietylko czytelnicy *Ogniem i Mieczem*) przyznałby, iż ta powieść ma właściwie dwie części i dwu bohaterów: Skrzetuskiego i Zagłobę. Pierwsza spoista, dramatyczna, stoi jako skończone dzieło natchnienia, żyje zupełnie inną myślą, niż druga, będąca arcydziełem w duchu Coopera, niżąca miliony piękności obrazowych na nić poszukiwań bohaterki z pierwszéj części, ale pojętą w innym duchu, w innéj formie.

Niepodobna dłużéj się usprawiedliwiać, bo i tak ten antrakt między ostatniemi akordami uwertury a podniesieniem się zasłony pierwszego aktu, jest za długi. Kto wie wszelako, czy uwertura niemoglaby wywołać w słuchaczach kwestyj powyżéj omawianych, podniecić do wymiany odpowiednich myśli i tym sposobem przygotować do wysłuchania z ciekawością zaczynającéj się opery.

Na stepie, co go pochody wszystkich wędrówek zorały, wojny każdego stulecia zwlóczyły, a ciało i krew obrońców utuczyły i zasiały na karm przyszłości; na wysokim kurhanie, co strażnicą, ołtarzem poświęcenia i mogiłą bohaterów był i być zaraz mógł:—stoi bohater powieści i libreta, Jan Skrzetuski zrazu namiestnik pancernéj (I, 14), potém porucznik husarskiéj (III a. str. 317) chorągwi Jeremiego, księcia na Wiśniowcu i Łubniach, wojewody ruskiego. Jeździł z tajną misyą swego chlebodawcy i zwierzchnika do naddnieprowéj strażnicy Ukrainy, do klucza Rpltéj od Południa i Wschodu, do Kudaku—by pytać co słychać w stepie, czy wilki i tatary nieruszają się, czy wrzenie między ludnością ukrainną nie ziści na ziemi tych znamion niezwykłych, co płoną na niebie, co jawią się w naturze.

Stoi młody rycerz, w téj saméj zbroi, z tą samą czujnością w oczach, z tém samém sercem w piersi, co w stokilkadziesiąt lat późniéj *Mohort* stuletni, wskrzeszony w rapsodzie Pola. Mohorta wiek i trudy do snu morzą, ale pistolet wciąż w dłoni, kogut mu sen mierzy, a stołek w kształcie kulbaki do czuwania i w uśpieniu podbudza. Mohort stoi na *lucc* ukraińskiéj, wierny do końca, jak Skrzetuski, obowiązkowi żołnierskiemu, na czacie wschodniéj, gdy reszta kraju, pijana rozpustą i zbytkiem, może nawet niewie co obowiązek,

choć umie się zdobyć na ofiarę, umie się poświęcić, ale nie znosi wyrazu: powinienem i muszę.

Skrzetuski o tyle szczęśliwszy, że jeszcze niejest ostatnim Mohikanem, jak nazwano Mohorta. Oprócz niego, Polska wieku XVII, lubo już żyznym była gruntem Koryolanów (jak pisze Wesp. Kochowski), miała więcéj takich mamutów z przepadłéj, istotnie przedpotowéj epoki, z przed 1772 r. Nietylko on jeden zna wartość parolu kawalerskiego, nietylko on jeden rozumie obowiązek karnego służbisty w zastępach Rzeczypospolitéj.

Dla niego jednak, jak dla Mohorta, tém to chlubniejsza, że to go trzyma przy życiu obywatela, choć stracił przyszłość w rodzinie własnéj, gdy..... Gustaw z *Dziadów* się zabił. Dla Skrzetuskiego ten rygor tém dolegliwszy, że choć służy w rocie Jeremiego—Paleja, polskiego Krasusa, przecie sympatye i związki osobiste wiążą go i ze skazanymi przez jego dowódcę na wytępienie Spartakami, przecie uczcić umie boleść i bezowocne stronników zgody bohaterstwo.

Skrzetuski, jak go Sienkiewicz scharakteryzował, to szlachcic zawisły od *królewiątka*; *jego* politykę robić, obyczajem swego czasu i społeczeństwa, jest zmuszony, choć inaczéj nieraz czuje, choć inaczéj z *królem* by zapolitykował.

Skrzetuski to dla nas symbol tych zdrowo *czujących* w XVII wieku koroniarzy, jakimi na Rusi są Bohun, Barabasz: ten jednak już zasypiający ze zgrzybiałości, ów dziczejący szlachcice-kozacy.

Przy nim na kurhanie stoi typ inny, coraz częstszy.—Zagłoba, niby Papkin Fredrowski i Falstaf Szekspirowski, warchoł i dobre serce, fanatyk spokoju i pohulanek, bohater z musu. To typ naszych ziemian, o których Maryan Potocki powiedział jakiemuś ambasadorowi—weźmiesz mu kontusz, ale przy koszuli zęby pokaże. To Rej z żarłoctwa, Panie kochanku z łgarstw, to wreszcie i Ślaz *Lili Wenedy*, który wiesza się każdego, co jeść da i pić *honeste*. W Zagłobie tkwi Sitarz z elekcyi Walezego i Lisowczyk, jak w Rzędzianie schłopiały podlasiak z zaścianka; obaj na skraju obywatelskiéj pochyłości.

Wołodyjowski i Longin Podbipięta, to dwie żywe szpady, ale dla libreta ważniejszy litwin, z nazwiskiem, które znajdziesz w pieśni francuskiego Gawrosza z *Nędzników* W. Hugo. To typ prowincyi całéj: pobożny do przesady, cierpliwy aż do podejrzenia o ślamazarność, wytrwały w zamiarach..... do bohaterstwa. Z razu istny Don Quixote, z swym ślubem i gorączką sławy bez wyboru. W końcu męczennik w sprawie Rzeczypospolitéj, jak S. Sebastyan lub wódz indyjski. I na nim jednak znać ten upadek co na Zagłobie i Rzędzianie;—pozwala kpić z klejnotu i nazwiska szlacheckiego.

Gdyby nie chęć znalezienia i tu symbolu, powiedzielibyśmy, że Sienkiewicz temi kpinami Zagłoby z Podbipięty przyznał się do nieznajomości szlachectwa, tj. szlachetności, jak apoteozą Jeremiego wyparł się znawstwa nędz dziejowych, trafiając zresztą w kwestyą bieżącą powieści socyalnéj z XVII wieku: *Słobody* Bykowskiego, *Z burzliwéj chwili* Jeża, ze zręcznością pisarza sensacyjnego.

Gdy stoją tak z pocztem przy ognisku biwakowém Skrzetuski, Zagłoba, Longin, trzy typy b. Rzeczypospolitéj, pierwszy miłość do Hanny Borzobohatéj-Krasieńskiéj, a ostatni swój charakter ujawniają—dają znać, że gotowa już wieczerza pochodna.

Przy jadle i trunku, dowiadujemy się, że szlachcic Chmielnicki, niedawny ataman morski za Władysława IV, rusin i kozak, poswarzył się z lachem, podstarościm Koniecpolskiego w Czechrynie, Czaplickim. „Zwyczajnie szlachcic szlachcicowi z nieprzyjaźni sadła zalewał. Nie jeden on i nie jednemu jemu“ mówi słusznie Litwos.

To też gdy dal los szczęsny Zenobiego herbu Abdank, to jest tego Chmielnickiego, uratować Skrzetuskiemu przy kurhanie od arkanu sług Czaplickiego, taki zawiązuje się duet między zbawcą a ocalonym.

— Któż-to na jegomości nastaje?

— Długo by to gadać—mówi rzeczony Zenobi.—Sąsiad to zły.

— A to waść nienosisz szabli przy boku?—pyta Skrzetuski (I, str. 17).

I oto frazes historyczny króli Kazimierza W. i Władysława IV rzucony uciśnionym za wskazówkę działania w potrzebie; oto w innéj formie wypowiedziana państwowo-prawna, legalna zasada samopomocy narodu, gdy organa rządu są bezsilne, by zaradzić złemu. To w innéj formie zalecenie *konfederacyi*, téj dyktatury narodu, gdy maszyna państwowa staje.

Wszelako Chmielnicki, choć szlachcic, jak mu dzieje i powieść to przyznały, i jako szlachcic, mający do tego prawo,—nieogłosił konfederacyi. Ależ bo w Hadziaczu to prawo za późno Rusi kijowskiéj nadano.

W każdym razie, zarówno stan rzeczy, jak polityka, jak bracia szlachta, dają Chmielnickiemu sankcyą do działania przez usta Skrzetuskiego.

Skrzetuski czuje swoją sprawę w sprawie Zenobiego, pokąd jest szlachcicem-obywatelem. Gromi w nim buntownika, jako żołnierz z drużyny Jeremiego.

Na ostatni frazes Skrzetuskiego, odpowiada też Chmielnicki:

— Mam oręż przy boku — odpowiada ten członek rycerskiéj społeczności ukrainnéj; mam—odpowiada jeden z tych awanturni-

ków, niespokojnych natur, jak Samuel Zborowski, co chciał pędzić do Persyi lub zdobyć hospodarstwo, jak Łaski, Korecki, Wiśniowiecki, Zamojski, Mniszech i Rożyński..... co hospodarstwa lub ca ratu szukali. Mam oręż—odpowiada jeden ze szlacheckich bannitów, unoszących głowę od miecza, a imię od hańby na step bez sądu i rządu, ale temu głosowi mogą zawtórzyć ćmy „hultajów"-kmieci, co szukały raczéj bezpieczeństwa na progu tatarszczyzny niż we wsi rodzinnéj co wolały łeb golony, mahometanina, niż takiż jednéj wiary i krwi szlachcica.

— Mam oręż odpowiada Chmielnicki, i Rzeczpospolita istniejąca dziś dla królewiąt i podległych im ślepo drużyn; i Rzplita, zapominająca o swych dzieciach upośledzonych, którym król wkłada szablę, karcącą bezprawie, w dłoń przez prawo upodloną; Rzplita niezdolna pojąć, że w rzekomych włóczęgach (kozakach) ukraińnych jéj krew własna płynie, i domaga się słusznie i zasłużenie ogólnych praw obywatelstwa; ta Rzplita zajadła na własną zgubę, mieć będzie czego chce.

„Dzień sądu już idzie przez step".

Taki to temat, mimo wszystkich swych błędów, omawiań, czy ustępstw, postawił Sienkiewicz na początku *Ogniem i Mieczem*, postawił go artystycznie, postawił go dziejowo. Istny pendant do pierwszéj części *Staréj Baśni.* Dla muzyka ślicznie go oparł Sienkiewicz na chórze towarzyszy Chmielnickiego, śpiewających pieśń o swéj smutnéj doli.

Wskazówki, że jeździł do Krymu po pomoc Zenobi, dają rys smutnych tych czasów aż do Płuta i Rykowa z *Pana Tadeusza* się ciągnących w dziejach Rzplitéj. Nie bronimy tego rysu.

Chmielnicki, z szlachcica siłą woli i wypadków królewiątko, jak Zamojski—grzeszny jak inni, że szuka u obcych pomocy, grzeszy przynajmniéj nietylko dla siebie; walczy bezwiednie za nędzę i prawa mas. To bicz Boży przywilejów, to „Spartak" Kochowskiego, to polski 1789 rok.

Widownią drugiego aktu jest inna część stepu, na drodze z Czechrynia ku Łubniom, rezydencyi księcia Jeremiego. Jak wątku do pierwszego aktu dostarczyły nam dwa pierwsze rozdziały, tak do następnego jest materyału bez liku w trzecim rozdziale tegoż samego tomu, jeno że uzupełnionym z innych ustępów powieści.

Wita nas znana przygoda uszkodzenia kolasy, którą jechały księżna Buła v. Bułyha Kurcewiczowa z swą synowicą Heleną, sierotą po okrzyczanym niesłusznie za zdrajcę kniaziu Wasilu. Jechały zaś z pielgrzymki nabożnéj do Czerkas już z powrotem do Rozło-

gów, a Rozłogi—to dziedzictwo Heleny, ale faktycznie zagarnięte przez stryjenkę, *hic mulier* ukrainną.

Sokół, wypuszczony przez Skrzetuskiego, prowadzi go z jego drużyną ku rozbitéj kolasie i samotnym niewiastom. Woźnica ich pojechał do odległych zaledwo o trzy mile Rozłogów, po inną kolebkę, któréj jednak nieczeka wystraszona opuszczeniem Kurcewiczowa i korzysta z wozów pana namiestnika.

Tak sokół w pieśniach ludowych weselnych, spadający na podwórzu panny młodéj, jako zwiastun przyszłego, jest w powieści i wróżbą i łącznikiem młodéj pary. Piękność Heleny wypłasza z serca Skrzetuskiego obraz niezbyt w niém głęboko wyryty panny z dworu Gryzeldy księżnéj Jeremiaszowéj, Hanny Borzobohaty Krasieńskiéj. Cudowne niejako spotkanie na uroczysku, pomoc w potrzebie, co ważniejsza ujęcie się rycerskie za sławę ojca nieboszczyka jednają Helenę Skrzetuskiemu, który też *stante pede* afekt strzelisty niesie do stóp nowéj, lecz już prawdziwéj bohdanki.

Dla muzyka gotowa sposobność do duetu tenora z sopranem, który przygotował-by się tercetem staréj i młodéj Kurcewiczowéj, z przybywającym im na ratunek jak *deus ex machina* panem Janem. Pan Longinus Podbipięta, mimo ślubu czystości, fatalnie zawarunkowanego ścięciem od razu trzech łbów nieprzyjacielskich, wrażliwy na niewieście wdzięki, mógł-by teraz w kwartecie snuć różowe marzenia o wzięciu w spadku Hanusi, którą już poznał, a mógł zyskać, choć-by rodzajem zemsty z jéj strony na Janie przewrotnym wywartéj. Wyzyskać jeno kontrasty w drodze muzycznéj kombinacyi i charakterystyki, więc obcesowość uczucia w Skrzetuskim, który bije i kocha z kopyta, więcéj czuje i działa niż myśli; mięszaninę dziewiczéj zabobonności, dziękczynnego uwielbienia za rehabilitacyą ojca, i przeczucie na tém tle miłości w Helenie; obawę staréj Kurcewiczowéj, by żołnierz Jeremiego, opiekuna Heleny, niezobaczył zdzierstwa, niepopsuł frymarku Heleny za Rozłogi z drugim wychowańcem, kozakiem Bohunem, oraz dalekie zarysy takiegoż frymarku z Skrzetuskim; wreszcie walkę przymusowego ascetyzmu z miłością, którą miarkuje Flegma litewska w Longinie.

Nadbiegają synowie Kurcewiczowéj, stryjenki Heleny, szlachta ruska zdziczała, prawie że statarzona, istne kozaki, tj. włóczęgi. Z nimi Bohun, już podpułkownik kozacki, junak wojenny głośny, znany i Skrzetuskiemu z opinii, współwychowaniec i tajemny, a przynajmniéj nieprzyjęty przez Helenę jéj bohdanek. I on dziki, jak Kurcewicze, ale bądźcobądź z pod ukrainnéj skóry biją rycerskie, szlacheckie instynkta. Sroży się tam i zwierz okrutny, i bije serce niewieście.

Bystre oko nieszczęśliwego miłośnika przeczuwa rywala; i wśród zaprosin na nocleg do Rozłogów i zapowiedzi, by oślepiony w bojach najstarszy Kurcewicz, w księgach religijnych rozum tracący mistyk Wasil, niepopsuł serca gościowi, wybucha nowy *ensemble* muzyczny. Nowa nuta jawi się w nim pod postacią zazdrości Bohuna, lekceważenia Skrzetuskiego, obaw Heleny, hamowań obu stron przez starą kniahinią.

Tym sposobem akt drugi zadzierżga intrygę miłosną libreta, gdy pierwszy był ekspozycyą polityczną jego treści. Ściśle mówiąc, nasz akt drugi, jak trzeci rozdział I tomu powieści Sienkiewicza zawiera symbolicznie uzupełnioną i rozwiniętą treść i dziejowego wypadku i powieści.

Powtarzamy tu jeszcze raz, że niewmawiamy Sienkiewiczowi, by chciał z góry to przedstawić, co my odnajdujemy w jego pomysłach. Wszakże sądzimy, że ten komentarz usprawiedliwi pochwały oddawane *Ogniem i Mieczem.*

Najprzód zaś słówko naszego wyjaśnienia, czemu dobrze nietylko artystycznie ale i symbolicznie-dziejowo zetknął Sienkiewicz Skrzetuskiego z Chmielnickim, Helenę i Bohunem. Jeżeli w pierwszéj osobie, jak w Zagłobie, Longinie, Rzędzianie itd. krystalizują się różne typy Korony i Wielkiego księstwa, tak w trzech ostatnich odzwierciedla się Ruś kijowska, Ukraina. Chmielnicki—symbol traci mienie—Subotów, żonę—Czaplicką, wolność. Jeż osnuł intrygę w około Czaplickiéj, co natrąca i Sienkiewicz w swéj powieści, jako jeden z motywów waśni, wynikłéj między podstarościm i setnikiem czechryńskim. Taki jednak motyw przypominał treść *Maryi* Malczeskiego, w któréj poeta zabójstwo kraju tłómaczy zemstą za mord żony przez ojca Wacława. Niedaléj poszedł Woycicki, genezę najazdu Karola Gustawa widząc w stosunku Jana Kazimierza do Radziejowskiéj. I *Zamek Kaniowski* narzucił rzezi humańskiéj za sprężynę miłość kozaka Nebaby do ukrainki Orliki, którą lach, rządca Kaniowa gwałtem poślubia.

Sienkiewicz znalazł podobny klucz dla swéj powieści w Helenie, może trojańską przypominającéj umyślnie imieniem. Klucz ten jednak pomyślany oryginalnie.

Helena jest, wedle Sienkiewicza, z książęcego rodu Kurcewiczów, niby litwinów, bo wywodzących się od Koryata, choć „podobno istotnie" szli od Ruryka. Mają oni przydomek u Paprockiego Buła, w *Ogniem i Mieczem* Bułyha, a kronika hipaciejowska ma pod r. 1215 XX. Bulewiczów, z których jednego Mindowg zabił i wziął żonę. Jakbądź rzecz się ma z rodowodem, Kurcewicze są Litwą lub Rusią kolonizującą Ukrainę. W Helenie i rodzinie jest taż sama krew, co

w reszcie obywateli Rzplitéj. Toż samo się ma z Bohunem, który hodując się razem z Heleną na stepach ukrainnych, kocha ją. A ta miłość do kobiety, to niby miłość dla Kijowszczyzny jéj dzieci bezpośrednich; to skarb, którego pierwszymi i prawowitymi dziedzicami i właścicielami być się mienią. Bohun to rusin, kozak, co kocha Ruś swoją świętą, co kocha jéj symbol Helenę, co w niéj też widzi swe prawa „obywatelskie, czyli szlacheckie" (jak mówi prof. Cybulski), wysłużone krwią w bojach za Rzplitą przelaną, nałogami nawet i pochodzeniem zawarowane.

Tę Kijowszczyznę z wolnéj w służebnicę zamienić, ten skarb zabrać, te prawa wydrzeć chce szlachcic-lach. Tu źródło nienawiści Bohuna do Skrzetuskiego wyrozumiane symbolicznie. Tak pojmujemy waśń obu kochanków Heleny i ją samą w powieści i w librecie. Z téj racyi rozumiemy rolę Zagłoby i innych „jako poszukiwaczy" Heleny; gdy na tych warchołów lub mniéj dotkniętych jak Skrzetuski lachów przychodzi koléj szukać zaginionéj Ukrainy—Heleny, porywają ją już zhajdamaczały Bohun, Horpyna wróżbitka, karzeł, symbola niewyraźne dziejowych porywców o obywatelstwo walczącéj Ukrainy.

Nieobchodzi nas tu jednak część Zagłobowa powieści. Z niéj tylko wzięlibyśmy Horpynę i teorbanistę ślepego, przez nią wodzonego, do ekspozycyi w pierwszym akcie na typy kozaczczyzny chamskiéj, na typy nieszczęśliwych „hultajów" XVI wieku, którym Jan Olbracht zabronił rzemiosła, nauki, i jak konia oślepionego zaprzągł do deptaka pracy rolnéj. Z téj części Zagłobowéj, weźmiemy finał do drugiego aktu, to jest wesele ukraińskie, na którém spił się Zagłoba, wpadł w ręce Bohuna, i sprytem człowieka, co zwykł jak zając uciekać przed prawem i losem, wydobył się z matni. To wesele, w którém zarysuje się falstafowska natura Zagłoby, Rejowskie żarłoctwo, humor specyalnie polski,—żołądkowy, jak go zwie Mickiewicz—to wesele spotka się trafunkiem z naszemi bohaterami, wracając z cerkwi „z wieńczania".

Widzimy kapelę weselną na przedzie, orszak weselny za nim jak wkraczają na scenę, w końcu *ensemblu* ostatniego, i uciechą bezmyślną zakończą spór głównych osób, zanim za sprawą jednéj strony popadną w równie bezmyślny wściekły szał „ryzuniowy" jak chętnie, aż do zbytku wyraża się Sienkiewicz.

Akt trzeci układa się także ze skarbnicy obrazów, zwanéj *Ogniem i Mieczem*, a rozgrywa się, jak to mamy i w powieści, w Warszawie. Minął pewien czas od zdarzeń poprzednich. Już Rzplitę

i Ukrainę rozgradza niejedno krwi morze. *Żółte wody*, *Korsuń*, srom ucieczki Pilawieckiéj, téj instynktownéj ucieczki oligarchów przed zemstą ich ofiar zbuntowanych, odbieżanie Lwowa przez Jeremiego znane i powieści (III, 183), gdy go tylko mieszczanie bronią, oblężenie już Zamościa przez Chmielnickiego:—oto etapy, któremi posunęła się kwestya kozacka między drugim i trzecim aktem. Już runął Władysław IV, w ponury ten grobowiec Rzeczypospolitéj, złamany pracą nad jego zamknięciem; runął brat jego może dopiero przez Szajnochę uczczony, przez spółczesnych i niejednego dzisiaj okryty wzgardą lub ironią. Ideolog, chłopoman, teoretyk—to miano tych szlachetnych ofiar których już tylko karykaturę śle graf Henryk w *Nieboskiéj* pod nóż Pankracego. *Nieboska*—to na ogólniejsze akordy lub podlejsze tony rozłożone *Dwa lata dziejów naszych*. W epoce libreta, graf Henryk—jest Rzplitą, z miłości i chęci jéj ratowania;—okopy św. Trójcy, w których i obrońcy i Rzplita giną—to monopol obywatelstwa; w tych okopach umiera i Pankracy po rzekomym tryumfie—to Chmielnicki—Ukraina.

Wśród téj grozy wypadków, Sienkiewicz nieoryentował się duchem Szajnochy. Dla Sienkiewicza, jak dla królewiąt XVII wieku, kwestya kozaków rozwiązuje się paralelą tych członków Rzplitéj do włosów i paznogci. Usuwa się ich *Ogniem i Mieczem*.

Skrzetuski jednak Sienkiewicza, chociaż żołnierz z pod chorągwi Jeremiego, szuka Heleny—Ukrainy, jako eskorta ugodowéj misyi Kisiela i innych do Chmielnickiego. Skrzetuski, choć polityk z obozu Paleja i szlacheckich ryzuniów, gdyż jest dworzaninem magnata z téj partyi—umie ocenić bóle i zamiary Kisiela; umieją to ocenić i w radzie Jeremiego. Smutno za to, że Skrzetuski, zapóźnym ratunkiem honoru Rzplitéj przy oddaniu insygnij hetmańskich przez Kisiela Chmielowi, stwozył..... piękną scenę. Niespodziana komenda: „dragonia w tył za mną“ (III i, str. 344) tylko jest efektownym i artystycznie schwyconym rysem polityki Rzplitéj, szarpanéj w dwie przeciwne strony. Za Władysława IV marnieje dzieło zgody. Za Jana Kazimierza mamy Beresteczko i politykę ryzunia Jeremiego, mamy i Hadziacz z polityką zgody Kisiela. Ale to wszystko, jak komenda Skrzetuskiego, który prawie że z rozwagą, sromem dla zbawienia okrywa się i naraża wszystko nagle przychodzącém uczuciem tego sromu,—to wszystko, niestety, dzieje się nie w porę.

Z wypadków elekcyi Jana Kazimierza, opracowanych przez Sienkiewicza śliczny akt trzeci się wysnuje. Kulminacyjnym momentem w muzyce tego aktu będzie solo nowego elekta, który po Bajronistowsku, jak drugi Władysław Biały, szukał przez całe życie daremnie dla siebie i dla Rzplitéj właściwego sposobu do życia.

Admirał, więzień, ksiądz, zwolennik polityki Kisiela, Jaremy,—król opuszczony przez cały naród dla najeźdźcy w Kole i w Kejdanach, i za życia pozbawiający się korony; król pozwany do sądu za gwałt karczemny, i w poswarce z trybunałem za gwałt Radziejowskiego: oto dysonanse koronowanego reprezentanta całej epoki.

To niepokój umierającego, to rzucanie się jego na pościeli skonania w bezwiednéj i mętnéj już chęci ocalenia.

W łagodniejszym wyroku na Jana Kazimierza idziemy za Szujskim, jak w Sądzie na politykę ugodową za Szajnochą. Tu też nasza i naszego libreta różnica z Sienkiewiczem i jego *Ogniem i Mieczem*. Z kanwy Szujskiego i Szajnochy usnute solo Jana Kazimierza rozedrze się w tercet przez głosy Kisiela i Jeremiego, anioła i szatana kwestyi kozackiéj. Za tło temu hamletowskiemu: *To be or not to be* radość elekcyjnych chórów służy.

Takim sposobem akt trzeci będzie Rozłogami, rozdrożem dziejowéj akcyi, w którym i Chmielnicki cofnie się, skoro obrano króla zamiast królewiąt, i Anusia pod kiściaste wąsy Longina dobrowolnie podsunie swe rączki, przez zemstę za nową miłość Skrzetuskiego. Będzie to jednak radość połowiczna, nadzieja nieogólna.

Z wykryć zazdrosnéj Anusi wysłucha coś i Bohun, poseł na elekcyą od Ukrainy, i zarysuje się powieściowy pojedynek Bohuna (III 1,237) nie z Wołodyjowskim jednak o porwanie, lecz o miłość Heleny—z Skrzetuskim.

Akt czwarty rozgrywa się, jak namalował go szczytnie Sienkiewicz, w Rozłogach. Niemogąc się zgodzić z autorem na Jaremową politykę, potępiając go za barwę powieści historyozoficzną w części politycznéj, bijemy czołem przed trzema rozdziałami pierwszéj części II tomu *Ogniem i Mieczem*. Tu poznajemy Sienkiewicza—nowelistę, tu zbliża się do politycznych opinij swego krewnego, Joachima.

W Rozłogach, już stanął handel między Kurcewiczową a lachem Skrzetuskim. Za Rozłogi dała mu Helenę, jakby za tę cenę dala ją Bohunowi. Ukraina, by być obywatelką, wyciągnie rękę do Rpltéj, do Austryi, do cara Aleksieja, do Tatarów, do Turcyi.

Więc lach poślubi Kijowszczyznę, i teraz jako szczęśliwy jéj narzeczony, wróżyć sobie każe kukułce, ile mieć będzie chłopczysków, bo tak samo najbystrzejsi politycy tych czasów jak lach szczery ks. Piotr Grabowski jak ks. bp. kijowski Józef Wereszczyński (rusin zlaszały)—chcieli raznazawsze odjąć pustce *dzikie pola*, kolonizując je, drobną z Rpltéj, biedną szlachtą. Pracowita a rojna; nie-

sfałszowana w pojęciach jak królewięta; jak Skrzetuski równa kozakom, rycerzom:—stanęłaby murem przeciw latifundiom ukrainnych panów, niedopuściłaby, zbratana z kozactwem, upaść im w niewolników.

Z chłopczyskami Heleny i Skrzetuskiego, jak z prawami hadziackiemi w porę danemi trzeciéj osobie w trójcy Rpltéj, W. Ks. kijowskiemu, niema miejsca dla przenośni Wespazyana Kochowskiego, który Chmiela nazwał *Spartakiem ukraińskim*, a co akceptował Bartoszewicz... słusznie.

Roją Helena i Skrzetuski o swém przyszłém szczęściu, a tu wchodzi Wasil. Tatarskiem kalectwem i ekstazą oderwany od świata pozornie, jakże myślą i sercem głęboko weń wniknął, gdy tekstem ewangelii pyta: „a wy zali dobrą nowinę niesiecie, zali jesteście apostołami?“

Ślepy ciałem, wieszczy duchem Wasil, to Ruś, jeszcze w jednéj formie symbolicznéj, pytająca mrocznéj przyszłości: gdzie prawda dla niéj, gdzie zbawienie?

Kto niesie szczęście przyszłości, pyta Wasil. Czy krwawa polityka Jeremiego, Stępkowskiego, *Ogniem i Mieczem*, czy wiekopomna myśl Władysława IV i hadziacki zwrot Jana Kazimierza?

Wasil—to rusin, kozak, szlachcic ukrainny—ślepy ciałem jak Jeremi, ale widzący duchem jak Ossoliński i Kisiel, co wejdzie z tego krwawego posiewu pali i łbów ukrainnych, zamiast równouprawnienia S. Mikołaja czy Jerzego z S. Stanisławem i Kazimierzem. Oni widzą, Skrzetuski czuje, że z tego posiewu wzejdzie rzeź humańska, która w krwi utopiła konfederacyą barską i Rpltę. Czuje to i Bohun, który za miłość Heleny, za prawa obywatela stanąłby do walki z szumowiną dzikich instynktów. Bohun kozak, za Helenę—prawa, wziąłby w kluby czerń chłopską, co tylko wspomnienie obroży i nienawiść z Korony uniosła. Bohun czuje co i jemu od téj szalonéj czerni grozi, i ten ukrainiec dziki leży, błagając, u stóp Heleny, o miłość zbawiającą.

To też i lacha i kozaka zarówno pyta Wasil: „azali wy dobrą nowinę niesiecie? zali jesteście apostołami?“ czy to gdy pierwszy już grucha jako narzeczony z Heleną, czy gdy drugi wpada już jako mściwy, zhajdamaczały, bez praw i miłości, ryzuń. Wpada Bohun z wściekłymi kozakami, rzuca w oczy Kurcewiczom zdradę, dwuznaczną grę. To wyrzuty przez Ukrainę czynione Rpltéj słusznie że siedzi na dwu stołkach, że biła i głaskała nie w porę, że była tylko *hic mulier* jak Kurcewiczowa, nie zaś daleko widzącym mężem.

Więc ryzuń zabija niedawnych swych braci, ginie pod naciskiem dłoni semenów Kurcewiczowa, daremnie chcąca zakląć walkę

bratobójczą, ginie i Wasil,—mógłby ledz w ranach Skrzetuski. To wszystko powiedział i odtworzył Sienkiewicz, bo w te symboliczne sceny Rozłogów zaklął ducha wypadków dziejowych.

Tu powinien wysilić się zmysł twórczy kompozytora, bo w finale IV aktu libreta jest i sielanka, i wróżby nowego Wernyhory-Wasila, i odpowiedź na jego zapytanie: czy w żagwi pożaru i mieczu krwi chciwym ściele się gniazdo nowéj rodziny, zakwita szczęście społeczeństwa?

Więc dziwno, że prof. Tarnowski boleje jak nad zagadką „żal zwłaszcza. a może, i szkoda, że Wasila z *dworem spalili chłopi*" jak krótko pisze Litwos, żal że niezjawia się potém, żal że niewróży w końcu kozakom.

Dziwno, że krytyk tak głęboko napozór widzący, niedojrzał, że Wasil musiał zginąć, bo taki symbol pytania istnieje póty, póki mu stanowcze wypadki odpowiedzi niedadzą. Dał odpowiedź Wasilowi Bohun, dał Ukrainie Jeremi, dało zdziczenie szybkie Chmiela w powieści. Sienkiewicz wyraźnie sam siebie potępił w losie Wasila, potępił część urzędową swéj powieści. Chwalca krakowski niepojął Wasila w Rozłogach, niepojął, że Wasilem Kisiel w Zagłobowéj części powieści *Ogniem i Mieczem*.

Wasila jak Kisiela, Skrzetuskiego i Władysława IV—ich, jak i tylu innych, zabiła czerń chłopska, pożarła kwestya socyalna nierozwiązana. Czém Bohun dla Wasila, tém wzgarda Rusi i Rzplitéj dla Kisiela pośrednika, w scenie insygnij, tém kaźń Wyhowskiego przez Rzplitą, kaźń wykonawcy ugody hadziackiéj, uznanego, jak Kisiel przez obie strony za zdrajcę.

Scena w Rozłogach, to rozdroże w dziejach Rzplitéj. Zapóźno na zbratanie, zapóźno na dzwony weselne, już mieczem i ogniem na łonie matki rozprawiają się dzieci.

Więc w piątym akcie hula żagiew i miecz, orgia czerni na zgliszczach Rozłogów wyje nutami rozpusty i rzezi. Po weselu II aktu, taniec szatanów w V-tym. Cieszy się i Bohun, że zabił współzawodnika, radby ujrzeć jego trupa, nacieszyć się jego śmiercią. Radby i schwycić tę, dla któréj stał się zbrodniarzem, dla któréj lacha zabił, dla któréj zabił swoich.

Wśród zbydlęconych rzezią i użyciem ryzuniów, błądzi Bohun. Szuka wroga, szuka szczęścia. Znajduje pustkę, trupy i zgliszcza. Helena—Ukraina znikła, w ruinie i krwi leży Rzplita—Skrzetuski.

W *Maryi* Wacław został „wygnańcem swych myśli", w *Ogniem i Mieczem* osadził Sienkiewicz Bohuna w *odbudowanych* (sic) Rozłogach,

kędy podobno umarł. „Mówiono, że uśmiech niepowstał na ustach tego szczególnego człowieka...“ „Wojny domowe przeżyły go.....“ Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec“.

Tak zakończył Sienkiewicz nawet całą powieść. My tak kończymy nasze libretto *Rozłogów.* A chcielibyśmy, żeby kompozytor nad rozpaczą Bohuna za późno płaczącego na rozłogach swego szczęścia i Rzplitéj; wzniósł się po szczeblach dziejów do ostatecznéj syntezy. Niech w finale zabrzmi dziki tryumf zemsty i gorzkie jéj smaki. Niech temat pierwszego aktu: „idzie dzień sądu przez dzikie pola“ (I 22), zagłuszy temat Wasila z IV-go ewangieliczny: „a wy zali.... “; niech pieśń Bohuna zdławi pieśń Skrzetuskiego i Heleny, a nad tém wszystkiém niech zagóruje nowa myśl muzyczna.

Z orgii tonów niech się wyłoni marsz pogrzebowy, w którym musi być miejsce na melodye wszystkich narodów, niosących całun śmiertelny Rzplitéj. To odpowiedź na niemożebne odbudowanie Rozłogów i smutki Bohuna spóźnione, na *Ogniem i Mieczem* Jeremiego.

Taki koniec dla libreta snuje się z ostatnich kart powieści. Jeżeli zaczerpniemy dla niego wątku z końca I tomu, wypadnie usunąć Skrzetuskiego z Rozłogów przed przybyciem Bohuna, usunąć więc zbiorowy śpiew ich, Heleny, Kurcewiczowéj i Wasila na tle chóru ryzuniów. Natomiast w akcie piątym wystąpi Zagłoba-pasożyt, ratujący Helenę. A Helena opuści Wasila, niezakłopocze się o niego, ku zgorszeniu Chmielowskiego, bo w dziejach—pośredników jak Kisiel, Wyhowski zabili na duchu lub ciele najbliźsi, opuścili najserdeczniejsi.

Za Heleną pobiegnie w tym nowym piątym akcie Bohun; na zgliszcza przybędzie Skrzetuski, o niczém niewiedzący. Tonów na jego lament i rozpacz dopatrzy się kompozytor w powieści. Z jękiem tenora złączy się *Bogu rodzica* nadciągających towarzyszy, husarzy czy pancernych, mścicieli Jaremowych.

Nad zdrętwiałym z bólu stanie *ksiądz* Muchowiecki. Zbudzą Skrzetuskiego do życia słowa „stań się wola Twoja“ (I, str. 387), które ów kapelan wyrzecze i zbudzi się Skrzetuski zrezygnowanym na klęski, z boleścią w sercu, ale wierny obowiązkowi. I z *Bogu rodzicą* skontrapunktuje się nowy temat Skrzetuskiego:

Robię, co powinienem; dziej się, co Bóg chce.

Tém hasłem żegnamy naszych, jeszcze tylko czytelników.

Ernest Sulimczyk Swieżawski.

O ZASTOJU W HANDLU ZBOŻOWYM.

Rok ubiegły zaznaczył się urodzajem w całéj Europie, szczególnie obfity był urodzaj w tych właśnie krajach, które zwykle najwięcéj sprowadzały pszenicy jak: w Anglii, Francyi, Włoszech i Niemczech; Ameryka też miała niepospolicie piękne zbiory—spowodowało to znacznie mniejsze zapotrzebowanie zboża i osłabiło w wysokim stopniu ruch w obrotach handlowych; ogromne zaś masy pszenicy nagromadzone w spichrzach amerykańskich, na każde skinienie gotowe do wysłania w najodleglejsze punkta kuli ziemskiéj, ciążą wszędzie na cenach, obniżają je i wywołują przerażenie u wszystkich rolników europejskich, dla których konkurencya amerykańska stała się zmorą nie dającą im spokoju, bo nie widzą środka jak się od niéj obronić.

Środka takiego i my nie znaleźliśmy dotąd, a jeżeli odważamy się zabierać głos w téj materyi to dla tego, żeby trochę dokładniéj zarysować potęgę produkcyjną i handlową kolosu amerykańskiego, wskazać zkąd się ona wzięła a wysłuchawszy rad podawanych przez naszych krajowych gospodarzy i publicystów, bliżéj oznaczyć drogi na których, zdaniem naszym, ratunku czy zabezpieczenia szukać by można i należało.

W roku 1883 zbiory w kraju naszym, szczególnie pszenicy, były bardzo niepomyślne i mało co do sprzedania mieli rolnicy, a jednakże nie było ani tak ogólnego narzekania, ani nadewszystko takiego przerażenia jak obecnie. Bo też łatwiéj znieść cierpliwie klęskę nieurodzaju, aniżeli pogodzić się z faktem niemożności spieniężenia zapasów nagromadzonych w stodołach. Zadanie więc polega na tém w jaki sposób zboże ze stodół, dostarczyć na rynki w formie najpokupniejszéj i w czasie kiedy go najkorzystniéj sprzedać można.

Kiedy w całej Rosyi pobudowano długie linie kolei żelaznych, w latach między 1866 a 1876, zboże rosyjskie odegrywało najważniejszą rolę na rynkach europejskich, a ceny pszenicy w Anglii i Francyi zależały od urodzajów na czarnéj ziemi ukrainy i kraju nadwołżańskiego. W roku 1876 dowóz pszenicy z Ameryki do Anglii już przewyższa dowozy z Rosyi, a kiedy ostatnia wojna wschodnia zamknęła porty morza czarnego, amerykanie korzystając z okoliczności coraz to więcéj zboża i mąki wysyłali do Europy, tak że po zawartym pokoju, kiedy handel czarnomorski na nowo się ruszać zaczął, znalazł już prawie wszystkie dawniejsze swoje ujścia zajęte przez niebezpiecznego bo bardzo obrotnego konkurenta. Odtąd tylko rok 1881 z powodu ogólnego nieurodzaju w Ameryce był dla producentów europejskich pomyślnym, w 1882 i 83 jeszcze rolnicy u nas nie czuli tych wpływów, ale kupcy już ponieśli znaczne straty, a w roku ubiegłym, chcąc uniknąć strat dalszych, musieli się stosować do wskazówek jakie im dawały obroty handlu międzynarodowego i niechcą obecnie kupować jak tylko ziarno gotowe i dostawione na stacye w terminie najbliższym. Nowa ta metoda wręcz przeciwna nawyknieniom naszych rolników i odwiecznemu obyczajowi naszego handlu zbożowego, wywołuje ową niemożność sprzedania zboża, na którą się wszyscy skarżą. Bo cena tegoroczna, jakkolwiek niewysoka niebyłaby jeszcze sama przez się rujnującą, byleby kupców znaleść było można.

Konkurencya amerykańska, któréj ciężar poczuliśmy dzisiaj tak dotkliwie, od lat blisko dziesięciu trwoży rolników na zachodzie Europy w Niemczech, we Francyi, w Anglii nawet starają się od niéj bronić. Cła na zboże nałożone w Niemczech i Francyi nie przeciwko nam, lecz przeciw Amerykanom było wymierzone, nas dotknęły one tylko odmachem; u Niemców, uczeni ekonomiści proponują nawet środki prawodawcze, któreby, ograniczając prawo własności ziemskiéj, dały zarazem możność rozciągnienia po nad nią opieki całéj siły społecznéj i nie dozwoliły jéj wpaść pod bezwarunkowe panowanie kapitału ruchomego (1).

Praktyczniejsi fermerowie angielscy już w licznych gromadach sami wynoszą się do Ameryki, wolą tam na miejscu produko-

---

(1) Lorenz v. Stein.—Die drei Fragen des Grundbesitzes. Stuttgart. 1881.—Dowodzi potrzeby ograniczeń w wolnym prawie sprzedaży ziemi, zadłużania jéj i wydzierżawiania, a to dla skutecznéj obrony interesu całego społeczeństwa w obec przewagi, jakiéj, przy panowaniu prawa wolnéj umowy, kapitał pieniężny nabiera nad własnością ziemską i zanikania, pod wpływem téj przewagi, żywiołów zachowawczych w społeczeństwach europejskich. W kilku prowincyach pruskich, już dozwolono zapisywania majątków w regestra własności niepodzielnych.

wać pszenicę tanio i sprzedawać ją korzystnie aniżeli wytrzymywać w Anglii nacisk tego współzawodnictwa. Chociaż więc może dzisiaj, wskutek ogólnie dobrego urodzaju, konkurencya amerykańska jest groźniejszą niż kiedy, jednakże nie jest to żadna klęska czasowa, przemijająca, owszem jest ona faktem stałym, działającym zupełnie normalnie i odtąd każdy gospodarz musi ją przyjmować w rachubę przy układaniu swoich planów, liczyć się z nią obowiązany rolnik rozważny, chociażby uprawiał ziemię w najdaléj posuniętym na wschód zakątku.

Kiedy po skończonéj wojnie domowéj w latach 1884 i 85 w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj ożywił się na nowo ruch handlowy i przemysłowy, rzucono się z niezwykłym zapałem do budowania kolei żelaznych; spekulanci prześcigając jedni drugich w projektach, wpadli na myśl zbudowania kolei w poprzek lądu całego od Atlantyku do Oceanu spokojnego. Podziwialiśmy wtedy ich odwagę, podziwialiśmy wielkość przedsięwzięcia i szybkie jego wykonanie, nie przeczuwając że zuchwała przedsiębiorczość amerykańska, z czasem tak ciężko odbije się na naszych interesach, zmusi nas do głębokich medytacyj nad reformowaniem systematu naszych gospodarstw, że jak ostre cięcie zbudzi nas i każe nam rozpatrywać się w niedostatkach i brakach naszych społeczno-ekonomicznych zwyczajów i urządzeń. A jednak tak się stało.

Kolej międzyoceanowa przecięła żyzne stepy i łąki dalekiego zachodu; gdy ją zbudowano tłumy kolonistów ruszyły się ku tym ziemiom urodzajnym: corocznie zakładano niezliczoną liczbę ferm, od wielkiéj linii kolei budowano coraz to nowe rozgałęzienia we wszystkie strony i w ciągu lat kilkunastu uprawa pszenicy posunęła się o 400 mil ang. daléj na zachód, uprawa kukurydzy o mil 250. W roku 1871 przestrzeń zajęta pod uprawę pszenicy w Stanach Zjednoczonych wynosiła 20 milionów akrów, w r. 1881 zaś zajęła ona 37 mil. akrów; przestrzeń zajęta pod uprawę kukurydzy z 34 m. akr. w r. 1871 wzrosła w r. 1881 do 64 m. akrów (1). To téż kiedy około roku 1850 z portów Ameryki półn. wywożono nie więcéj jak 5 miljonów hektolitrów pszenicy w r. 1883 wywieziono jéj nie mniéj jak 100 mil. hektl. (2). Te przestrzenie olbrzymie zajęte pod uprawę nie będą zapuszczone, owszem muszą one się zwiększać przynajmniéj czas jakiś, bo jeszcze nie wszystkie grunta są obrabiane.

Masy pszenicy nie odrazu mogły trafić z doliny Missisipi na rynki Europejskie, samo uruchomienie takich ilości towaru ciężkiego wy-

---

(1) Akr angielski=0,4 hektara=0,72 morga polsk.

(2) Hektolitr=25 garncom polskim.

magało też czegoś więcéj niż pospolitych środków przewozowych i nie małych udoskonaleń w stosunkach handlowych; amerykanie podołali temu zadaniu.

W ciągu ostatnich lat dziesięciu wybudowano tam bliske 70 tys. mil. ang. nowych kolei żelaznych, pogłębiono kanały stare, przekopano nowe, oczyszcza się ujście Missisipi w celu umożebnienia przewozu zboża z odległych punktów lądu wprost zamorze, bez przeładowywania w porcie na inne statki. Ułatwiło to przewóz ciężarów drogą lądową i wodną, a ułatwiło do tego stopnia, że dostawa hektolitra pszenicy z Chicago do New-Yorku (około 700 mil ang.), która w r. 1868 kosztowała koleją 115 centów, a kanałami 68 c., w r. 1882 wynosiła już tylko koleją 38 c. a kanałami 25 c. (1) koszt przewozu pszenicy przez ocean, na bardzo dużych statkach parowych, przy silnéj konkurencyi pomiędzy kilku przedsiębiorstwami, zmniejsza się ciągle, w r. 1883 można już było obliczać go na 4 do 5 marek (2) za hektolitr na całéj przestrzeni od Chicago do Liverpoolu lub Havru. Statystycy obliczają w przybliżeniu koszta produkcyi hektolitra pszenicy na fermach zachodniéj Ameryki, z dostawą do punktów zbornych handlowych na 7 do 8 marek, wypada więc z tego, że pszenica wyhodowana gdzieś nad brzegami rzek Arkansas lub Czerwonéj, w portach Anglii lub Francyi mogła być przedawaną bez straty w końcu r. 1882 po 14—16 marek za hektolitr (co znaczy 8½ do 9 r. za korzec licząc wedle kursu dzisiejszego). W r. 1880 płacono w Londynie 50 szyl. za kwarter (11 r. za korzec kurs dzisiejszy). W r. 1884 téj ceny w Londynie wziąść nie można było, a notowania 34—36 shl. a nawet 32 shl. za kwarter (3) już i dla amerykańskiéj pszenicy są niekorzystne.

Do osiągnięcia taniości produkcyi przyczynia się w Ameryce najprzód niska cena ziemi, oddzielne jéj udziały po 160 akrów (około 130 morgów pls.) koloniści nabywają za 10 dolarów. Wedle obliczeń Rudolfa Mayera, przesiadującego od lat kilku w Ameryce i zajmującego się pilnie badaniem warunków tamecznéj produkcyi rolniczéj, rodzina posiadająca kapitał 120 f. str. (1200 r. wedle kursu obecnego) może się już tam osiedlać korzystnie. Roboty wszelkie koloniści wykonywują sami donajmując robotnika tylko na żniwa, podatki płacą tylko na miejscowe potrzeby gminy, które są tak małe że w porównaniu z Europejskiemi mogą być uważane za nic; długów nie mają, a nawet mieć nie mogą, bo prawo niedopuszcza zaj-

---

(1) Cent amerykański=1,25 kop. (2) Marka=30,87 kop. (3) Kwarter=8 buszlou.=2¾ korcy.

mowania za długi działów 160 akrowych ani zabudowań na nich wzniesionych, więc posługują się tylko kredytem osobistym. Dla takiego rolnika pracującego kapitałem własnym i własnemi rękami cały dochód jest dochodem czystym. Jeżeli po kilku latach pracy połowę gruntu swego (80 akr.) będzie mógł zasiewać pszenicą, a produktów z drugiéj połowy użyje na opędzenie potrzeb własnych i przekarmienie inwentarza; będzie zbierał z każdego akra 20 buszli (1) pszenicy, cena 1 shilinga (2) za buszel (około 175 kop. za korzec wedle kursu dzisiejszego) będzie dla niego korzystną, dochód albowiem jego wyniesie 80 f. str., co jeżelibyśmy kapitał potrzebny do założenia fermy przyjęli nawet znacznie wyższy np. 300 f. str. przyniesie mu jeszcze więcéj niż 25%. Któryż z rolników europejskich może marzyć o podobnych dochodach.

Pszenica wymłócona i oczyszczona na fermie, ztamtąd odwożoną bywa do przystani rzeki lub kanału albo na stacyą kolei żel., stacye i przystanie nie są zbyt odległe, bo już o 5 mil ang. od kolei grunta sprzedają się za połowę ceny (5 dol. za 160 akrów) a grunta najbliższe, zachwycone przez spekulantów, można jeszcze od nich kupować po 1 doll. za akr., przytém linje kolei szczególnie dowozowych rozgałęziają się ciągle z niepospolitą szybkością. Koleją pszenica lub kukurydza odwozi się do jednego z punktów zbornych handlu zbożowego, jest ich bardzo dużo, a znaczniejsze ugrupowały się w okolicy wielkich jezior północnych i przy kanałach, siedm miast żyje przeważnie z tego handlu przewozowego, mianowicie: Toledo, St. Louis, Milwaukee, Peoria, Detroit, Duluth i największe ze wszystkich Chicago. W miastach tych pobudowano spichlerze-elewatory,—które obecnie w Chicago np. pomieścić mogą do 25 miljonów buszli (7 mil. korcy). Do spichrzów takich wjeżdżają wagony, zboże wysypane z nich natychmiast ważą i gatunkują agenci przysięgli i wydają właścicielom *warranty* tj. świadectwa o ilości na wagę i o gatunku przyjętego na skład ziarna (3). Dostając warrant właściciel zboża pozbywa się wszelkiego z nim dalszego kłopotu, staje się posiadaczem nie już swego ziarna ale pewnéj ilości określonego gatunku towaru, na którą to ilość posiada dokument i ten tytuł własności służy mu do dalszych tranzakcyj sprzedaje go lub zastawia wedle potrzeby, a bankierowie miejscowi chętnie awansują na warranty do

---

(1) Buszel=9,08 garcy pol. (2) Shilling=28,78 kop.

(3) Urządzenie maszynowe windowania, szuflowania, przenoszenia na statki zniża koszta tych robót do minimum. W New-Yorku np. za wyładowanie z wagonu, zważenie, gatunkowanie, 10 dni składowego i naładowanie na okręt pobierają $1\frac{1}{2}$ centa od buszla (5 kop. od korca).

80 i 90% ceny targowéj zboża, za bieżący procent zwykłego dyskonta. Z punktów zbornych zboże odprawia się do portów, na wagony tu naładowane wydają się znowu inne świadectwa (trough lading bills), które w ręku kupców są papierem wartościowym, bywają sprzedawane i chętnie poszukiwane przez bankierów dyskontujących je. W miastach portowych: New-Yorku, Filadelfii, Baltimorze, Bostonie, New - Orleanie zboże trafia znowu do elewatorów, skąd ładuje się na okręta i wysyła za ocean.

Wszystkie te urządzenia zorganizowała i w ruch puściła przedsiębiorczość prywatna, dzisiaj są one doprowadzone do stopnia sprawności, który nam wydawać się może marzeniem niedościgłym, ale nad którego ciągłym ulepszaniem i doskonaleniem amerykanie nie przestają pracować; zapewne téż jeszcze wpadną na pomysły nowych udogodnień, które koszta manipulacyi handlowych daléj redukować będą. Wszystkie te tak sztucznie i subtelnie pokombinowane sposoby i środki nie dały się urządzić łatwo, nie odrazu trafiono na drogi właściwe; statystycy europejscy, opisując to wszystko z uwielbieniem niemal, nie odważają się obliczać strat przy tych robotach poniesionych. Gorączka spekulacyjna była bodźcem, pędzącym do budowania coraz to nowych kolei żelaznych, kopania kanałów, wznoszenia budowli olbrzymich (1), budowania statków, biorących już obecnie po 40 tysięcy korcy zboża. Nikt nie wie ile było przy tém prób nieudanych, ile tysięcy ludzi zrujnowało się zupełnie, ile dziesiątków, a nawet setek milionów dolarów poszło na marne; ale czystéj krwi *Jankee* niedba o to, tam gdzie bankructwo kilkakrotne, a dorobienie się fortuny nakońcu jest zjawiskiem codziennném, podobne przejścia nie odstraszają nikogo; przecież ktoś nakoniec trafi na drogę właściwą, ktoś będzie tryumfował i zarobi miliony, każdy więc sobie powiada: czemuż-bym ja nie miał być tym szczęśliwym. Dosięgają więc w końcu swego. Do téj działalności prywatnéj rząd unii ze swojéj strony dodaje zbierane z wielkim kosztem bieżące wiadomości statystyczne. *Agricultural departament* w Waszyngtonie mianuje dla każdego oddzielnego Stanu swego agenta statystycznego, taki agent stoi na czele całéj grupy biegłych rachmistrzów, rozrzuconych po różnych miejscowościach, oni to przesyłają jemu zbierane przez siebie wiadomości, nie za rok przeszły, ale wiadomości bieżące: o przestrzeniach gruntu zajętych pod

(1) W Filadelfii np. zbudowano jeden spichrz, w którym zmieścić można 900.000 buszli (więcéj 250.000 korcy) w ciągu jednéj godziny wyładowują tam 24 wagony i ładują na okręt 25.000 buszli. W New - Yorku w ciągu jednego dnia można wyładować z wagonów i naładować na okręta 300.000 buszli (85.000 korcy).

uprawę i pod wysiew każdego gatunku zboża, o stanie zasiewów, kosztach uprawy, ilości zbiorów, o cenach na targach, o zapasach w składach, o ilościach sprzedanych na miejscu lub wysyłanych za morze. Wiadomości te skupiają się w każdym Stanie w biurze agenta, porządkują się tam, systematyzują i przesyłają do Waszyngtonu do Departamentu Rolnego, który co miesiąc ogłasza swoje biuletyny; kupcy więc, a nawet gospodarze, zawsze dokładnie informowani, działać mogą z pełną świadomością. Do tego jeszcze dodać należy, że w Londynie, przy jeneralnym konsulacie amerykańskim, urządzono biuro osobne, które zbiera porównawcze daty statystyki rolnéj z całéj Europy.

Z takim to olbrzymem muszą walczyć rolnicy europejscy, a w ich liczbie i nasi. Ale rzeczy jeszcze gorzéj dla nich stanąć mogą; mówiliśmy dotąd o Stanach Zjednoczonych, w téj saméj jednak Ameryce północnéj, w Kanadzie, buduje się kolej międzyoceanowa i zaczynają się kolonizować stepy zachodnie, w tych samych prawie warunkach i z zaprowadzeniem podobnych urządzeń. W Kanadzie przestrzeń ziemi niezajętéj dotąd, a zdatnéj pod uprawę pszenicy, obliczają na *500 milionów hektarów*, w szerokości geograficznéj odpowiadającéj naszéj strefie, a więc i naszemu klimatowi. W Ameryce południowéj, w całéj dolinie La Platy, szerzy się uprawa pszenicy, z Indij Wschodnich, z Australii ofiarują już dzisiaj rynkom europejskim miliony cetnarów pszenicy; chociaż w tych częściach świata uprawa znacznie droższa, przewóz ztamtąd dalszy, jednakże i tam panuje i pracuje rasa Anglo-Saska, która z czasem potrafi zwalczyć te trudności. Co więcéj na półkuli południowéj żniwa odbywają się w Styczniu i w Lutym, zatém zbiory tameczne ciążyć muszą na nasze ceny wiosenne, któreśmy za niechybnie wyższe przywykli uważać.

Przed laty trzydziestu jeszcze krążyło po Europie opowiadanie jakoby Rotszyld miał się wyrazić: że ziemia jest pewną lokatą kapitału, niedającą jednak procentu, na odwrót papiery publiczne dają pewny procent, ale kapitał w nich wcale niepewny. Znaczyło to już wówczas, że cena ziemi tak wysoka, iż procentu odpowiedniego nie można z niéj wydostać. Dzisiaj powiadają, że cena ziemi spada, ale cokolwiekbądź można w téj materyi twierdzić lub dowodzić, zawsze właściciele ziemscy w Europie, i to zarówno więksi jak i mali, znajdują się w położeniu bez porównania mniéj korzystném niż amerykańscy. W Europie każdy właściciel musi dźwigać ogromny ciężar podatków, a prawie każdy, jeszcze większe brzemię długów hipotecznych. Długi obciążające ziemię powstają i mnożą się często

bez winy samego właściciela. Wedle dokładnéj analizy prof. wiedeńskiego Lorenza Steina początkiem ich jest: niedopłacona przy kupnie część wartości zapisana na hipotece; daléj w drugim pokoleniu przybywa dług, powstały z działów familijnych; potém nastaje potrzeba melioracii, właściciel powodowany nadzieją, że się one prędko opłacą, zaciąga na ten cel pożyczkę, która z czasem przechodzi także na hipotekę; oprócz tego bieżące rozchody gospodarstwa często zmuszają do zaciągania długów wekslowych, a że te nie zawsze w ciągu roku mogą być opłacone, więc i one przechodzą nie raz na hipotekę. Właściciel obciążony w ten sposób posiada już tylko tytuł własności, sam pracuje na gospodarstwie w warunkach, w których za szczęśliwego się uważa, jeżeli praca opłaci mu się, dając środki do przeżycia z rodziną, wszystko zaś co by mogło być dochodem czystym, idzie na spłacanie procentów i samego kapitału; więc panujące niegdyś w społeczeństwach europejskich stanowisko właściciela ziemskiego, schodzi obecnie na stopień podrzędny człowieka zależnego od kapitalisty. Z tą nową pozycyą, którą okoliczności wytwarzają właścicielom ziemskim, oni jednak godzić się nie chcą; wielu zapewne jest takich, którzy pracą rozumną i przemyślną usiłują i nieraz potrafią wydobyć się z pod panowania kapitału, ale również wielu bardzo, przywiązuje się do zewnętrznych pozorów panowania, sądząc, że stosunki społeczne w przebiegu dziejowym wysunęły jego, jako właściciela, na stanowisko, które go obowiązuje do życia na szerszą skalę i do większych wydatków; trzyma się więc téj dekoracyi życia jako istotnéj cechy swego znaczenia społecznego. Dla tego to utrzymanie siebie i rodziny jest bardzo kosztowne dla właścicieli większych w całéj Europie i rzadko bardzo wystarczają na nie dochody; czy fakt ten nazwiemy z moralistami próżnością, czy dumą szlachetną wedle realistycznych filozofów, zawsze jednak bardzo niewielu znajdziemy takich, którzy-by się decydowali zejść ze stopy, na jakiéj życie rozpoczęli, bo słusznie czy nie, ale uważali-by to za pewien rodzaj sprzeniewierzenia się tradycyi i obyczajowi krajowemu. Fermer amerykański nie ma tradycyi, która-by go obowiązywała do wydatków, a żyjąc wśród stepów o bardzo rzadkiem jeszcze zaludnieniu, rzeczywiście nie jest narażony na rozchody z powodu stosunków z ludźmi, za ziemię płaci tanio, nie ma długów i nie płaci podatków.

W obec tych trudności rolnicy na zachodzie Europy, chcą chwytać się środka najłatwiejszego w zastosowaniu wedle ich przekonania i domagają się podwyższenia cła na zboże przywożone z zagranicy; spotykają tutaj opozycyą miast i kapitalistów, którzy w imieniu ludności fabrycznéj i miejskiéj bronią się od sztucznego podwyż-

szenia ceny chleba. Zboża do nas jeszcze nie przywożą z za granicy, nie potrzebujemy więc zastanawiać się nad tą kwestyą, chociaż teoretycznie nawet jest ona bardzo ważna i ciekawa, łączy się bowiem z panującym obecnie w Europie całéj silnym prądem protekcyjnym, ale bodaj czy nie stanie się tylko punktem zwrotnym dla tego kierunku. U nas też rolnicy i publicyści pisali już nie raz o konkurencyi amerykańskiéj, każdy podawał rady jakie mu się zdały najlepsze: uproszczenie stosunków handlowych przez usuwanie pośredników, urządzenia kredytowe, zmiany w systemacie gospodarowania, zjazdy i narady gospodarzy, towarzystwa rolnicze. Każda z tych rad z osobna wzięta może być korzystną dla wielu rolników, jeżeli by wszystkie przeprowadzić się dały, niewątpliwie oddziałać by to mogło na stan rolnictwa w całym kraju, ale w naszém położeniu wszystkie środki ogólniejsze tak mało od nas zależą, że sympatyzując gorąco z każdym, ktoby się podjął inicyatywy w tym kierunku, radzilibyśmy ze swéj strony czynniéj brać się do rzeczy zależących wyłącznie od samych rolników.

Co do kredytu, który dla wielu wydaje się ogólnym środkiem uzdrawiającym wszelką niemoc gospodarską, nadmienić tylko musimy, że nie możemy wierzyć w cudowną jego skuteczność; wszakże już dzisiaj długi są najdolęgliwszą stroną życia rolników; a jeżelibyśmy nawet kredyt zorganizowali o wiele lepiéj, zawsze on będzie tylko ułatwieniem obrotu, a nie wytworzy materyału do sprzedaży lub kupna, nie wywoła potrzebowania tam gdzie go niema; kredyt dużo pomaga człowiekowi w jego pracy, ale nie doda mu staranności i zabiegliwości, a właśnie o niedostatek tych dwóch przymiotów znawcy skarżą naszych gospodarzy.

O ulepszeniach technicznych w gospodarstwie dzisiaj rezonować byłoby przedwczesném; w obec pytań rozesłanych przez prezesa tutejszego oddziału towarzystwa popierania handlu i przemysłu, mamy prawo mieć nadzieję, że w ciągu zimy nagromadzi się materyał dostateczny do ocenienia względnéj wartości produkowania rozmaitego rodzaju zboża czy innych wytworów roślinnych lub zwierzęcych, a wtedy można będzie się oprzeć na materyale faktycznym. My ze swego stanowiska wypowiedzieć możemy tylko zdanie, któremu słuszności nikt zapewne nie zaprzeczy, mianowicie: że nauka gospodarstwa fachowego, racyonalnego prowadzi do obniżenia kosztów produkcyi, ale producent inteligentny będzie się zawsze kierował cenami rynku.

W téj kwestyi kierowania się cenami rynku radzibyśmy zwrócić uwagę wszystkich gospodarzy na kilka wyjaśnień arcy-praktycznych, podanych przez p. B. Wernera w „gazecie Handlowéj"

(Nr. Nr. 251, 258, 264 z r. 1884). Doradza on nie tyle myśléć o zmianie systematu gospodarstwa, która bez wielkich kosztów przeprowadzić się nie da, ile raczéj zwrócić uwagę na ulepszenie gatunku zboża dzisiaj uprawianego, na doprowadzenie roli do tego stopnia, żeby tam gdzie ona daje ziarn 7 dawała 10, a wtedy amerykańska nawałnica mniéj dla nas będzie niebezpieczną. Nie koniecznie trzymać się pszenicy, bo jęczmień w dobrym gatunku na rynkach niemieckich płaci się prawie tyle co pszenica; ale Niemcy kupują nasz jęczmień tylko na paszę dla bydła, nasi zaś piwowarzy sprowadzają nieraz jęczmień z Czech W Gdansku nasz jęczmień płacono w roku zeszłym po 90—115 mar., w Hamburgu nasz najwyższych gatunków 140 — 150 mar., kiedy za morawski i czeski dawano 200 — 215 mar. W Hamburgu w r. z. dobry owies był w cenie równéj z pszenicą amerykańską. Wypadało-by z tego, że ktoby miał do sprzedania dużą partyą owsa w dobrym gatunku, temu nie straszną była-by pszenica amerykańska, a oprócz tego mógł-by rok cały czeladź swoją karmić chlebem pszennym, a inwentarz mąką żytnią. Wniosek ten może trochę za śmiały wśród dzisiejszych stosunków u nas, wskazuje jednak na jakiéj drodze łatwiéj będzie gospodarzom naszym bronić się od spółzawodnictwa Ameryki.

Przepełnienie pszenicą wszystkich rynków świata, wskutek urodzaju zeszłorocznego, nie będzie i być nie może faktem stale się powtarzającym: bo urodzaj tak obfity co roku zdarzać się nie może, bo rolnicy amerykańscy sami niezawodnie zmniejszą wysiewy pszenicy, widząc zniżającą się jéj cenę, bo nakoniec potrzebowanie jéj co roku wzrastać będzie, zarówno wskutek mnożenia się ludności, jak i spożywania chleba pszennego, w coraz to większych, stosunkowo do ludności, proporcyach.

Przed stu laty Turgot obliczał, że w handlu między-narodowym obracało się około 7 milionów *septiers* zboża, co równa się 11 mil. hektolitrów, w r. 1882, wedle obliczeń Neumana-Spallarta przewieziono zboża pomiędzy krajami całéj kuli ziemskiéj 260—270 mil. hektr. ziarna i 14 — 15 mil. cetnarów metrycznych mąki, jeżeli-by więc postęp ten szedł daléj w tym samym stosunku, za lat sto handel pochłonął-by niesłychaną cyfrę 7 miliardów hektolitrów zboża, na dostarczenie których składać-by się musiały wszystkie części świata. Anglia sama przedstawia też ciekawe warunki rozwijającego się handlu zbożem. Przed rokiem 1860 ludność Anglii z Irlandyą wynosiła 28 milionów, spożycie pszenicy obliczano tam wtedy przeciętnie po 311 f. ang. na głowę rocznie, pod uprawę pszenicy zajęto było 4 mil. akrów, cena jéj utrzymywała się koło 50 shil. za kwartar

(2¼ korce), przywożono do Anglii pszenicy na sumę 75 m. f. str. Obecnie ludność Anglii wzrosła do 35 mil. w ciągu ostatnich lat pięciu zużywano pszenicy przeciętnie po 360 funtów na głowę, przestrzeń zajęta pod jéj uprawę zmniejszyła się do 3 m. akrów, cena jéj zniżyła się w r. 1883 do 40 sh., przywożą zaś jéj na sumę około 190 mil. f. str. W tym obrocie handlu międzynarodowego, przy wzrastających ciągle masach ziarna, potrzebnych w rozmaitych krajach, znajdzie się miejsce i na naszą pszenicę byle-by była wyprodukowana i oczyszczona starannie i we właściwéj porze spożywcom dostarczona.

Właściwa pora dostawy na rynek międzynarodowy, to bodaj punkt najważniejszy w walce konkurencyjnéj, ale dla nas na tém polu zwycięstwo, bodaj téż nadewszystko trudne. Nie łatwo spodziewać się żeby gospodarze nasi potrafili pszenicę wymłócić, oczyścić i dostawić na kolej w październiku lub listopadzie, a w takim tylko razie mogli-by mieć nadzieję ubiedz amerykanów na rynku londyńskim lub hamburskim; ale ani przyrządy mechaniczne w gospodarstwach naszych, ani stan dróg, nie pozwalają oczekiwać, żeby rychło tak dziać się mogło; zresztą brak składów handlowych nie pozwala jeszcze skupiać wielkich ilości zboża w dogodnych punktach, anł załatwiać się z ich prędkim uruchomieniem.

Okoliczności te doprowadzają nas do innych jeszcze wpływów konkurencii amerykańskiéj, do oddziaływania jéj na nasze zwyczaje handlowe, w tym punkcie zdaje się nam, że ona najboleśniéj nas dotyka. Jakeśmy o tém wspominali nie niska cena, ale zupełny brak kupujących, naraża obecnie na wielkie niebezpieczeństwo interesa rolników.

Wedle odwiecznego zwyczaju w kraju naszym rolnicy sprzedawali, a przynajmniéj starali się sprzedać prawie całą na sprzedaż przeznaczoną ilość zboża w jednéj partyi i taki tylko interes za korzystny i dogodny uważali i dzisiaj uważają. Umowy o sprzedaż zawierane były najczęściéj w późnéj jesieni, kiedy już część zboża wymłócona i można dokładnie zdać sobie sprawę z ilości i gatunku ziarna, jakiém kto rozporządzać może. Cenę przy tych umowach albo oznaczono stale, albo godzono się na cenę, jaka będzie np. na Nowy Rok w Warszawie; zboże odstawić zobowiązywano się w pewnych terminach, ale partye kompletowały się dopiero w marcu lub kwietniu nawet, zdążając do przystani na otwarcie spławu, albo do kolei, korzystając z ostatnich dni lepszéj drogi przed wiosennemi roztopami. Kupcy dawali w jesieni przy zawarciu umowy grube zadatki, a ostateczny rozrachunek robił się na wiosnę. Do tego oby-

czaju krajowego przystosowały się wszystkie porządki gospodarskie i wedle niego regulowały się interesa gospodarza. Ceny wiosenne uważane były przez ogół za wyższe od jesiennych, kupcy też najczęściéj dobrze na tym handlu wychodzili, a gospodarze zamożni często nawet samę sprzedaż do wiosny odkładali.

Szybkość ruchów amerykańska zarówno w gospodarstwie jak w handlu każe nam zmieniać ten obyczaj odwieczny, wyrwać się z kolei po któréj kroczyliśmy spokojnie i bezpiecznie, a ciężko to i bardzo, jak w ogóle każdemu ciężko zmieniać swe przyzwyczajenia i nałogi. Spichlerze w portach amerykańskich już w listopadzie a nawet w październiku napełniają się pszenicą i kukurydzą i handel tam odbywa się tylko na towar gotowy, ceny stosują się do ilości zapasów i nagłości popytu,—sam towar zaś na każde zapotrzebowanie ekspedyowany jest natychmiast w najodleglejsze strony. Wobec tych okoliczności kupcy nasi, przynajmniéj przezorniejsi pomiędzy nimi, znajdują niemożebném dla siebie, robić umowy o zboże któreby odebrać i daléj ekspedyować mogli dopiero w kwietniu, a to tém bardziéj że przed kwietniem odbędą się żniwa na półkuli południowéj i one na cenę wywrą wpływ jakiś, w jesieni jeszcze niewiadomy. Dzisiaj, nawet przy zastoju w handlu, kupcy nasi kupują chętnie towar gotowy, ale chcą go mieć dostawionym na stacye kolei w czasie jaknajprędszym, takiego ziarna gotowego, gospodarze mają ilości bardzo małe i albo niechcą jeszcze ich oddawać, a jeżeli oddają to dostają za nie pieniędzy w ogólnéj sumie znacznie mniéj aniżeli dostawali zwykle w jesieni za sprzedawane całe partye, brak zaś gotówki w gospodarstwie i w interesach wywiera to wrażenie ogólnéj biedy i ogólnego niedostatku pod jakim dzisiaj wszyscy żyjemy.

Natura rzeczy wskazuje więc, że konkurencya amerykańska jakkolwiek groźna, nie jest jednak zabijającą a tylko męczącą, bo zmusza do zmiany zwyczajów i ciągłéj gotowości do walki ze spółzawodnikiem; bardzo to kłopotliwe, nie miłe i ciężkie, ale nie koniecznie grozi zniszczeniem i śmiercią z wycieńczenia. Niebezpieczeństwo jest, ale może być zaliczone do rzędu owych licznych niebezpieczeństw ustawicznie grożących człowiekowi na świecie, od których on jednak broni się skutecznie przezornością swoją i rozumną zabiegliwością około swego dobra i całości swéj osoby i mienia.

Zdarzało się nam słyszéć zdanie ludzi poważnych przypisujące powszechny dzisiaj brak popytu na zboże, nie tyle wpływowi stanu rynków zagranicznych, ile ogólnemu u nas i w Europie zastojowi w przemyśle, zmniejszeniu się zarobków ludności fabrycznéj, ograni-

czającej się w skutek tego w swém spożyciu. Z drugiéj strony fabrykanci i kupcy przypisują swoją biedę zastojowi w handlu zbożowym, brakowi pieniędzy u rolników. Objaśniając te zjawiska jedno drugim wpadlibyśmy w koło błędne, jednakże oddziaływanie wzajemne pomiędzy nimi istnieje niezawodnie, w stopniu bardzo wysokim; wszakże rozwijanie się przemysłu zawsze i wszędzie zwiększa spożycie produktów rolnych.

Niewątpliwie, jednym z najpewniejszych środków postawienia kraju w niezależności od konkurencyi zamorskiéj, byłoby dostarczenie ludności miejscowéj środków spożywania pszenicy krajowéj. Jeżelibyśmy mogli naszą ludność rzemieślniczą, fabryczną i rolniczą doprowadzić do takiego stanu zamożności, żeby bułka pszenna i rosół mięsny nie były dla niéj przysmakiem spożywanym tylko w dni wielkich świąt dorocznych, ale stały się potrzebą życia codziennego, jużby około 10 mil. korcy pszenicy więcéj niż dzisiaj spożywano w granicach samego królestwa polskiego; a że sprawy ludzkie wiążą się z sobą szczególnie w rzeczach dotyczących kultury, taka konsumpcya byłaby możebną tylko przy zupełnie zmienionych warunkach życia robotników, wtedy koszula czysta, surdut porządny, łóżko własne stałyby się téż nieodbitą każdego z nich potrzebą. Pomyślmy sobie, bo liczyć tu już nie można, ile to fabryk mogłoby powstać i utrzymać się w kraju wśród takich okoliczności, obchodząc się zupełnie bez protekcyi cłowéj. Niestety dzisiaj to marzenie tylko, nie w naszéj jest mocy przyoblec go w ciało, ani zresztą jakiekolwiek bądź siły potrafią dokazać tego w prędkim czasie. Jednakże przyczyniać się do tego w pewnym stopniu możemy. Litujemy się nieraz nad nędzą w Paryżu lub Londynie i powiadamy sobie spokojnie że u nas tego niema, ale zapominamy przy tém, że jaskrawe opisy cierpień nędzarzy tamecznych nie stosują się wcale do ogółu ludności robotniczéj, i dla tego właśnie tak silnie biją w oczy tamecznych filantropów, że uwydatnia je wyraźniéj tło ogólne życia porządnego. Otóż to porządkowanie życia zależy w znacznéj części od wpływów moralnych, a wpływ moralny najsilniejszy to wzór i przykład. Człowiek lubi patrzeć w górę, naśladować wyżéj od siebie stojących. Pracowitość i oszczędność mieszczaństwa francuzkiego przesiąkła w najniższe warstwy społeczne; poszanowanie ogniska domowego i upodobanie w życiu wygodném angielskiéj *gentry* i mieszczan przeszły na wyrobnika angielskiego, który nie szczędzi trudu żeby sobie własny *home* urządzić. Czybyśmy nic nie mieli do zreformowania w naszych nałogach i obyczajach w tym kierunku? Czy tak częste u nas przerzucanie się od zbytku do sknerstwa; od zaniedbania porządku w domu do pozornéj wytworności na pokaz

dla ludzi. Czy brak wytrwałości w pracy i w przedsięwzięciach, paroksyzmy gorączkowéj działalności tak łatwo przechodzące w stan apatyi, mogą być dobrą szkołą dla tych co na nas patrzą i starają się nas naśladować? Zdaje się że nie. Nie możemy dokonać rzeczy wielkich, usiłujmyż przynajmniéj robić co jest w naszéj mocy, a podając klasom niższym wzory życia prawidłowo a użytecznie prowadzonego, przyczynimy się niezawodnie do podniesienia ich dobrobytu, do lepszego porządkowania stosunków społecznych, a przez to lepiéj zabezpieczymy nasze własne interesa.

A. Oskierka.

W sprawie

EMISYI LISTÓW METALICZNYCH

PRZEZ TOWARZYSTWO KREDYTOWE ZIEMSKIE.

Przed kilku już laty poruszono u nas sprawę emisyi listów metalicznych przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, powracano do niéj od czasu do czasu, a jak zwykle w tak poważnéj kwestyi, rozmaite objawiały się zdania, dodające bardzo pożądane przyczynki do wyjaśnienia całéj sprawy, nie doprowadziły one jednak do wyczerpującego jéj przedstawienia i rozwiązania. Obecnie rozpoczął się znów ruch na tém polu, wywołany tak działaniem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które zajęcie się tą sprawą specyalnéj poruczyło komisyi, jak zamieszczonym w listopadowym zeszycie „Niwy“ artykułem p. Kłobukowskiego, który stan obecny projektu emisyi metalików umiejętnie i jasno przedstawił, podając *pro i contra* wypowiedziane zdania, wzywając zarazem szersze koła do objawienia swych myśli, których poznanie nie może być i nie jest zapewne obojętném decydującym kołom Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Rzadko bowiem zdarza się społeczeństwu naszemu przystępować do tak poważnego i trudnego zadania, rzadko tylko poruszamy i myślimy o przeprowadzeniu tak zasadniczéj, tak brzemiennéj następstwami reformy, jaką by właśnie była emisya metalików.

Ważność téj kwestyi na tém mianowicie polega, że dotyczy ona nie tylko ograniczonego koła osób wprost interesowanych, dłużników Towarzystwa i jego wierzycieli, ale wiąże się pośrednio z wewnętrznym i zewnętrznym położeniem ekonomiczném całego społeczeństwa. Społeczeństwo więc całe zająć się nią powinno. Rozwój stosunków ekonomicznych, potrzeba nakładów w gospodarstwach, postawiły rolnictwo europejskie w tém położeniu, że ono

dziś—potrzebując kredytu *obrotowego*, na równi z kupiectwem i przemysłem, wymaga obok tego kredytu *zakładowego*, tj. potrzebuje pomocy kapitału, który-by się mu udzielił za pewny stały i niski procent, bez wypowiedzenia na długi szereg lat, w przeciągu których rolnik przypuszcza, że będzie mógł umorzyć pożyczony kapitał, małemi sumami spłacanemi corocznie z czystego dochodu zwiększonego, tak być przynajmniéj powinno, wskutek użycia na melioracye tego pożyczonego *ad hoc* kapitału.

Gdyby wszelkie ciążące dziś na ziemi zobowiązania z tego tylko były powstały powodu, gdyby dla melioracyi tylko istniała hipoteka, już i w tym razie stałość wartości monety byłaby ogromnie ważną dla rolnika, gdyż od wartości zależy ciężar zobowiązań, od niéj zależy suma wytworów, jaką na oprocentowanie i umorzenie długu rolnik będzie musiał oddać w przyszłości. O wieleż ważniejszą jest dla rolnika stałość miernika wartości w razie gdy jest on zobowiązanym, na mocy zapisów czy umowy, do spłaty kapitału nie zużytego produkcyjnie w gospodarstwie, będącego tylko ciężarem na ziemi, uprawnieniem trzeciéj osoby do pewnego kapitału. W pierwszym bowiem wypadku pożyczony kapitał istnieje zawsze w gospodarstwie, ziemia już była własnością gospodarza, kapitał został w nią włożony i ma z niéj być z czasem dopiero przez zwyżkę dochodu na powrót wycofanym, a ponieważ ziemia zwraca włożone w nią wartości, przeto rolnik, mający do spłaty długi melioracyjne, może zasadnie przypuszczać, że ziemia zwróci mu kiedyś powierzoną jéj wartość, może jeszcze w takim razie, względnie spokojnie patrzéć na wahanie się wartości monety, bo gdyby moneta zdrożała, zwiększona przez melioracye ilość i wartość wytworów gospodarstwa dozwoli mu stosunkowo więcéj jéj zebrać; może zniknąć jego zysk, co było celem melioracyi i powodem długu, ale strat znacznych nie będzie.

Zupełnie inaczéj przedstawia się to wahanie rolnikowi mającemu do spłaty długi nie z melioracyi powstałe; musi on z ziemi wydobyć to, czego w nią nie włożył, zobowiązuje się na mocy prawnéj umowy, w oznaczonym przeciągu lat, wyciągnąć z ziemi wartość, któréj ziemia nie otrzymała, w takim wypadku zwyżka wartości monety staje się dla niego zabójczą. Im droższą będzie moneta, tém o nią trudniéj, tém więcéj wytworów trzeba będzie za nią dawać, tém trudniejszém będzie zaspokojenie z dawna ciążących zobowiązań.

Gdybyśmy pomnąc na tę różnicę w położeniu rolników zechcieli zestawić statystykę ciążących na ziemi długów hipotecznych, prawdopodobnie bardzo małą moglibyśmy wykazać liczbę zobowią-

zań, powstałych i zużytych istotnie w celach melioracyjnych, a zobaczylibyśmy, pomijając nawet wszelkie wypadki trwonienia odziedziczonego majątku, zaciąganie długów na podróże lub t. p., gdyż to są czyny lekkomyślne, któremi nie tu miejsce się zajmować, że największa część długów hipotecznych składa się: z sum niespłaconych przy kupnie lub powstałych z działów spadkowych, że długi melioracyjne zaledwo 20% ogólnéj sumy wynoszą, o czém dostatecznie nas może przekonać statystyka rolnicza sąsiednich krajów.

Skoro zaś tak jest, skoro na rolnictwie naszém ciążą ogromne sumy, oznaczone w rublach, tj. w papierowéj przymusowy kurs mającéj, ale nisko-wartościowéj monecie, skoro nowe potrzeby i wymagania zmuszają rolników do zaciągania obecnie dalszych pożyczek, otrzymywanych w rublach papierowych, które kiedyś, w razie podniesienia się wartości rubla kredytowego, rolnictwo nasze ze znaczną stratą oprocentowywać i opłacać będzie musiało, kwestya oznaczenia wartości zobowiązań hipotecznych staje się nader doniosłą, od niéj cała przyszłość i rolników i rolnictwa zależną. A jeżeli wśród innych społeczeństw, będących pod każdym względem w znacznie korzystniejszych warunkach, dolą rolników ogólnie się zajmują, jeżeli tam w obec odczutego dotkliwie przez całą Europę przesilenia rolniczego, dbają o utrzymanie ziemi w ręku osiadłych na niéj zdawna właścicieli, jeżeli tam przechodzenie jéj częste z ręki do ręki, stawanie się przedmiotem hadlu i spekulacyi, za zgubny i szkodliwy dla produkcyi narodowéj i stosunków społecznych objaw uważają i starają się nawet na drodze prawodawczéj przechodzenie własności ziemskiéj z rąk do rąk utrudnić, o ileż więcej myśmy dbać powinni o utrzymanie ziemi w ręku właścicieli krajowców, bo u nas właśnie przemysł i handel znajdują się w pierwocinach rozwoju, a nie łatwo rozrastać się będą mogły, nie mając zapewnionego zbytu, zbyt zaś można znaleść korzystny wśród zamożnego i dbałego o rozwój rodzimego przemysłu krajowego rolnictwa. Żywioł nasz mieszczański niema jeszcze dość nagromadzonych kapitałów, by mógł wypełnić wszystkie powstające wśród naszego obywatelstwa wiejskiego szczerby, zamożnych włościan, którzy-by cząstkami upadającą większą własność wykupywali, także nie mamy jeszcze zbyt dużo, niejednokrotnie więc daje się uczuwać brak popytu na ziemię, niejednokrotnie przychodzą zachodni koloniści i wydzierają łan naszéj ziemi po łanie, dla nas przeto nabiera kwestya ochrony rolnictwa przed nieprzewidzianemi stratami w przyszłości ogromnego znaczenia.

Na nieprzewidziane a wielkie straty byłoby rolnictwo nasze mianowicie wtenczas narażoném, gdyby pieniądz mający kurs praw-

ny, ta miara istniejących i powstających zobowiązań, nagle znacznie i stale zyskał na wartości, jak to się w nader dotkliwy sposób po r. 1873 rolnictwu w cesarstwie niemieckiem dało we znaki. A ponieważ, obecnie przy dość niskim kursie rubla ziemianom naszym daje się silnie uczuwać potrzeba nowéj pożyczki w Tow. Kred., któraby ich uwolniła od nagromadzonych tymczasem na hipotece nie amortyzujących się, drogich i wypowiedzialnych długów prywatnych, ponieważ powołane władze Tow. Kred. doszły do przekonania, że potrzeba nowego kredytu jest istotną, że trzeba przystąpić do wydania nowéj emisyi listów zastawnych, z najgłębszém uznaniem przyjąć należy ten fakt, że naczelne władze Tow. Kred., uwzględniając chwiejność wartości rubla kredytowego, poczęły się namyślać, czyby nie należało wartości udzielonych obecnie ziemianom pożyczek jaką stalszą miarą ocenić. Widzieliśmy jak szalenie kurs rubla chwiał się w przeciągu ostatnich dziesiątków lat, gdzie z 1 tal. spadł na niespełna marek 1,70, i znów się podniósł do m. 2,15; wysokość długów, ciężar oprocentowania i spłaty były więc tylko nominalnie stałe, istotnie były chwiejne i przypadkowe. Chwiejnym może być kurs rubla i w przyszłości, stąd téż koniecznem jest poważne zbadanie sprawy, jaką miarą winniśmy oznaczyć istotną wartość powstających obecnie długoletnich zobowiązań, aby w przyszłości nie powstały ni dla rolników ni dla wierzycieli niezasłużone zyski lub straty bez winy, aby dłużnik właśnie tyle i tylko tyle musiał oddać z czasem, ile dziś dostanie.

Obawa przed przyszłą zwyżką kursu rubla kredytowego, który jak wszelki pieniądz papierowy nie jest sam w sobie wartością, lecz tylko jéj przedstawicielem, doprowadziła do postawienia projektu oparcia nowych listów zast. ziemskich nie już na rublu papierowym, lecz na walucie metalicznéj, złotéj.

Uznając całą doniosłość argumentów przytoczonych na poparcie projektu metalików, uznając niepewność i stąd dla przyszłości wynikającą groźbę, dzieląc ze zwolennikami metalików obawy co do przyszłéj doli naszych ziemian, na sam projekt jednakże zgodzić się nie możemy.

Przystępując do przedstawienia kilku uwag zastrzedz się musimy, że nie jest naszym zamiarem poddanie wyczerpującemu rozbiorowi wszystkich poruszonych w téj sprawie myśli za i przeciw, ale raczéj podniesienie kilku zasadniczych punktów, i wykazanie co przedewszystkiém na względzie mieć należy.

Zwolennikom metalików chodzi o zastąpienie rubla kredytowego stalszym miernikiem wartości, i jako taki proponują złoto. Kwestyi jednakże nie można stawiać czy złoto, czy papier są stalszą

miarą wartości, gdyż tu niemożebną jest nawet wątpliwość i nie chodzi tu o teoretyczne wywody, ale należy postawić zagadnienie: *czy z obecnych stosunków monetarnych całego świata wnosić należy*, *że* w przeciągu lat amortyzacyi długów powstałych przy niskim kursie naszéj waluty, *wartość rubli kredytowych mniej będzie stałą*, *niż wartość złota*. Absolutnie stałą nie będzie z nich żadna, o to więc tylko chodzi, abyśmy za miernik powstających zobowiązań to uznali, co ma względnie większe widoki na stałą wartość w przyszłości.

Chwiejność zaś kursu rubla kredytowego o tyle może się stać dla rolników niebezpieczną, o ile się na zwyżkę zanosi, gdyż natenczas będą rolnicy za swe wytwory mniéj dostawać owéj podrożałéj monety, zobowiązania zaś oprocentowywać i spłacać będą musieli nominalnie równą jéj sumą, przedstawiającą jednak znacznie większą wartość. Dochód ich zmniejszy się a rozchód na zaspokojenie zobowiązań hipotecznych tem uciążliwszym się stanie. Sądząc z obecnych stosunków i międzynarodowych i wewnętrznych państwa rosyjskiego można przypuszczać, że istotnie kurs rubla papierowego pójdzie w górę, że on zdrożeje, a tego właśnie obawiają się, przedtém chcą rolnictwo ochronić zwolennicy metalików.

Zwyżka ta jednakże nie ma przed sobą zbyt wielkiego pola, w żadnym razie nie może ona dojść do 20% lub 30%, podczas gdy wartość szlachetnych kruszczów i monety z nich bitéj nie raz większą chwiejność wykazywała. Podstawą i granicą wartości rubla kredytowego jest dane przez rząd przyrzeczenie, że on z czasem wykupi wydane przez siebie ruble kredytowe metalem, dając za rubla 17,9961 gramów czyst. srebra, przyrzeczono nawet wykupywać srebrem lub złotem, ale podczas gdy znaną jest zawartość srebra, nie wiadomo ile by rząd dał złota za 1 rubla; należy przypuszczać tylko, że tyle, ile w danéj chwili można nabyć złota za 17,9961 gr. srebra. Rosya nigdy nie oznaczyła stale wartościowego stosunku srebra i złota, przynajmniéj nigdzie się o tém żadnéj wzmianki nie znajduje, Rosya nigdy nie przyrzekła wymieniać kruszce podług prawem oznaczonego stosunku, jak to Francya przez lat 70 czyniła, wartość przeto rubla może się tylko opierać na przyrzeczonéj niegdyś zawartości srebra w rublu, tj. na targowéj cenie 17,9961 gr. srebra.

W Prusach zawierał dawny talar 16,6[66] gr. cz. sr., obustronna więc zawartość srebra stanowiła niegdyś o wzajemnym stosunku rubli i talarów, przyczém ruble jak długo papier można było w banku państwa na srebro wymieniać, więcéj były warte, niż pruski talar srebrny, rubel równał się talarowi + 24 fenigi dawne. Stosunek ten musiał jednakże zmienić się na niekorzyść rubla, kiedy przestał być kruszcowym lub na kruszec dowolnie zamiennym, a jeszcze więcéj

od chwili, gdy wskutek reformy monetarnéj w Niemczech z r. 1871, 1873 dawny talar srebrny zrównano *de jure* z 3 markami w złocie. Choćbyśmy bowiem nawet mieli srebrną a nie papierową walutę, to rubel sr. nie byłby już równy dzisiejszym mr. 3,20 w złocie tak jak gulden w.a.=$^2/_3$ tal. nie jest równym 2 m. Obliczenie talara na 3 marki złote nastąpiło na podstawie stosunku 1 : 15$^1/_2$. a stosunek ten dawno już nie istnieje, zmienił się on aż na 1 : 20, nawet 1 : 21, wykazywał więc 30—35% straty na niekorzyść srebra, a i dziś jeszcze jest ten stosunek 1 : 18,6 czyli 20% straty dla srebra. Tyleż co srebro stracić musiała i srebrna moneta, i ona przeto mierzona złotemi markami niemieckiemi o 20% mniejszą wartość wykazywać musi. Pomijając nawet zatém obecną walutę papierową, rubel srebrny nie byłby dziś już wart m. 3,20 złotem, lecz m. 3,20—20% tj. m. 2,56 złotem, na co słusznie zwraca uwagę p. „A. D.“ w swym artykule o téj kwestyi w grudniowym zeszycie „Niwy“ zamieszczonym. Istotnie ruble srebrne stałyby przeto tylko na m. 2,56, ruble papierowe niewymienne na srebro muszą naturalnie stać niżéj, mogły by więc tylko dojść do m. 2,30—2,40; od dłuższego czasu stoją one zawsze po nad 2 m., od kilku miesięcy stale około m. 2,10, dopóki więc pozostanie u nas przymusowa waluta papierowa, dopóty o żadnéj nadzwyczajnéj zwyżce kursu i mowy być nie może, kurs może się podnieść najwyżéj do jakich m. 2,40 tj. o 10—14%.

Większa zmiana kursu, dalsza zwyżka ceny rubla mogła by tylko nastąpić w razie zniesienia przymusowéj waluty papierowéj i zaprowadzenia waluty kruszcowéj, a przynajmniéj w obec zupełnie pewnych widoków na blizkie przeprowadzenie reformy. Ale i w tym razie zwyżka ta byłaby bardzo ograniczoną, gdyż najwyższym kursem rubla może być obecna cena 17,9961 gramów cz. srebra. A czy się zanosi u nas istotnie na rychłe zaprowadzenie waluty kruszcowéj? Trudno przesądzać; niektorzy twierdzą, że ogólne jest przeczucie, iż się na nią zanosi; pono byłoby lepiéj powiedzieć tylko, że rząd i społeczeństwo doszło do przekonania, że waluty papierowéj wiecznie utrzymać niepodobna, ale czyż uznanie wadliwości dzisiejszych stosunków monetarnych jest tém samém co stały zamiar przejścia do waluty kruszcowéj? To zaś tylko mogło-by wpłynąć na kurs naszych rubli; przekonania nasze, ani przeczucia nie mają tu żadnego znaczenia.

Nawet przypuszczając możność rychłego zaprowadzenia waluty kruszcowéj, nie ma jeszcze powodu obawiać się strat nadzwyczajnych. Można nawet twierdzić, że straty zwyżką kursu rubli kredytowych wywołane będą mniejsze, niż te, na jakieby nas w danych

warunkach przyjęcie złota za miarę naszych zobowiązań mogło narazić.

Zaprowadzenie waluty kruszcowéj mogło by dwojakim nastąpić sposobem, albo przez dewaluacyą, albo przez wypuszczenie rubli srebrnych, wybitych zgodnie z dawnymi przepisami systemu monetarnego rosyjskiego, zawierającymi 17,9961 gr. cz., lub rubli złotych wybijanych z zawartością złota odpowiadającą podług dzisiejszego stosunku 17,9961 gr. srebra. Podczas więc gdy dawniéj, podług stosunku 1 : 15½, który na podstawie prawa monetarnego unii łacińskiéj ogólnie był uznanym, rubel miał zawierać 1,161 gr. złota, to dzisiaj wskutek podrożenia złota zawierał by o 20% mniéj. A ponieważ przypuszczać należy, ża na samą wieść o zamiarze podjęcia przez Rosyą wypłat złotem, wzrastający gwałtownie popyt na złoto jeszcze by je stosunkowo droższém uczynił, może znów do stosunku 1:20 doprowadził, jak to już miało miejsce skutkiem saméj reformy monetarnéj niemieckiéj, przeto nowy rubel złoty zawierał by o dalsze jeszcze 10—15% mniéj złota, niżby był musiał zawierać przed kilkunastu laty, wartość jego nie byłaby już przeto równą ani m. 3,20, ani m. 2,56 ale około m. 2,20—30.

Nawet więc w razie gdyby Rosya istotnie przeszła do waluty kruszcowéj, nie można się obawiać zbytniéj zwyżki kursu rubla, czyli pośrednio znacznego wzrostu wartości i ciężaru zobowiązań zaciągniętych przy dzisiejszym kursie rubli. Rząd rosyjski nigdy nie zamieni dzisiejszych rubli kredytowych na kruszcowe równowarte niemieckim złotym markom 3,20. Temu się sprzeciwiają dawne przepisy monetarne rosyjskie i żywotniejsze znacznie od tych interesa skarbu państwa i producentów krajowych. Zaprowadzenie waluty kruszcowéj bez dewaluacyi mogło by podnieść kurs rubla najwyżéj a jakie 15—18%, a do takiego przeprowadzenia reformy zapewne nie przyjdzie, w razie dewaluacyi zaś tylko około 6—10%.

Doszedłszy do wyniku, że chwiejność rubla kredytowego nie może być zbyt wielką, bo przepisana zawartość srebra stawia nieprzekraczalną granicę zwyżce jego ceny, trzeba się przyjrzeć zagadnieniu, co wnosić należy o przyszłéj stałości ceny złota, gdyby bowiem złoto mniejszą chwiejność wartości przedstawiało niż ruble kredytowe, byłoby pono słusznèm za użyciem złota jako miary naszych zobowiązań przemawiać. Pożądaném jest wprawdzie żeby wartość kruszców szlachetnych była niezmienną, ale niestety tak nie jest, a że stosunek złota do srebra przez 70 lat naszego wieku utrzymał się niemal niewzruszenie jak 1 : 15½, to ma świat cały do zawdzięczenia rozumnemu prawodawstwu monetarnemu Francyi. Francya uczyniła ten stosunek prawnym, ona dozwoliła dłużnikom spła-

cać zobowiązania bądź złotem, bądź srebrem podług tego stosunku, i kasy państwa na żądanie każdego tak kruszce te wymieniały, a dopóki ona spełniała to zadanie, tak długo świat cały liczył się z prawem francuzkiém i jego stosunkiem 1:15½, tak długo cena złota ani srebra wielkim nie mogła ulegać zmianom. Inne zupełnie powstały stosunki po r. 1873 gdy wskutek zaprowadzenia złotéj waluty w Niemczech, Francya zawiesiła na czas nieograniczony wolną wymianę kruszców, gdy prócz Niemiec Ameryka, Hollandya, Państwa Skandynawskie przeszły do złotéj waluty. Wszyscy chcieli się pozbyć srebra, wszyscy nabyć złoto, a to doprowadziło do znanéj chwiejności wartościowego stosunku obu tych kruszców, wywołało upadek srebra z 1:15½ aż do 1:21. Dopóki nie ma międzynarodowéj unii bimetalicznéj, dopóki nie ma na świecie miejsca, gdzieby się zawsze za pewną stałą ilość srebra oznaczoną ilość złota dostawało i na odwrót, póty o stałéj wartości czy to złota czy srebra mowy być nie może. Złoto zmieniało swą wartość, zyskało 20—30% a tyle rubel kredytowy już zyskać nie może. Wobec przeto stosunków jakie dzisiaj na polu monetarném panują, wobec uznanéj ogólnéj niepewności i chwiejności w polityce monetarnéj większości państw, nie przedstawia złoto bynajmniéj stalszéj miary wartości niż rubel kredytowy. Wszystkie wielkie mocarstwa zajmują stanowisko wyczekujące, ani Niemcy ani Francya z całą Unią Łacińską, ani Ameryka z swym *Bland-bilem*, przeciw któremu obecnie tak silnie agituje stronnictwo u steru rządów będące, nie wiedzą jaką będą miały w przyszłości walutę, nawet w Anglii są zwolennicy reformy monetarnéj, nie wiemy co będzie w przyszłości, i stąd nie wiemy też jaką będzie w przyszłości wartość złota, jakim stosunek złota do srebra. Ponieważ jednak wartość ta i ten stosunek mogą być w przyszłości na wielką chwiejność narażone, ponieważ złoto—podobnie jak już wskutek reformy monetarnéj niemieckiéj 20—30% zyskało— w razie zniesienia bimetalizmu w Ameryce, w Unii łacińskiéj, wycofania z obiegu dawnych talarów w Niemczech, nie przypuszczając nawet jeszcze zaprowadzenia złotéj waluty w Austryi i Rosyi, może znów na jakie dalsze 10—20% lub nawet więcéj podrożéć, a gdy z drugiéj strony wartość rubla kredytowego nieznacznie tylko może się podnieść: mając przeto przed sobą dwie ewentualności: jednę prawdopodobnéj straty, ale straty minimalnéj, drugą zupełnie nie zdeterminowaną ani co do możebnych strat ani co do zysków—słuszniejszém jest zatrzymanie miary, która nas w najgorszym razie na nieznaczne tylko może narazić straty, aniżeli obieranie miary, któréj przyszłéj wartości nie można przewidzićć. Przecież mienia krajowego, przyszłéj egzystencyi i zamożności naszych ziemian nieze-

chcemy i nie wolno nam puszczać na zawodne fale grubéj spekulacyi.

Prócz tego powodu, tkwiącego w obecnéj niepewności stosunków monetarnych wogóle, uwzględnić należy i stosunki produkcyi przyszłéj złota i srebra jak nam ją przedstawiają najnowsze badania naukowe. Świeżo odkryto nader bogate pokłady srebra, a jeżeli mamy uznawać za słuszne to, co geolog wiedeński prof. Süss o przyszłości złota powiedział, że najbogatsze pokłady złota już są wyczerpane, że już nie należy liczyć na odkrycie nowych bogatych min złota, cóż więc się ma stać z jego wartością wobec zmniejszonéj podaży a coraz to rosnącego popytu na złoto? Jakże ma się utrzymać dawny lub nawet dzisiejszy stosunek wartościowy złota i srebra w obec rosnącéj produkcyi srebra a zmniejszającéj się nieustannie złota, wobec przeprowadzanéj w wielu krajach demonetyzacyi srebra, zamknięcia swobodnéj wymiany w banku francuskim, użycia w licznych państwach wyłącznie złota jako materyału monety? To wszystko musi na zwyżkę wartości złota wywrzeć wpływ stanowczy. A cóżby się stało z naszém Tow. Kred. Ziemskiem i z naszém rolnictwem, gdyby złoto, które mamy użyć za miarę naszych długów, ze wszystkich powyższych powodów, podskoczyło w cenie o jakie 30%? A czyż zwyżka ta, tak dla nas groźna, nie jest możliwą?

Gdyby jeszcze można przypuszczać, że prócz naszego Towarzystwa Kred. Ziemskiego nikt więcéj nie zechce w ciągu najbliższych lat użyć złota za środek swych wypłat, za miarę swych zobowiązań, że ani żadne państwo złotéj waluty nie zaprowadzi, ani żadne inne Towarzystwo listów na złoto brzmiących nie wyda, jedném słowem, gdyby można przypuszczać, że nie wzrośnie popyt na złoto, że ono nie podrożeje, natenczas można by dążyć do użycia złota za podstawę taksy Towarzystwa Kredytowego i emitowanych listów, bo w tym razie nie byłby prawdopodobnym wzrost wartości złota, wzrost ciężaru przyjętych zobowiązań. Natomiast przemawianie za metalikami, poparte przypuszczeniem i „nadzieją“, że i inne Tow. Kredytowe a może i państwa przejdą niebawem do złotéj waluty, zwraca się przeciw zwolennikom metalików. W latach 1871 i 1873 niemieccy zwolennicy złota przemawiali za złotą walutą, podnosili cywilizacyjną i ekonomiczną potrzebę jéj zaprowadzenia, bo za przykładem Niemiec cały świat miał przejść do niéj. W kilka lat późniéj po dotkliwych stratach, spodowanych jéj zaprowadzeniem, bronili utrzymania złotéj waluty, twierdząc, że po gorzkiém doświadczeniu Niemiec żadne już inne państwo nie zechce złotéj waluty zaprowadzać, że nie wzrośnie już popyt na złoto, że

ono już nie podrożeje. Raz chciano złotéj waluty, bo wszyscy ją przyjmą, drugi raz broniono jéj, bo nikt już jéj nie przyjmie. Nie wiemy, czy można w téj zmienności zdania podejrzéwać finansistów niemieckich o złą wiarę, ale fakt ten wiele daje do myślenia. Bo jeżeli kogo to nas z pewnością nie stać na to, byśmy obcych swém gorzkiém doświadczeniem zbogacali.

Niebawem ma się zebrać w Paryżu międzynarodowa konferencya monetarna, któréj decyzye mogłyby ogromnie na wartość złota i srebra oddziałać. Konferencya ta może się przyczyni do wyjaśnienia stosunków, może się przyczyni choć-by tylko na pewien czas do utrwalenia wartości drogich kruszców. A jeżeli wśród innych, znacznie od nas bogatszych społeczeństw, postanowienie jakiéjś reformy za niefortunne uważają, jeżeli ani bogata Francya, ani potężne Niemcy z obawy przed nieprzewidzianemi, a możliwie bardzo znacznemi stratami w przyszłości, nie decydują się porzucić tymczasowości i regulować ostatecznie stosunki monetarne, o ile mniéj myśmy się powinni zrywać na przedsiębranie stanowczych kroków, my, których, jeden taki niefortunny krok, w stanie jest doprowadzić do zupełnego bankructwa. A więc i my czekajmy, nie uznawajmy złota za miarę naszych zobowiązań, dopóki o przyszłéj jego wartości nie będzie można coś stalszego powiedzieć, dopóki jéj wzrostowi nie będą postawione jakieś trwałe granice. Skoro zaś możebną, nawet prawdopodobną, jest większa zwyżka wartości złota niż rubli, uważać należy projekt metalików w obecnych stosunkach za zupełnie nieodpowiedni.

Ale nawet gdyby nie była ograniczoną zwyżka rubla w przyszłości, należało-by się bardzo sumiennie zastanowić, czy mimo to my o zaprowadzeniu metalików myśléć możemy. Zkąd bowiem dostalibyśmy złota, potrzebnego na oprocentowanie tych listów i spłatę wylosowanych? Czyż wytwory nasze znajdują zbyt łatwy i korzystny w krajach złotem płacących? czy cena brana za granicą za produkta wywożone zawsze opłaca koszta ich produkcyi? Czy wywóz nasz przewyższa tak znacznie przywóz, żebyśmy potrzebne na oprocentowanie złoto mieli zawsze pod ręką? Niestety tak nie jest. Złoto musielibyśmy przeto co pół roku kupować *za gotówkę* na zagranicznych targach, i już przez to samo, wskutek peryodycznie zwiększającego się popytu, drogo za nie płacić, drożéj niżby kurs jego stał w innych terminach roku. Rubel kredytowy, którym byśmy w ciągu roku wszelkie robili obroty, tracił-by peryodycznie, tj. w terminach opłaty procentów Towarzystwa Kredytowego, na wartości, więcéj musielibyśmy dawać rubli za złoto, niżby nam w ciągu roku za nasze wytwory dawano, co by i ziemian

i Towarzystwo Kredytowe na niechybne straty naraziło. Straty te nie były-by tak drobnemi, jak się zdają przypuszczać zwolennicy metalików. Posiadającym złoto i uprawnionym do otrzymania złota, zależałoby na wysokiéj jego cenie, a ponieważ pierwsi by go nie potrzebowali sprzedawać, ziemianie zaś by je kupować musieli, żądano by za złoto ceny wysokiéj, a ziemianie i Towarzystwo Kredytowe chcąc nie chcąc musieli-by złoto po podyktowanéj cenie nabywać i drogo opłacać swe zobowiązania.

Cóż zresztą znaczy kupowanie czegoś za gotówkę, gdy téj gotówki nie mamy za wytwory naszéj pracy? Skoro-by nam dochody nie starczyły na pokrycie koniecznych wydatków—a takiemi są pono procenta hipoteczne, szedł-by na opłatę procentów nasz kapitał; w miarę trudniejszéj ich opłaty, w miarę podrożenia złota, wzrastały-by gwałtownie zaciągane na pokrycie zaległych i bieżących procentów dalsze długi hipoteczne, dopóki by pod ich brzemieniem nie przyszło do upadku. Im więcéj tych dawnych i nowych zobowiązań zapisano-by na rzecz zagranicy, a nie na rzecz ludzi z naszego społeczeństwa, tém smutniejszém by to było dla nas. Dla tego téż dziwić się musimy objawionemu zakłopataniu, z powodu, iż zagranica teraz mniéj naszych listów zastawnych posiada niż dawniéj, tylko $^1/_3$ a nie $^2/_3$ całéj sumy jak dawniéj, fakt ten, naszym zdaniem, za dodatni objaw uważać należy. Dobrem jest ściąganie tanich kapitałów z za granicy, jeżeli ich używamy produkcyjnie, w rolnictwie zatém na gospodarcze nakłady i melioracye, ale nie na spłatę dawnych długów, bo czyż można za korzystne uważać, że zagranica nabywa prawa do naszéj ziemi? Nabywanie wierzytelności hipotecznych, ekonomicznie biorąc, nie jest niczém inném jak nabyciem własności, z pozostawieniem tytułu dziedzica, pracy, kłopotów i ryzyka dawnemu właścicielowi, czyli jest nabyciem własności pod najkorzystniejszemi warunkami. Dla jednostek może wypadnie korzystniéj, choć i to jest arcy-problematyczném, sprzedać otrzymane listy zastawne na jakiéj zagranicznéj giełdzie, zagranicy ustąpić część swéj własności, ale czyż to jest i być może dla społeczeństwa korzystném?

Zwolennicy metalików chcieli-by zapewnić biorącym pożyczkę ziemianom jak najkorzystniejsze sprzedawanie listów, i przypuszczają, że właśnie listy na złocie oparte będzie zagranica nabywała *al pari*, a może nawet wyżéj *pari*. Ale na czémże opierają się te nadzieje? Zwolenników złota nie zadawalnia kurs naszych listów ziemskich, ale czyż on jest tak niedostatecznym? Porównajmy tylko.

Z wszystkich listów zastawnych rosyjskich niebrzmiących na metal, jedyne tylko moskiewskie stoją trochę wyżéj niż nasze pol-

skie listy zastawne ziemskie; na zbyt niski kurs nie możemy narzekać, chociaż by dla tego, że w razie emisyi metalików on by nie był lepszym, czego się spodziewają, trudno wiedzieć na jakiéj podstawie, zwolennicy metalików.

Oparte na złocie listy zastawne wzajemnego kredytu ziemskiego rosyjskiego, dające premią 25% w razie wylosowania, stoją mimo to tylko 140—143 rubli kredytowych za 100 metalicznych. Berlin notuje za nie 94—96 r. met. (równych, podług przyjętego na giełdzie zwyczaju 3,20 mr. złotem), nasze przeto listy ziemskie stoją stosunkowo lepiéj, bo i piąta serya stoi około 94.

Ale przypuściwszy nawet, że kapitaliści darzyli by metaliki przez nasze Towarzystwa Kredytowe Ziemskie emitowane większém zaufaniem, to kurs naszych listów metalicznych może-by wyżéj stał niż metaliki rosyjskie, w każdym razie o przejściu równi marzyć nie można. Pamiętajmy, że ze wszystkich metalików rosyjskich, jedyna tylko 6% renta złota z r. 1883 stoi nad *pari* 108—111 za 100, ale renta ta daje 6%. czego my dawać nie chcemy. 5% renta Włoska, a ta pono nie mniejsze wzbudza zaufanie niż nasze listy zastawne; stoi tylko 97—98, na czém więc opierają się nadzieje, że nasze metaliki będą stać nad *pari*, że rolnicy otrzymane listy z mniejszą stratą będą mogli spieniężać, niż dzisiaj? A teraźniejsze na rublu kredytowym oparte listy podniosą się zapewne niebawem z chwilowéj obniżki, wywołanéj nową emisyą i naszém nieustanném narzekaniem, że ziemia nic nie przynosi, co nie może korzystnie wpływać na kurs listów ziemskich; one się podniosą, byle Towarzystwo Kredytowe Ziemskie nie przedsiębrało niepewnych operacyj, niepewnych w rodzaju wypuszczania listów zastawnych dwóch gatunków, byle nie nastąpił rozdział, czy rezerwowego funduszu, czy nawet Towarzystwa samego, bo to by znosiło podstawę istnienia i znaczenia Towarzystwa, znosiło-by solidarność, co by dotkliwie wstrząsnęło zaufaniem do Tow. i kursem jego listów.

Nie łudźmy się przeto nieuzasadnionemi nadziejami. Zagranica nie da nam więcéj. niż od nas ma z czasem otrzymać, ona jak wszyscy ludzie ma swe interesa przedewszystkiém na oku, ona ocenia każdą operacyą, wedle tego, czy ona jéj zysk, czy stratę przyniesie. Gdzie chodzi o interesa ekonomiczne tam panuje egoizm, tam nie można się dobréj rady od drugiego spodziewać, tam nie ma co liczyć na altruizm. Zagranica o naszém podniesieniu ekonomiczném, o ulżeniu nam nie myśli, ona tylko dla siebie chce zysku, nie słuchajmy jéj rady, nie dajmy się zwieść jéj obiecankom. Ona nam nie zrobi podarków, i my jéj podarków nie róbmy.

Co do taksy dwa względy trzeba mieć na uwadze. Zadaniem Towarzystwa jest uwolnienie ziemian od drogich, wypowiedzialnych i nieamortyzujących się hipotecznych długów prywatnych, dostarczanie rolnictwu potrzebnego nakładowego i, jak dziś rzeczy stoją, zakładowego kapitału, obok tego zaś musi ono zważać na swe własne bezpieczeństwo. Granica taksy nie powinna być za niską, bo by Towarzystwo nie spełniło swego zadania, nie za wysoką bo by naraziło swe bezpieczeństwo. Za podstawę taksy należało-by uznać zredukowany na ruble srebrne, równe m. 2,56, przeciętny czysty dochód taksowanéj wsi, skapitalizowany podług opłacanego od długów hipotecznych procentu. Przypuściwszy 6% jako normę, należało-by zredukowany na ruble srebrne czysty dochód pomnożyć przez 16,66.. co by nam dało wartość wsi w kapitale, a według tego normowała-by się wysokość udzielonéj pożyczki. Kwestya taksy jest bezwątpienia nader ważną, tak ze względu na interesa rolników jak na bezpieczeństwo Towarzystwa.

Kończąc na tém uwagi, spowodowane projektem emisyi metalików, dochodzimy do rezultatu, że:

1) kurs rubli kredytowych nie może uledz żadnéj nadzwyczajnéj zwyżce, gdyż stoi temu na przeszkodzie dawniéj przepisana zawartość srebra w rublu, na wielkie straty on nas narazić nie może;

2) kurs złota, w obec niewyjaśnionych stosunków monetarnych, panującéj ogólnie tymczasowości, może bardzo znacznym uledz zmianom i ogromne straty wywołać;

3) skupowanie złota na opłatę procentów naraziło-by ziemian i Towarzystwo Kredytowe Ziemskie peryodycznie na straty;

4) kurs metalików nie przedstawiał-by prawie żadnych korzyści dla zaciągających pożyczkę, i dla tego nie można się zgodzić na projekt użycia w obecnych stosunkach złota za podstawę listów ziemskich i miarę zobowiązań, ciążących na naszéj ziemi.

Dr. Józef Milewski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Prof. Dr. Anatol Lewicki. *Zarys historyi Polski i krajów ruskich z nią połączonych.* Książka do użytku w klasach wyższych szkół średnich i w seminaryach nauczycielskich przez wysoką c. k. Radę szkolną krajową rozporządzeniem z dnia 3 września r. 1884 do l. 10245 aprobowana. Kraków, nakład autora, 1884, 8-a str. 323.

Podręcznik p. Lewickiego tém się zaszczytnie od innych tego rodzaju książek, jak np. Tatomira lub Przyborowskiego, wyróżnia, że mało zawiera faktów, podanych błędnie i że uwzględnia wyniki badań najnowszych. Jestto niezaprzeczona *Zarysu* strona dodatnia; czy jednak całość wykładu odpowiada wymaganiom obecnego stanowiska nauki historycznéj, czy zadość czyni potrzebie szkoły?

Bez względu na gatunkową zawartość, książka szkolna powinna się przedewszystkiém odznaczać odpowiednim układem treści, od niego bowiem łatwość objęcia i poznania przedmiotu zależy. Mniejszą stanowią w podręczniku wadę usterki faktyczne, niż ułomność konstrukcyi, pierwsze bowiem pod kierunkiem nauczyciela łatwo uczeń poprawi, gdy drugiéj żadna nie usunie korekta. Trzymali się dotychczasowi autorowie fatalnego pod każdym względem sposobu przedstawiania pojedyńczych faktów według ich chronologicznego następstwa,—po kronikarsku traktuje przedmiot i p. Lewicki. Układ np. panowania Bolesława Krzywoustego jest taki: 1) podbicie Pomorza 1102—1109; 2) wojny z cesarstwem; 3) z czechami; 4) sprawy ruskie; 5) podbicie kraju zaodrzańskiego; 6) wojna o następstwo w Węgrzech. Widzimy, że opowieść o Pomorzu przerwał autor na roku 1109 i powrócił do niéj dopiero po przedstawieniu wojen z Henrykiem V, czechami i rusinami; tłómacząc przyczynę wojny z niemcami, potrącił o stosunek Polski do Węgier, nie wyczerpał go jednak

i po raz wtóry rozprawia o nim na końcu. Ten rodzaj układu trudno nawet usprawiedliwić chronologią, wiadomo bowiem, że rok 1109 nie zamyka skończonego cyklu wojen pomorskich i nie rozpoczyna nowego z Niemcami, zatargi zaś z czechami były wcześniejsze od wyprawy cesarza. Wadliwość układu jaskrawiéj się jeszcze przedstawia w czasach następnych. Panowanie Władyslawa Jagiełły na takie rozpada się działy: 1) chrzest Litwy, 2) odzyskanie Rusi Czerwonéj; 3) wichrzenia Witołda; 4) Bitwa nad Worsklą; 5) śmierć Jadwigi i wznowienie akademii; 6) wielka wojna; 7) unja horodelska; 8) wtóra wojna z zakonem; 9) stosunek Polski i Litwy do husytów, 10) zjazd w Łucku; 11) bunt Świdrygiełły i trzecia wojna z Zakonem; 12) stosunki wewnętrzne. Rozbił więc autor opowiadanie o stosunkach Polski z Krzyżakami na trzy epizody odrębne i umieścił pomiędzy niemi sprawy natury innéj; pomiędzy bitwą nad Worsklą a wielką wojną ulokował Jadwigę i akademią krakowską, jakby śmierć królowéj i założenie insytucyi naukowéj było w związku z Tatarami lub z rozprawą grunwaldzką. Rozumiemy, że stworzenie układu, opartego na przyczynowym związku faktów, jest rzeczą trudną, zwłaszcza przy zbiegu tak licznych i skomplikowanych zdarzeń, jak np. z czasów Władysława Jagiełły; nie widzimy jednak, żeby p. Lewicki usiłował cokolwiek zrobić w tym względzie. Przecież statuty nieszawskie z r. 1454 w ścisłym są związku z wojną o Pomorze, zrobił z nich jednak autor ustęp oddzielny i odgrodził go od Krzyżaków sprawami Mazowsza! Na trzy luźne epizody rozbił wojnę z Moskwą za Zygmunta I, na dwa stosunki ze Szwedami za Zygmunta III; łatwe do prostego i jasnego układu panowanie Jana Kazimierza zagmatwał. Wszakże projekt elekcyi za życia króla i rokosz Lubomirskiego wygodnie można było umieścić po ugodzie cudnowskiéj, a przed traktatem andruszowskim, boć zamęt wewnętrzny rezultaty zwycięstwa osłabił i na niefortunne zakończenie wojny wpływ wywarł. Złe grupowanie szczegółów wywołuje powtarzania i chaos. Chrzest Rościsława i wzmianka o apostołach słowiańskich (str. 18) wyprzedza wykład o ich pochodzeniu i czynach (24); na str. 20 znajdujemy artykuł o pierwszém historyczném wystąpieniu Polski i Mieszka, na 27 podania bajeczne, a na 30 o Mieszku znowu. Wzmiankę o humanizmie spotykamy na str. 148, a wytłómaczenie jego o kilkanaście kart daléj (173). Wiadomość o reformacyi pod Zygmuntem I (169), przyczyny jéj dopiero pod Zygmuntem Augustem, a wykład znowu przerwany (178, 188). Niektóre szczegóły ni przypiął ni przyłatał do innych. Po rocznikarsku luźną autor przy Władysławie Hermanie umieścił wzmiankę o żydach (47), toż samo zrobił z palatynem Skarbimierzem (50), z odkryciem pokładów soli

w Bochni (85), z Warszawą, jako rezydencyą królewską (235)itp. Oddzielnie stara się autor przedstawić przy każdém niemal panowaniu „stosunki wewnętrzne,"—zamiast jednak wszystkie w zatytułowanym umieścić dziale, plącze je ze sprawami polityki zewnętrznéj „Stosunki wewnętrzne" za Władysława Jagiełły znajdujemy na str. 184 i dalszych, chociaż na kartach poprzednich mamy chrzest Litwy, odnowienie akademii krakowskiéj, unię horodelską, sprawę husycką, bunt Świdrygiełły. Trudno dociec, co p. Lewicki przez stosunki wewnętrzne rozumie. Wiemy napewno, że zalicza do nich żony królewskie (140),—nie wszystkie jednak, Jadwiga bowiem figuruje śród stosunków zewnętrznych (179)—może dla tego. że z mężem żyła w niezgodzie. Są „stosunki wewnętrzne" i za Zygmunta III (228), nie zaliczono jednak do nich ruchów kozackich, unii brzeskiéj, ani nawet rokoszu.

Ganimy w podręczniku p. Lewickiego układ, wątpliwości mamy pod względem zawartéj w nim treści. Autor uwzględnia genezę i rozwój stosunków społecznych Polski,—nie decyduje się jednak na pogląd stanowczy, rzecz wyłożoną wątpliwościami osłabia. Przytacza np. w sprawie powstania państwa polskiego teoryą najazdu, lecz nasuwa i prawdopodobieństwo podboju szczepów lechickich przez Polan (30); twierdzi, że w Polsce pierwotnéj „znika dawna równość wszystkich" (28), a w inném miejscu, że szlachta i rycerstwo szeregowe „niemiało jeszcze żadnéj wyłączności" (29). Nie jesteśmy przeciwni przedstawieniu panujących w danym przedmiocie hipotez, nie piszemy się jednak na zbytnią kontrawersyi obfitość, w podręczniku bowiem pierwiastek dogmatyczny powinien przeważać. Zresztą, organizacya państwa i rozwój stosunków wewnętrznych traktuje autor pobieżnie, to co przedstawił w tym względzie, nie wystarcza ani do wytłómaczenia zmian w losach państwa, ani do wyrobienia pojęcia o umysłach i moralnych studyach w życiu narodu.

Umieszczony na wstępie *Zarysu* przegląd geograficzny ziem dawnéj Polski żadnego zgoła ani na ukształtowanie się państwa, ani na etniczne właściwości zamieszkałych w niém ludów nie rzuca światła. Ogranicza się autor na wyliczeniu gór, równin i rzek, jakby dla zrozumienia losów danego obszaru i wpływu jego na ludzi wystarczała goła wiadomość o Rubanie, Tyrasie, Viadrusie lub o piętrzących się Tatrach. Rozprawia autor o dwóch cywilizacyach, a działaniu ich wpływ wielki na słowiańszczyznę przyznaje (25), nie objaśnia przecież, jaka zasadnicza pomiędzy niemi zachodziła różnica; skwapliwie wymienia nazwiska różnych pisarzów i dzieła ich,—niewiele to jednak naucza, skoro nie scharakteryzował panujących umysłowych kierunków. Znać też w pracy p. Lewickiego pośpiech,

który dokładności tu i owdzie zaszkodził. Na str. 55 powiada, że duchowieństwo w Polsce pierwotnéj „stało na równi ze szlachtą“; na stronie 86, że wójt i sołtys w XIII wieku zajmowali „stanowisko równe szlacheckiemu“,—na stronie zaś 29 przyznaje, że „stanowisko szlachty i szeregowego rycerstwa nie da się dotąd dokładnie określić“. Jakaż więc była pozycya duchowieństwa? jaka była sołtysa i wójta w XIII wieku, kiedy o stanowisku szlachty nic p. Lewicki przed tém nie wyrzekł? Mówi o tym przedmiocie na kartach następnych (80), lecz zawile i ciemno. Zna szlachtę i rycerstwo, nic wyjaśnia przecież, jaka pomiędzy temi grupami prawna zachodziła różnica,—„zdaje się“ tylko autorowi, że znaczniejsi ze szlachty wyjednywali sobie u panujących pewne od ciężarów zwolnienia. Wątpliwości budzi i sprawa chłopów. Objaśnia na str. 88, że prawo niemieckie wpłynęło „na polepszenie stanowiska społecznego włościan polskich, którzy z niewolnych, do gleby przywiązanych chłopów, stawali się po części wolnemi kmieciami...“ Co znaczy *po części*—odgadnąć trudno; zresztą z powyższego dopiero ustępu dowiadujemy się o przywiązaniu chłopa do gleby, przy ustroju bowiem Polski pierwotnéj wiadomości o ich położeniu nie mamy. Powiedział wprawdzie p. Lewicki, że „książe jest panem wszelkiéj niezajętéj przez prywatnych ziemi, tudzież ludzi, których przenosi z miejsca na miejsce, wywyższa lub strąca“ (29),—ustęp ten jednak niczego pozytywnego nie uczy. I o dalszych losach chłopstwa dowiedzieć się trudno. Ze statutu piotrkowskiego z r. 1496 podał autor ogólnik „ograniczono prawo włościan przenoszenia się z miejsca na miejsce“ (160); ze szkodą dla zrozumienia stanowiska chłopów królewskich nie wykazał atrybucyi referendarzy. „Odbierali — powiada — skargi i prośby, przekładali i objaśniali je królowi“ (195), lecz od kogo, na kogo? Nie zgadza się z prawdą, żeby trybunał litewski odbywał się „kolejno w Wilnie i Grodnie“ (215), skoro zasiadał w Wilnie, Nowogródku i Mińsku, a do Grodna przeniesiony został dopiero za Stanisława Augusta; błędnie autor informuje, że sądy sejmowe odbywał król „wspólnie z senatorami“ (197), zasiadali bowiem na nich i wyznaczeni przez marszałka posłowie; dla wzmocnienia tezy, że jezuici stali za czasów Batorego „na gruncie narodowym“ (214), warto było podać motywa. Lepiéj jest, zdaniem naszém, sprawy podrzędniejsze pominąć, niż je potrącać pobieżnie. Wzmiankuje autor przy Janie III o „głośnéj kłótni wszechwładnych w tym czasie na Litwie Sapiehów z biskupem wileńskim Brzostowskim“ (265) i żadnych nie daje wyjaśnień; wspomniał o instygatorze (216), a atrybucyi jego nie wskazał. Większa w wykładzie dokładność znaczniejszy-by przyniosła pożytek, niż wiadomość, że Łokietek pochowany został po prawéj

stronie ołtarza, a Kazimierz Wielki po lewéj (101, 116), niż moc niesłychana nazwisk i dat, z których i autorowie nie zawsze by potrafili wytrzymać egzamin. Na brak jasności wpływa i niepoprawność języka. Nie zmieniają treści takie językowe herezye, jak: „Musząc na razie ustąpić, Bolesław...“ (34); „wojny... ograniczone na wzajemne napady i odwety“ (46); „umiał nakłonić do złożenia mu hołdu za Pomorze“ (53, także 55); „przyrzekł jawić się na sejm... do zgody z bratem“ (57); „postąpili w dostojność senatorską“ (194),—lecz ustęp „w końcu oddał mu (Przemysławowi) Mestwin jeszcze za życia zamki pomorskie, kazał mu hołd złożyć (kto komu?) i podpisywać się dziedzicem Pomorza“ (94) — w nieobznajmionych z dziejami wątpliwości budzić może poważne.

Panowania Stanisława Augusta dla niezrozumiałych dla nas powodów dotknął autor bardzo pobieżnie; trudno również odgadnąć, dla czego, zaznaczywszy zmiany terytoryalne po r. 1795, dzieje porozbiorowe pominął. Wyłożył za to historyą Galicyi pod panowaniem austryackiém, obszerny poświęcił rozdział rządom „miłościwie“ panującego cesarza Franciszka Józefa, który nie należy jeszcze do dziejów. Nie rozbieramy po macoszemu traktowanych czasów Stanisława Augusta, nie robimy autorowi zarzutu, że historyą księstwa warszawskiego i królestwa kongresowego opuścił. Przypuszczamy, że wiek XVIII i XIX zamknąć musiał w ramach, zakreślonych przez władzę, że nie mógł przedstawić tego, co na pilną w szkole zasługuje uprawę. Podręcznik p. Lewickiego, jako zastosowany do wymagań miejscowych, służyć może tylko ku nauce młodzieży galicyjskiéj i... pożytkowi Austryi. Bodaj-by na rzetelny młodzieży polskiéj wyszedł pożytek, a autorowi na chwałę.

Wł. Smoleński.

= **Światełko**. *Książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich* (Warsz. 1885. str. 274). Dzięki pomysłowi „Spółki Nakładowéj Warszawskiéj“, złożonéj, jak wiadomo z literatów, otrzymaliśmy książkę dla dzieci, na utworzenie któréj złożyło się 29 autorów i autorek polskich, mniéj lub więcéj znanych w piśmiennictwie naszém. Wobec przeważnéj liczby przekładów, w jakie literatura dla dzieci zaopatrywana była i jest do dziś dnia, sam już fakt ogłoszenia pracy oryginalnie napisanéj przez Polaków dla dzieci polskich, z uwzględnieniem ich skłonności, temperamentu i potrzeb zasługiwał-by na baczną uwagę. Tém bardziéj zwrócić-by nań rodzice powinni pilniejsze oko, że rzeczy zawarte w książce są istotnie dobrze, starannie i z talentem przedstawione. W dziale powieściowym wy-

borny jest obrazek Maryi Konopnickiéj, o tém jak się dzieci bawiły, pełne uczucia i rozumnych myśli opowiadania Orzeszkowéj, Kościałkowskiej, Marrenowéj, piękne i zręczne zobrazowanie okropności wojen Świętochowskiego; trafne pod względem morału opowiadania, Bełcikowskiego, Chlebowskiego, Lubowskiego, Méyeta, Sulimierskiego. W dziele pouczającym w sposób nader popularny odznaczają się artykuły Kramsztyka (zwłaszcza: „jak Kalina wodę piję), Rejchmana, Potockiego, Rozmysłowskiego. Do głębszych zagadnień psychologicznych przysposabia artykuł Wł. Dawida, p. n. „Cudowny Zegar“. Z postaciami dziejowemi zapoznaje Dickstein, mówiąc o Koperniku i jego teoryi, Smoleński o przyjaciołach dzieci (Boduenie, Falkowskim, Jachowiczu). Wogólności książkę tę możemy sumiennie polecić na podarek noworoczny dla dzieci od lat 8 do 10.

= **Marya Malczeskiego w świetle nowéj krytyki**. *Napisał dr. Stefan Gramlewicz* (w Dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego“ za wrzesień 1884, str. 137—166). O wpływie Byrona na Malczeskiego mówiono dotychczas ogólnikowo tylko, wskazując melancholią i pesymizm, jako cechy, które w poemacie naszego poety przybrały kształty, świadczące o duchowym jego związku z lordem Jerzym. Dopiero obecnie p. Gramlewicz, wychowaniec uniwersytetu niemieckiego, zabrał się metodycznie do wystawienia szczegółowo śladów poezyi Byrońskiéj u autora „Maryi“. Praca jego, co do konstrukcyi i stylu, jest słaba, ale ma tę niepospolitą zaletę, iż zawiera spostrzeżenia nowe, owoc badań sumiennych i gruntownych. Pomysły zasadnicze w „Maryi“ przypominają silnie, według p. Gramlewicza, pomysły, zawarte w „Korsarzu“ i „Larze“. Jak w „Korsarzu“ Konrad, wybierając się na wyprawę, przed wyruszeniem w pole przychodzi się żegnać ze swoją piękną i ukochaną Medorą, tak téż samo czyni Wacław. Jak Medora znalazła śmierć w wodzie podczas nieobecności swego kochanka, tak téż ginie Marya, z tą tylko różnicą, iż niedobrowolnie. Jak w „Larze“ magnat pozbywa się swego nieprzyjaciela przez utopienie; tak téż robi Wojewoda. Jak w „Larze“ fakt utopienia nie jest przedstawiony, ale mówi o nim wieśniak; tak téż i w „Maryi“ o utopieniu opowiada pacholę. Tajemnicze prowadzenie całego opowiadania znajdujemy zarówno w „Maryi“ jak i w „Larze“. Podobieństwa atoli tu wymienione lubo istotnie mogą nas zdziwić, nie upoważniały by jednak jeszcze do stanowczego twierdzenia, iż Malczeski świadomie brał pomysły z poematów Byrona. Są wszelako podobieństwa bliższe, dotykalniejsze, które nie pozostawiają wątpliwości, iż Malczeski tak był oczytany w Byronie, że nawet wyrażenia jego, może nawet mimo

woli—są rażąco do Byrońskich podobne. Wiadomo, jak w „Maryi“ ponury Wojewoda „w bocznėm skrzydle obszernėj budowy,“ dokąd „nikt nie zawołany wnijść się nie poważy“ całą noc spędza bezsennie i nad ranem „jeszcze stuk chodu słychać lub ciężkie westchnienia.“ Wiadomo też jak w innėj sali „twarze ostre, malowane, przodków, w długim szeregu zebranych na ścianę, zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami.“ Otóż tak samo i Lara: „często w nagłėm uniesieniu usuwał się na wiele dni od wszelkiego pożycia z ludźmi. Wtedy, jak opowiadali rzadko wzywani sludzy, słychać było późno w noc jego szybkie kroki w ciemnėj galeryi, gdzie jego przodkowie ponuro spoglądali z prostych, lecz starożytnych obrazów, pozawieszanych wkoło na ścianach.“ Słowa któremi Marya wyznaje Wacławowi swą miłość, są odbiciem i odgłosem tego, co w „Narzeczonėj z Abydos“ mówi Zulejka do Selima. Nawet krótkie wyrażenia rażąco przypominają słowa Byrona: „Targa kłaczastą brodę“—*He tore his beard* (Korsarz II, ust. 4). „Krótko już trwała walka“—*Short was the conflict* (Lara. II, ust 11). „Śpiewa mu głośno wicher“—*Loud sung the wind above* (Korsarz, II. ust. 7). „Twarz ukrył w obie ręce i płakał jak dziecię, lecz niedługo.“ Płakał jak dziecię, nikt jego łez nie widział... i nie płynęły one długo (Kors. III, ust. 22). „I boli go tylko życie, a kwiat jego zginął“—Życie go tylko, że je ustrzegł, boli (Korsarz II, ust. 8). P. Gramlewicz w cennėj swėj pracy przytacza więcėj takich przykładów, któremi założenie swe silnie popiera. Rozprawka jego należy do rzadkich u nas zjawisk badania szczegółowego źródeł, z których poeci nasi brali pomysły i barwy.

= **Jan Kochanowski, jego pieśni i pamiątki po nim.** *W 300 lat po śmierci tego pieśniarza napisał Kazimierz Promyk. Z kilkunastu obrazkami według fotografii zdjętych na miejscu przez autora* (Warsz. księgarnia krajowa Konrada Prószyńskiego 1884 o str. 96). Kto zna prace Promyka dla ludu przeznaczone, łatwo zgadnie, iż rzecz o Janie Kochanowskim jest książką w swoim rodzaju wyborną, zaznajamiającą przystępnie a serdecznie z wielkim poetą przeszłości i z tą przeszłością samą. Opowiadanie o życiu Jana przeplata aut. ciekawszemi wyjątkami z pism jego, bawi, naucza, zachęca do pracy, do szanowania pamiątek, do przechowywania w pamięci tego, co minęło. W obrazkach przedstawia włościan z Czarnolasu, pomnik kamienny w Czarnolesiu postawiony na tėm miejscu, gdzie stała lipa Jana, dawne drzwi żelazne z czasów Kochanowskiego w Czarnolesiu i krzesło, na którėm on podobno siadywał, kościół w Gródku koło Czarnego Lasu, białodrzew, najstarsze dziś drzewo w Czarnolesie, szczątek okratowany domu Kochanowskiego i kaplicę przy nim zbu-

dowaną, portret Jana, nagrobek w Zwoleniu, kościół tamże, nagrobek rodziców Jana, dawną figurę w Sycynie, złomek kamienia nagrobkowego w Sycynie wyorany. Ze spisu tych pamiątek baczny czytelnik wnieść może, że i badacze nawet mogą odnieść z pracy Promyka pożytek. Cały końcowy ustęp (od str. 67) „jakie pamiątki po J. K. do dziś dnia się dochowały i jak je nadal utrzymywać należy“ zasługuje na pilne odczytanie. Przepisanie nagrobków również za dodatnią stronę pracy uznać trzeba; dla porównania ze skądinąd znanemi mogą być przydatne. Szczerze pracę te polecamy do jaknajszerszego rozpowszechnienia.

= W październikowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego“ (str. 60—91), wychodzącego w Krakowie, znajduje się artykuł w wysokim stopniu zająć mogący badaczów staréj literatury polskiéj. Jest-to rzecz **O źródłach niektórych utworów poetycznych polskich XV i XVI wieku,** napisana przez p. Wilhelma Bruchnalskiego. Autor bardzo słusznie utrzymuje, że jeżeli epoka Zygmuntowska nie ma być uważaną za niewytłómaczone i wyjątkowe zjawisko w dziejach piśmiennictwa naszego, to należy przedewszystkiém poznać jéj związek z czasami poprzedniemi, w których znaléźć możemy zarówno pierwszych zasiewców jak i pierwsze ziarna późniejszéj jéj plenności, a powtóre zbadać stosunek jéj do prądów w Europie panujących. Zauważywszy następnie, iż pomimo prac Wiszniewskiego, Maciejowskiego, Nehringa, Pilata, Kaliny, Bobowskiego niewiele jeszcze pod tym względem posiadamy wyjaśnień, przedstawia rezultat poszukiwań swoich co do 10 utworów treści religijnéj, które wydawcy (Wiszniewski, Maciejowski i inni) za oryginalne poczytywali. Treścią swoją utwory te dają poznać zgóry, iż zupełnie oryginalnemi być nie mogły; ale nie o to właściwie idzie i nie w wypowiedzeniu tego ogólnika tkwi zasługa p. Bruchnalskiego. Szczegółowém porównaniem wykazuje on zależność owych 10 utworów nie tylko pod względem treści, ale także pod względem wyrażeń, a częstokroć i rymów. Źródłem naszych pieśni kościelnych i legend była literatura łacińska, czeska i niemiecka. Literatura łacińska stanowiła oczywiście pierwotną podstawę i dla czeskiego i dla niemieckiego pieśniarstwa kościelnego. Można-by więc przypuszczać, że i dla naszego piśmiennictwa pierwowzór tkwił w niéj. Dokładne wszelako zestawienie pieśni naszych z oryginałami łacińskiemi i tłómaczeniami lub przeróbkami czeskiemi dowodzi, iż dopiero z tych tłómaczeń czeskich poeci nasi po większéj części korzystali; tak że można twierdzić, iż autorowie nawet takich pieśni, których w czeskiém piśmiennictwie dotychczas nie odszukano, a które istnieją w polskiém i ma-

ją podobieństwo do łacińskich, musieli przecież mieć przed sobą przekład czeski tychże. Przechodząc do szczegółów, podamy tu, idąc za p. Bruchnalskim, wykaz tych pieśni, wraz z odpowiadającemi im oryginałami. 1) Najprzód tedy Śpiew na Boże Ciało: „Witaj miły Jezu Chryste“ (druk. przez Maciejowskiego w „Pamiętniku o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian“, oraz w „Dodatkach“ do Piśmiennictwa) ma odpowiednią sobie zupełnie pieśń czeską, drukowaną przez Jireczka w „Hymnologia bohemica“ (str. 92), który zwiedziony przez Maciejowskiego uważał ją za przekład z polskiego. Tekst polski, zawierający rymy niedokładne — wstampil: othkupil; criste: czysthey — tam, gdzie w czeskim zupełnie dobre są rymy:— vstúpil: wykúpil; kriste: czisté wskazuje dowodnie, że jest przekładem a nie oryginałem. 2) Pieśń na Boże Narodzenie: „Stałać się rzecz wielmi dziwna“ również ma odpowiednią czeską wydrukowaną przez Hoffmana von Fallersleben r. 1829 w „Monatsschrift von und für Schlesien“. Pan Bruchnalski nie mogąc dostać tego czasopisma, korzystał tylko z przedruku pierwszej strofy w rozprawie Feifalika; ta pierwsza strofa przekonywa, iż tekst polski jest przekładem z czeskiego—3) Pieśń na kwietnią niedzielę: „Chwała, sława, wszelka cześć“ ma co do treści źródło w pieśni Theodulfa: hymnus pro die dominica palmarum: „Gloria laus et honor tibi sit“. Piąta strofa polska nie odpowiada łacińskiej. Ta okoliczność, oraz zewnętrzne cechy wierszowania każą się domyślać, iż musiał istnieć tekst czeski lub niemiecki, który posłużył za wzór pieśniarzowi polskiemu.— 4) Legenda o ś. Aleksym ma bardzo bliskie pokrewieństwo z wierszowaną legendą niemiecką, ogłoszoną z rękopismu przez Massmanna („Sanct. Allexius Leben in acht gereimten mittelhochdeutschen Behandlungen“ 1843), niektóre zaś ustępy przypominają wyraźnie prozaiczną legendę łacińską, przez tegoż autora podaną. Zdaniem p. B. autor naszej legendy „albo bezpośrednio korzystał z niemieckiego tekstu, albo z jakiejś innej może redakcyi łacińskiej, która tak polskiemu jak niemieckiemu autorowi musiała być znaną“.— 5) Legenda o ś. Krysztoforze (ogłoszona przez Lelewela w „Bibl. ksiąg dwoje“, powtórzona przez Wiszniewskiego) w trzech zwrotkach zgadza się z legendą łacińską (u Monego; „Lateinische Hymnen des Mittelalters“). — 6) Pieśń o narodzeniu pańskim na świat (druk. 1550): „Ojca niebieskiego pochwalmy z miłości“ jest wyraźnym przekładem z Kancyonału braci czeskich ogłoszonym przez Jana Roha 1541 r.—7) Podobnież: Pieśń nowa o nawróceniu grzesznego człowieka ku Panu Bogu: „Pomożyż mi z grzechu mego“ (druk. 1556). — 8) Podobnież: Druga pieśń o śmierci: „O daremne świeckie ucieszenie“ (druk. 1556). — 9) Pieśń o zmartwychwstaniu

Pańskim, Jakóba Lubelczyka: „Wesel się téj to chwile“ przytoczona w pierwszéj tylko strofie (wszystkich ma być 18) przez Wiszniewskiego, odpowiada również co do tego początku pieśni w Kancyonale owym zawartéj. — 10) Podobieństwo żywota człowieka Krześcijańskiego M (ikołaja) R (eja), druk. b. w. r. w Krakowie, a znajdujące się w Postylli Reja p. n. „Ku temuż to Krześcijańskiemu rycerzowi napominanie“. Podstawa, na któréj Rej osnuł naukę moralną w wierszu tym zawartą, nie jest jego pomysłem oryginalnym, jak świadczy 2, 3, 4 i 5 zwrotka, których treść dosłownie prawie wzięta z Jana Damascena, prawdopodobnie za pośrednictwem jakiegoś przekładu. — Praca p. Bruchnalskiego świadczy o umiejętnem posługiwaniu się porównawczą metodą badania i jest cennym przyczynkiem do historyi wpływu literatury obcéj na staropolską.

SPROSTOWANIE.

W dziale krytyki zeszytu listopadowego r. 1884 zaszły następujące błędy, które poprawić należy:

str. 549 w. 4 od dołu w nocie zamiast Brysur czyt. Rzyszczewski.
„ 553 w. 3 od góry zamiast Penerbacha czyt. Peuerbacha
„ „ w. 18 od dołu zamiast Ludzisho czyt. Ludzisko
„ 554 w. 14 od góry zamiast Pyeprskiego czyt. Syeprskiego
„ 557 w. 12 od dołu zamiast prof. Wendenscius czyt. porów. Wengerscius.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Grudnia 1884 r.

---

1. **Mayne Reid. Dolina bez wyjścia.** Tłomaczyła z angielskiego *M. J. Zaleska.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1884. str. 253.
2. **W imię prawdy i dobra.** Kilka nauk w powieściach ukochanym dzieciom składa *Józefa Kamocka.* Warszawa Gebethner i Wolff 1885. str. 232.
3. **Z pałaców i chat.** Powieści dla dorastającej młodzieży. Naśladowała z angielskiego *M. J. Zaleska.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1885 str. 402.
4. **Mieszkaniec puszczy.** Powieść Coopera dla młodzieży opracowała *M. J. Zaleska.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1884 str. 392.
5. **Dziecięcy świat wpośród lasów, pól i chat.** Wierszyki i obrazki *M. Zielińskiej.* Gebethner i Wolff. Warszawa.
6. **Przygody dziatwy w domu i w szkole** wierszem opisała *Marya Ciswicka* z rysunkami E. Klimsza. Warszawa. Gebethner i Wolff.
7. **Teatrzyk Obrazkowy.** Warszawa. Gebethner i Wolff.
8. **Światełko.** Książka dla dzieci napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Warszawa. Wydawnictwo Spółki Nakładowéj Warszawskiej. 1885 str. 274.
9. **Jarosław Vrchlicki. Duch i świat.** Poezye, przełożył z czeskiego *Miriam.* Warszawa u T. Paprockiego (8-o str. VIII i 152).
10. **Artur Wilke. Ekonomiczne znaczenie elektryczności i elektromonopol.** Z niemieckiego przełożył *Adolf Kipman.* Warszawa u A. Gruszeckiego. 1884 (8-o str 119).
11. **Drzewa krajowe, ich wzrost, własności i sposób zużytkowania w przemyśle.** Opracował i zebrał *J. Homulko* inż., dyr. fabr. mebli giętych w Wojciechowie. Warszawa 1884 (jedna tablica na wielkim arkuszu.)
12. **Mapa produkcyjności pojedynczych gubernij Królestwa Polskiego** wykonał *Julian Wolfheim* 1884 r. i **Tablica produkcyjności pojedynczych gubernij Królestwa Polskiego,** na podstawie źródeł urzędowych ułożył *Julian Wolfheim.*
13. **Poezye Władysława Stankiewicza** Tom I. Warszawa. 1884. (8-o str. 254). Cena 2 r. 50. k.
14. **Szkoła rzemiosł w Warszawie.** Sprawozdanie za rok 1883—4. Warszawa. 1884.
15. Biblioteka najcelniejszych utworów literatury Europejskiej: Tom VI. *H. Balzac'a* **Szuanie.** Tom VII *H. Balzac'a* **Jaszczur i Arcydzieło nieznane.**
16. **Wybór pism J. I. Kraszewskiego.** Oddział I **Powieści sielskie** poprzedzone wstępem krytycznym *Kaz. Kaszewskiego.* Warszawa. u S. Lewentala 1884. (8-o str. LXVII i 547).
17. **Elektrycznośc i Magnetyzm** p. prof. *Silvanusa P. Thompsona* przekład *J. J. Boguskiego* ze 170 drzeworytami w tekście. Warszawa u Teod. Paprockiego 1885. (8-o str. VIII i 517).

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1885.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie w roku 1885 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku obecnym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze na polu umiejętności w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy naukowe i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi, krzepić wytrwałość w dojściu do lepszych warunków istnienia narodowego, pomimo trudności i przygnębiających okoliczności czasowych: oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących, treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою. Варшава. 22 Декабря 1884 г.